

Murdzek:
Budżet 2023

Wrzosek:
Uwiarygodnić uczelnie

Górski:
Akademia międzynarodowa

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 2/2023

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Rok Kopernika Str. 7, 25-27, 70-73

Siuda:
Kultura recenzji

Szczepaniak:
Producenci artykułów

Smalej-Kotodziej:
Bezdzielnosc z wyboru

Ponad 60 tysięcy zasobów naukowych dostępnych na jednej platformie

Politechnika Wroclawska wraz z partnerami, wroclawskimi Uniwersytetem Przyrodniczym i Uniwersytetem Medycznym oraz Instytutem Badań Systemowych PAN w Warszawie, realizują projekt pod nazwą Atlas Zasobów Otwartej Nauki 2.0, którego celem jest zwiększenie dostępności, poprawa jakości oraz rozszerzenie możliwości ponownego wykorzystania zasobów nauki.

Atlas Zasobów Otwartej Nauki 2.0 jest inicjatywą, która umożliwia dostęp do kilkudziesięciu tysięcy zasobów naukowych, w tym książek, publikacji, czasopism, materiałów dydaktycznych, prezentacji, zdjęć, skanów 3D, plików audio i wideo, baz danych i wielu innych.

Głównym celem AZON 2.0 jest umożliwienie darmowego dostępu do wiedzy i informacji naukowej dla wszystkich zainteresowanych, bez względu na miejsce zamieszkania czy sytuację finansową. Dzięki temu platforma stanowi ważne narzędzie dla popularyzacji nauki i rozpowszechniania wiedzy. Zasoby atlasu są stale uaktualniane i rozwijane, aby zapewnić ich jak najlepszą jakość i aktualność. Wszystkie dostępne materiały są dokładnie opisane i sklasyfikowane, co umożliwia łatwe i szybkie znalezienie potrzebnych informacji.

Korzystanie z AZON 2.0 jest proste i przyjazne dla użytkownika. Wszystkie zasoby są dostępne online, bez konieczności pobierania ich na komputer. Dostępność w każdym miejscu i o każdym czasie, a także łatwość poruszania się po systemie czynią go idealnym narzędziem dla wszystkich zainteresowanych rozwojem nauki i poznaniem świata.

AZON 2.0 zawiera bogate źródło informacji z wielu dziedzin nauki, w tym biologii, chemii, fizyki, matematyki, informatyki, nauk humanistycznych, nauk społecznych i wielu innych. Na platformie znajdziemy zarówno zasoby naukowe, jak i popularnonaukowe, w tym publikacje akademickie,

artykuły, książki, prezentacje, filmy i wiele innych, co pozwala na zdobycie wiedzy zarówno na poziomie zaawansowanym, jak i podstawowym. Wszystkie treści są dostępne w jednym miejscu, co umożliwia łatwe i szybkie znalezienie potrzebnych informacji bez konieczności przeszukiwania wielu różnych źródeł.

Materiały zawarte w Atlasie Zasobów Otwartej Nauki 2.0 pochodzą z różnych uczelni wyższych, co zapewnia dostęp do szerokiego spektrum informacji naukowych i edukacyjnych. Dzięki temu, AZON 2.0 stanowi skarbnicę wiedzy i jest nieocenionym źródłem informacji dla naukowców, studentów, nauczycieli i wszystkich osób poszukujących wiedzy. Wszystkie materiały są weryfikowane i udostępniane w celu zapewnienia jak najwyższej jakości i wiarygodności informacji.

W pierwszej edycji projektu AZON zostało udostępnionych ponad 40 000 materiałów różnego typu, które zostały pobrane prawie 4 miliony razy. Ponadto zdigitalizowano 5 200 materiałów, a niektóre z nich nigdzie przedtem nie były opublikowane. Wszystkie te aspekty wpływają na fakt, iż grupą docelową platformy, oprócz pracowników naukowych, studentów i doktorantów, są wszyscy zainteresowani, w tym przedsiębiorcy oraz, co istotne i unikatowe - osoby niepełnosprawne, niewidome, niedowidzące i niesłyszące.

ATLAS ZASOBÓW OTWARTEJ NAUKI 2.0

Ponad 60 000 zasobów z różnych dziedzin nauki

5200 zdigitalizowanych zasobów nie-cyfrowych

Dostępność dla osób z niepełnosprawnościami oraz dla przetwarzania maszynowego.

ZASOBYNAUKI.PL AZON 2.0

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Duże i małe wydatki tworzą budżet – Wojciech Murdzek	6
Światowy Kongres Kopernikański	7
Multigrantowcy i debiutant	8
Nowi profesorowie	9
Dopasowana edukacja – Teofil Jesionowski	10
Razem, nie osobno – Małgorzata Witko i in.	11
Poewaulacyjny szkic do portretu – Błażej Skoczeń	12
Rektorzy chcą zmian w ewaluacji	13
Jak sztuczna inteligencja wspomaga edukację – Grzegorz Mazurek	14
Za co jestem wdzięczny Karen Blixen? – Andrzej Zybortowicz	15
Realne problemy wirtualnej biblioteki	16
Bezwarunkowa Indywidualna Subwencja dla naukowców – Marek Kosmowski	17
Najlepsza uniwersjada od dekady	18
W cieniu kryzysów – Tomasz Sińczak	19
Łódź Ulissesa najlepszą książką humanistyczną	27

ROZMOWA FORUM

Ciepłe dokumenty – rozmowa z prof. Stanisławem Wrzoskiem, prawnikiem z KUL, przewodniczącym PKA	20
Żywy pomnik Kopernika – rozmowa z prof. Grzegorzem Górskim, pełnomocnikiem ministra edukacji i nauki do spraw organizacji Akademii Kopernikańskiej	25

ŻYCIE NAUKOWE

NCN a samodzielność i doskonałość naukowca – Michał Tomza	28
Fabryki artykułów – Jolanta Szczepaniak	31
Wywrócić istniejący porządek rzeczy – Aneta Zawadzka	36
Szarża lekkiego brygadiera. Cz. 1 – Dariusz Seweryn	37

Kultura recenzji naukowych

Recenzenckie patologie – Piotr Siuda	40
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Drapieżniki w życiu akademickim – Zbigniew Drozdowicz	44
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	47
Systemowe działanie vs. projektowy supermarket? – Anna Sajdak-Burska, Iwona Maciejowska	48

Łódź dawna, Łódź nowa – rozmowa z dr. Przemysławem Wachowskim, rektorem ASP w Łodzi	51
--	----

Publikuj lub giń

Opowieści o pograniczu – Marek Misiak	56
--	----

Z LABORATORIÓW

Epistemiczne banki informacyjne – Monika Krakowska	59
Jak badać wojnę? – Marcin Jarząbek	63
Kultura bezdzietności – gdzie są te dzieci? – Olga Smalej-Kołodziej	67

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej

Czego nie wiemy o Koperniku – Marcelina Smuzewska	70
--	----

Pro publico bono (5)

Być może wchodzić do archiwów – Piotr Hübner	74
---	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Nie tylko piekło – Marek Misiak	77
Rozwój świata – Jadwiga Michalczyk	77
Dydaktyka, głupcze! – Anna Jawor	78
Obrazy Warszawy – Tomasz Klusek	78
Listy mikrobiologa – Artur Kijas	79
Żyj i daj żyć innym – Jacek Hnidiuk	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Sztuka i zło – Piotr Müldner-Nieckowski	76
--	----

Na marginesach nauki

Family of man? – Leszek Szaruga	80
------------------------------------	----

Projekt okładki – Sławomir Makal

FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXX Nr 2 (351) Luty 2023

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Żana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroniński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Żana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 2112405497111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Wykształca kadry dla atomu

WARSZAWA Opracowanie programu kształcenia na kierunku energetyki jądrowej oraz organizację i uruchomienie studiów I i II stopnia o profilu ogólnokademyjskim na tym kierunku od roku akademickiego 2023/2024 obejmuje porozumienie, które minister edukacji i nauki podpisał z rektorami sześciu uczelni technicznych. Studia prowadzone będą w politechni-



Fot. MEN

kach: Poznańskiej, Śląskiej, Gdańskiej, Warszawskiej i Wrocławskiej oraz Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Będą one kształcić nie tylko inżynierów od technik jądrowych, ale również ekspertów odpowiedzialnych za infrastrukturę krytyczną, automatykę i robotykę. Dla nowej gałęzi przemysłu potrzebni są również chemicy, inżynierowie elektrycy, specjaliści technologii chemicznych, specjaliści ds. bezpieczeństwa i ochrony środowiska, cyberbezpieczeństwa, naukowcy, służby reagowania kryzysowego. Minister Przemysław Czarnek zapowiedział stworzenie oddzielnego programu rozwoju energetyki jądrowej.

Grantowe żniwa w Nenckim

WARSZAWA Dr Adam Kłosin, kierownik Pracowni Epigenetyki Przeźrzennej w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, zdobył EMBO Installation Grant. Jego projekt dotyczy procesów regulujących organizację przestrzenną ekspresji genów podczas rozwoju embrionalnego i podczas odpowiedzi na stres, np. przy podwyższonej temperaturze, w zarodkach organizmu modelowego nicienia *Caenorhabditis elegans*. Ten mały, przezroczysty organizm modelowy jest idealny do badań nad podstawowymi procesami komórkowymi, z racji wielu dostępnych technik transgenicznych i łatwości w hodowli oraz w obrazowaniu mikrosko-



Fot. Archiwum

powym. EMBO to międzynarodowa organizacja zrzeszająca ponad 1800 wybitnych badaczy zajmujących się biologią molekularną. Jej stypendyci oprócz 50 tys. euro rocznie przez okres 3–5 lat otrzymują też dostęp do infrastruktury badawczej w Europejskim Laboratorium Biologii Molekularnej w Heidelbergu. Od 2006 roku EMBO przyznała już 137 Installation Grants, z czego 31 polskim naukowcom. Dodajmy, że dr Kłosin w listopadzie ub.r. uzyskał także ERC Starting Grant.

Doktorat h.c. – prof. Jacek Popiel

KIELCE Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymał 19 stycznia tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Jana Kochanowskiego. Prof. Popiel jest drugim rektorem najstarszej polskiej uczelni (po Franciszku Ziejce w 2004 r.) i 21 osobą wyróżnioną przez UJK najwyższą godnością akademicką. Pracuje w UJ od 1977 roku. Był dyrektorem Instytutu Polonistyki, a następnie dziekanem Wydziału Polonistyki. Od 2012 do 2020 r. pełnił funkcję prorektora ds. polityki kadrowej i finansowej. W 2020 r. został wybrany na rektora. Przez wiele lat był związany z Państwową Wyższą Szkołą Teatralną



Fot. UJK

im. Ludwika Solskiego w Krakowie (obecnie Akademia Sztuk Teatralnych im. S. Wyspiańskiego), w której pełnił funkcję dziekana Wydziału Aktorskiego, prorektora i przez dwie kadencje rektora. Jego zainteresowania obejmują historię dramatu i teatru polskiego XIX–XXI wieku, dzieje szkolnictwa teatralnego i edycję naukową tekstów literackich. Jest wiceprzewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich i przewodniczącym Kolegium Rektorów Szkół Wyższych Krakowa.

Heweliusze w godnych rękach

GDAŃSK Prof. Jacek Zaucha z Uniwersytetu Gdańskiego oraz prof. Ryszard Smoleński z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego zostali laureatami Nagród Naukowych Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza. Ucznogo z UG uhonorowano za opracowanie metodologii badania rozwoju



Fot. Grzegorz Mieling

przestrzennego obszarów morskich. Przywrócił on znaczenie takich kategorii przestrzennych jak np. kapitał terytorialny, optimum terytorialne, spójność terytorialna jako czynników sprawczych wzrostu i rozwoju. Naukowiec z GUMed doceniono za badania dotyczące metabolizmu nukleotydów w chorobach sercowo-naczyniowych i nowotworowych. Służą one poszukiwaniu nowych leków oraz odkryciu nowych biomarkerów, czyli substancji, które mogłyby wskazywać na zwiększone ryzyko tych chorób. Popularne „Heweliusze”, zwane też Pomorskimi Noblami, przyznano już po raz 35. Gala odbyła się tradycyjnie w Dworze Artusa.

Lubelski Nobel dla prawniczki z KUL

LUBLIN Dr hab. Małgorzata Gałązka z Instytutu Nauk Prawnych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II została laureatką Nagrody Naukowej im. prof. Edmunda Prosta. „Lubelskiego Nobla” otrzymała za monografię poświę-

coną eksperymentom medycznym. W swojej pracy badawczej podejmuje zagadnienia ze styku prawa karnego i medycyny, m.in. początku życia ludzkiego, aborcji, transplantologii, klonowania człowieka czy granic badań biomedycznych. Nagrodzona praca *Prawnokarne granice nowatorskiej interwencji medycznej* koncentruje się na ocenie działań, które wykraczają poza granice dotychczasowych możliwości medycyny. Lubelskie Towarzystwo Naukowe nominowało w tym roku 14 badaczy. Nagroda, indywidualna lub zespołowa, przyznawana jest od 2000 roku za pracę badawczą cechującą się oryginalnością i wysokimi walorami naukowymi; publikacją książkową lub monografią, mającą szczególną wartość poznawczą; lub za innowacyjne wynalazki bądź udoskonalenia techniczne.



Fot. KUL

Nagroda od Klubu Stypendystów FNP

KRAKÓW Dr Magdalena Mijasz z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymała Nagrodę im. Artura Rojszczaka, tragicznie zmarłego znakomitego filozofa, jednego z założycieli i głównych animatorów



Fot. IZP.UJ

Klubu Stypendystów Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. W swojej pracy laureatka koncentruje się na zjawisku stygmatyzacji społecznej i związanego z nią stresu oraz dążeniu do lepszego zrozumienia znaczenia stygmatyzacji dla zdrowia i przeciwdziałania jej negatywnym konsekwencjom. Wykorzystuje kombinację psychologicznych i biomedycznych metod badawczych. Podejmuje

też aktywne działania na rzecz osób wykluczonych oraz angażuje się w inicjatywy mające na celu przeciwdziałanie wykluczeniom lub wspieranie osób ich doświadczających. Nagroda (5 tys. zł) jest przyznawana młodym badaczom, którzy obronili pracę doktorską w ciągu ostatnich 5 lat od złożenia wniosku.

Wektor dla najmłodszego profesora

WARSZAWA Prof. Mateusz Hołda z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymał Wektora. Nagrodą wyróżniane są osoby, które

w szczególności wpływają na rozwój polskiej gospodarki, wskazują nowatorskie rozwiązania oraz przyczyniają się do rozwoju społecznego i kulturalnego. Został doceniony za ponadprzeciętne dokonania naukowe i wyznaczenie własnej ścieżki rozwoju, która jeszcze przed ukończeniem 30 roku życia doprowadziła go do tytułu profesora (2022). Wcześniej, jako pierwszy w Polsce, zdobył stopień doktora jeszcze przed ukończeniem studiów magisterskich (pisaliśmy o tym w FA 12/2022). Jest współzałożycielem i kierownikiem powstałego w 2013 r. niezależnego zespołu naukowego Heart Embry-



Fot. Archiwum

ology and Anatomy Research Team przy Katedrze Anatomii UJ CM. Skupia się na morfologii układu sercowo-naczyniowego oraz technikach obrazowania architektury mięśnia sercowego. Wektory wręczane są od 20 lat przez Pracodawców RP, najstarszą i największą organizację pracodawców w Polsce.

Wyróżnienie dla artysty z UMK

TORUŃ Dr hab. Sebastian Mikołajczak z Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika został laureatem prestiżowego międzynarodowego konkursu Van der Veen/Teylers Museum Prize for the Contemporary Art Medal. Przyznawaną raz na 5 lat nagrodą honorowani są artyści ze znaczącym dorobkiem medalierskim, których twórczość



Fot. Andrzej Romaniński

jest uznawana za obiecującą. Polaka doceniono za zaskakujące zastosowanie różnorodnych technik, form i materiałów oraz tematykę dzieł, poprzez które niezmiennie komentuje aktualne wydarzenia społeczno-polityczne. Mikołajczak zajmuje się rzeźbą, instalacją, medalierstwem i projektowaniem monet. Współpracuje z Mennicą Polską, projektuje monety kolekcjonerskie i obiegowe dla Narodowego Banku Polskiego oraz emitentów zagranicznych. Zaprojektowana przez niego moneta, upamiętniająca 100 rocznicę urodzin Jana Karłowicza, zdobyła tytuł naj-

bardziej inspirującej monety świata w konkursie numizmatycznym Coin of the Year 2016. Muzeum Teylersa jest najstarszą tego rodzaju instytucją w Holandii. Działa nieprzerwanie od 1784 roku.

Będą badać zachowania konsumentów

POZNAŃ Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu uruchomił Laboratorium Ekonomii Behawioralnej i Eksperymentalnej. Jednostka umożliwi eks-



Fot. UPP

perymentalną weryfikację teorii ekonomicznych oraz badanie zachowań rynkowych i konsumenckich w warunkach kontrolowanych. Pracownia powstała na Wydziale Ekonomicznym UPP. Wyniki prowadzonych w niej eksperymentów wykorzystywane są do testowania, a także lepszego zrozumienia teorii ekonomicznych i mogą być wskazówką przy wprowadzaniu lub reformowaniu instrumentów politycznych. Na wyposażeniu jest nowoczesny sprzęt do badań z zakresu neuroekonomii (EEG oraz eye-tracker), urządzenia do testowania zachowań graczy przy wykorzystaniu teorii gier oraz sala fokusowa przeznaczona do pozyskiwania danych o charakterze jakościowym w formie wywiadów grupowych. Badania obejmują analizę zachowań podmiotów w sektorze rolno-spożywczym, uwzględniając globalne trendy na rynku żywności oraz interwencję w ramach Wspólnej Polityki Rolnej UE.

Nowy budynek w kampusie APS

WARSZAWA Kampus Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej powiększył się o nowy budynek dydaktyczno-naukowy. Budowa trwała blisko 3 lata, a kosztowała ok. 40 mln zł. Pięciokondy-



Fot. APS

gnacyjny obiekt o powierzchni 1344 m² został połączony z dwoma sąsiadującymi budynkami uczelni. W nowym gmachu znajdują się dwie aule (na 100 i 170 miejsc). Większą wykonano według najlepszych praktyk akustyki pomieszczeń – wykorzystano specjalne panele, które znacznie poprawiają jakość pracy zarówno wykładowcom, jak i studentom. W nowej przestrzeni zlokalizowano: 15 sal dydaktycznych (z miejscami dla 300 osób), czytelnię wraz z kabinami do cichej nauki oraz stanowiskami komputerowymi, sale seminaryjne, dwie pracownie z lustrami weneckimi, archiwum, strefę studenta, pokój rodzica z dzieckiem, dwie sale do odbywania zajęć w formie hybrydowej i salę Senatu. W budynku siedzibę znajduje też Muzeum Marii Grzegorzewskiej.

Kolejny Polak w EASA

WARSZAWA Prof. Leszek Roszkowski, lider Grupy Teorii Cząstek w Narodowym Centrum Badań Jądrowych oraz kierownik MAB AstroCeNT w Centrum Astronomicznym im. M. Kopernika PAN, dołączył do grona członków Europejskiej Akademii Nauki i Sztuki. Jest uznanym specjalistą w zakresie badań ciemnej materii we Wszechświecie oraz jej związków z dziedziną cząstek elementarnych. Wśród jego zainteresowań są także m.in. modele „nowej fizyki” poza Modelem Standardowym, modele supersymetryczne i metody ich eksperymentalnego testowania, bozony Higgsa w modelach supersymetrycznych, anomalny moment magnetyczny mionu. Przewodniczy Krajowej Radzie Astrofizyki Cząstek. European Academy of Sciences and Arts (EASA) to jedna z najbardziej prestiżowych organizacji naukowych i artystycznych w Europie. Powstała w 1990 r. Należy do niej ponad 2 tys. naukowców, ludzi kultury i religii, w tym 40 Polaków. Jej celem jest promowanie nauki oraz naukowej i artystycznej wolności w poszukiwaniu prawdy.



Źródło: Archiwum

Poznają tajniki gier komputerowych

BIELSKO-BIAŁA Nowe laboratorium projektowania oraz animacji gier komputerowych powstało na Wydziale Budowy Maszyn i Informatyki Akademii Techniczno-Humanistycznej. W sali znajduje się 15 stacji graficznych umożliwiających m.in. przeprowadzenie skomplikowanych obliczeń na potrzeby sztucznej inteligencji czy modelowanie obiektów 3D. Sprzęt pozwoli także na tworzenie cyfrowych awatarów oraz modelowanie, teksturowanie i animowanie obiektów. Wśród rozwiązań VR znalazł się bezprzewodowy zestaw do obsługi rzeczywistości mieszanej. W ramach zajęć studenci zobaczą nowe sposoby interakcji człowiek-komputer. Oprócz klasycznych technik, poznają sterowanie



Fot. AIT

poprzez ekrany dotykowe, kontrolery VR (umożliwiające symulowanie gestów), jak i śledzenie ruchów ciała i dłoni.

Pierwsza polska uczelnia w YERUN

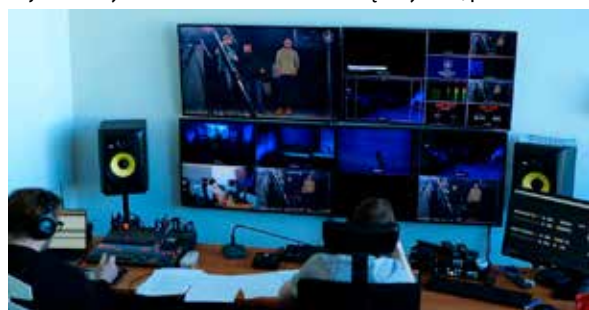
TORUŃ Uniwersytet Mikołaja Kopernika jest pierwszą polską uczelnią, która dołączyła do stowarzyszenia Young European Research Universities Network (YERUN). Wraz z 22 innymi szkołami wyższymi z całej Europy będzie uczestniczyć w kształtowaniu polityki europejskich w zakresie badań, innowacji i edukacji. – W naszej strategii, wśród głównych celów zapisano m.in. zaangażowanie w sprawy społeczne, zarówno lokalne, jak i europejskie. W dobie ostatniego kryzysu bardziej niż kiedykolwiek ważne jest, aby być zjednoczonym w ramach europejskiej społeczności akademickiej – powiedział prof. Andrzej Sokala, rektor UMK. Sieć YERUN powstała w 2016 r. jako zrzeszenie młodych europejskich uczelni o podobnych celach i wartościach, takich jak otwartość, odpowiedzialność i inkluzywność. Podstawową misją stowarzyszenia jest kształtowanie środowiska szkolnictwa wyższego, w którym młode uczelnie mają rzeczywisty wpływ na jego rolę i charakter.

Poewaluacyjne uniwersytety?

CZĘSTOCHOWA Senat Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza jednogłośnie podjął uchwałę o zmianie nazwy uczelni, która miałaby dołączyć do grona uniwersytetów klasycznych. To pokłosie ostatniej ewaluacji, w wyniku której na 13 dyscyplin sześć uzyskało kategorię A (historia, literaturoznawstwo, nauki chemiczne, nauki prawne, sztuki muzyczne, sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki), a siedem kategorię B+. Być może pod nową nazwą – Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie – zainaugurowany zostanie już kolejny rok akademicki. Nad zmianą statutu uczelni pracują już także w Akademii Pomorskiej w Słupsku. To początek formalnej drogi do przekształcenia jej w Uniwersytet Pomorski. Po ewaluacji AP posiada uprawnienia do nadawania stopnia doktora w siedmiu dyscyplinach w trzech różnych dziedzinach. Uzyskała kategorię A w dyscyplinie nauki prawne, kategorię B+ w dyscyplinach: nauki o bezpieczeństwie, historia, literaturoznawstwo, językoznawstwo, nauki biologiczne, nauki medyczne oraz pedagogika, a także kategorię B w dyscyplinach: nauki o ziemi i środowisku oraz matematyka. Ostateczna decyzja w sprawie zmiany statusu uczelni należy do ministra edukacji i nauki, za pośrednictwem którego stosowne wnioski zostaną złożone w Sejmie.

Studenci za kamerą

SZCZECIN Nowe studio i pracownię telewizyjną otwarto na Uniwersytecie Szczecińskim. Będą działać w uczelnianym Centrum Edukacji Medialnej i Interaktywności. W skład studia wchodzi: reżyserka, pomieszczenie



Fot. Piotr Zieliński

do montażu i sala produkcyjna o powierzchni prawie 140 m² wygłuszona pianką akustyczną i wyposażona w lekką kratownicę sceniczną. W reżyserce znajdują się miejsca dla realizatorów światła, obrazu, dźwięku oraz stanowiska montażowe. Na wyposażeniu jest wysokiej klasy sprzęt, m.in. greenbox (8×11 m oraz 2,7×4 m), który idealnie współpracuje z kamerami cyfrowymi. Zakupiono również mobilny mikser produkcyjny firmy Blackmagic Design, który zapewnia emisyjny standard obsługi wydarzeń live i strumieniowanie transmisji na żywo za pomocą m.in. serwisu Youtube, Vimeo czy Facebook. Przypomnijmy, że w grudniu 2021 roku ruszyła rozgłośnia Uniwersytetu Szczecińskiego – NiUS Radio.

Wspólne badania

WARSZAWA Fundacja na rzecz Nauki Polskiej rozstrzygnęła drugi konkurs na polsko-ukraińskie projekty badawcze. Złożono 101 wniosków. Roczne granty otrzymały trzy duety. Dr hab. Magdalena Szyszko (WSB w Poznaniu) oraz dr Olena Motuzka (Narodowa Akademia Statystyki, Rachunkowości i Audytu w Kijowie) zajmą się zidentyfikowaniem i oceną zmiany polityki pieniężnej pod względem komunikacji, narzędzi i efektów krótkoterminowych podczas rosyjskiej inwazji. Dr hab. Michał Federowicz (Instytut Filozofii i Socjologii PAN) i dr Serhii Terepshchyi (Narodowy Uniwersytet Pedagogiczny im. Dragomanowa w Kijowie) udokumentują szkolną twórczość społeczną powstającą w trakcie wojny oraz przedstawiają jej interakcję z ograniczeniami instytucjonalnymi. Dr Ewa Wróblewska-Trochimuk (Instytut Sławistyki PAN) oraz dr Yana Hladyr (Krzyworoski Uniwersytet Narodowy) stworzą archiwum komunikacji wizualnej z wybranych relacji publikowanych przez ukraińskie instytucje publiczne. Każdy projekt otrzymał dofinansowanie w wysokości 268 800 zł. Aplikacje do kolejnego konkursu można składać do 4 kwietnia.

UKSW z nowoczesnym tomografem

WARSZAWA Multidyscyplinarne Centrum Badawcze Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego wzbogaciło się o nowoczesny tomograf komputerowy. Jest wyposażony w dwie lampy: transmisyjną, umożliwiającą obserwację w mikro skali oraz odbiciową, odpowiednią dla gabarytów, których waga dochodzi do 50 kg. Prześwietla elementy wykonane z dowolnego materiału: metalu, ceramiki, polimeru, kompozytu czy materiału biologicznego. Jednocześnie pozwala na precyzyjną, trójwymiarową wizualizację ich wewnętrznej struktury, a więc także wykrycie mikropełnięć, zanieczyszczeń, porowatości. Za jego pomocą można nie tylko wykryć wady, ale również ich charakter i miejsce występowania. I to



Źródło: UKSW

zarówno w turbinach silników, jak i w elementach urządzeń elektronicznych – co ważne, bez rozkładania ich na elementy składowe. Otwarte niedawno MCB UKSW w podwarszawskim Dziekanowie Leśnym to jednostka, w której tworzone są nowe technologie mające zastosowanie w szeroko rozumianej gospodarce, w tym w przemyśle i ochronie środowiska.

Mistrzowsko uporali się z asteroidą

WARSZAWA Studenci z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego zdobyli złoty medal w konkursie University Physics Competition 2022. W rywalizacji wzięło udział 417 drużyn z ośrodków naukowych z całego świata. Miały za zadanie w ciągu 48 godzin rozwiązać problem, przeprowadzić symulację, napisać pracę naukową na jeden z dwóch tematów i wysłać ją do organizatorów. Pierwsze zagadnienie „Deflecting an Asteroid” dotyczyło nadlatującej w kierunku Ziemi asteroidy i to właśnie w tej konkurencji drużyna w składzie: Jan Dobrakowski, Wojciech Śmiałek, Ignacy Stachura okazała się najlepsza. Drugi temat „FIFA Penalty Kicks” poświęcony był rzutom karnym w meczach piłki nożnej. Studenci UW już po raz siódmy z rzędu brali udział w konkursie UPC. Oprócz złota zdobyli w tym roku także 5 srebrnych i 2 brązowe medale.

Przełomowy test na endometriozę

WARSZAWA Naukowcy z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego opracowali pierwszy na świecie bezinwazyjny test służący do diagnostyki endometriozy. Cierpi na nią co dziesiąta kobieta. Charakterystycznym objawem jest bardzo silny ból. Wykrycie choroby nie jest proste i wiele kobiet otrzymuje diagnozę dopiero, gdy trafią na stół operacyjny, wówczas lekarz pobiera wycinki i oddaje je do badań. Według statystyk od pierwszych objawów do postawienia rozpoznania mija nawet 12 lat. Rozwiązanie opracowane w WUM pozwoli skrócić ten czas do 48 godzin. Bezinwazyjny test EndoRNA, stworzony w ramach start-upu Diagendo, przypomina te do diagnostyki koronawirusa. Jednak w przypadku endometriozy markerem jest specyficzny gen, który – jak się okazało – wykazuje nadaktywność u kobiet cierpiących na tę chorobę. Najpierw ginekolog pobierze pacjentce wymaz z wnętrza macicy, a następnie wyśle ten materiał do laboratorium, gdzie przy użyciu testu sprawdzą, czy mamy do czynienia z endometriozą, czy nie.

Studenckie pomysły nagrodzone

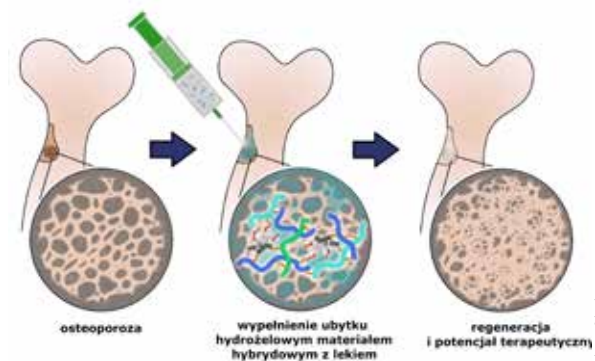
KIELCE Mieszanka mineralno-asfaltowa do budowy dróg o podwyższonej trwałości eksploatacyjnej, nowe nanomateriały dla odnawialnych



źródeł energii oraz układ do monitorowania czynności życiowych niemowlaka podczas snu bazujący na sieci neuronowej – to kilka z wynalazków nagrodzonych w XIII konkursie „Student-Wynalazca”. Nadesłano 123 zgłoszenia od 285 twórców z 23 uczelni. Wśród najaktywniejszych znaleźli się młodzi innowatorzy z Uniwersytetu Śląskiego (14 rozwiązań), Politechniki Lubelskiej (12), Politechniki Świętokrzyskiej (11). Nagrody główne trafiły do: Justyny Pastuszak (PL), Karoliny Janus (PŚk), Dagmary Słoty i Magdaleny Bańkosz (PK) oraz zespołów z PW i UŚ. Do wszystkich dotychczasowych konkursów ponad 2,7 tys. wynalazców zgłosiło już w sumie 1300 pomysłów.

Przełom w leczeniu osteoporozy?

KRAKÓW Zespół naukowców z Wydziału Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego pod kierunkiem prof. Marii Nowakowskiej stworzył wielo-



Rys. Adriana Gilarska

funkcyjny materiał, którego przeznaczeniem jest udoskonalenie metod leczenia osteoporozy oraz niwelowanie niedużych ubytków kostnych. Ma postać hydrożelu, który wstrzykuje się w miejsce ubytku kości, gdzie następnie dochodzi do jego „zestalenia” w wyniku sieciowania chemicznego zachodzącego w temperaturze 37°C. Ze względu na swoją strukturę i skład (m.in. kolagen, kwas hialuronowy, chitozan, hydroksyapatyt) hydrożel trwale przyczepia się do tkanki kostnej i pełni funkcję rusztowania, na którym w naturalnych procesach biologicznych tworzy się nowa tkanka kostna wypełniająca ubytek. Może być także nośnikiem leków na osteoporozę, które da się podać miejscowo wyłącznie w okolice chorych tkanek i ubytków. Pozwoli to na aplikowanie znacznie większych stężeń leku i tym samym zwiększenie efektywności terapii.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Piotr Burda, Iwona Cieślak, Kamil Dziewit, Agnieszka Fiedorowicz, Joanna Herman, Jarosław Kulczycki, Monika Stojowska, Joanna Sliwińska, Dominika Wojtyśiak-Łańska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej www.forumakademickie.pl oraz na naszych profilach na Facebooku i na Twitterze



Duże i małe wydatki tworzą budżet

Wojciech Murdzek, sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji i Nauki komentuje budżet nauki i szkolnictwa wyższego na rok 2023, wskazując m.in. na konkretne przedsięwzięcia składające się na końcową kwotę. Podkreśla wpływ nakładów na badania na rozwój gospodarczy i społeczny.

Łączne nakłady na naukę i szkolnictwo wyższe oraz działalność badawczo-rozwojową w budżecie państwa planowane są w kwocie 37,1 mld zł wobec 33,7 mld w 2022 r. Oznacza to wzrost o 3,4 mld zł, czyli o 10%. Środki na naukę i szkolnictwo wyższe znajdujące się w bezpośrednim władztwie ministra edukacji i nauki wynoszą 25 631 mln zł, co oznacza spadek w porównaniu z 2022 r. Wynika on jednak wyłącznie z faktu, że znaczna kwota – blisko 4,5 mld zł (głównie środki z funduszy europejskich) – przeszła wraz z nadzorem nad NCBR do Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej. W gestii ministra edukacji i nauki pozostały głównie środki budżetu krajowego. Planowane są w wysokości 25 mld 533 mln zł i w porównaniu do 2022 r. wzrastają o 2 182 mln zł, tj. o 9,35%.

Najważniejszym wydatkiem jest oczywiście subwencja na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego i badawczego, na którą przeznaczymy co najmniej 17 mld 350 mln zł. Środki te pozwolą na wzrost kwoty subwencji dzielonej algorytmem. Planujemy 3% kąt wzrostu subwencji przy rozpiętości „tunelu” w przedziale od plus 1% do plus 5%. Ponadto poza podziałem algorytmicznym są środki na sfinansowanie skutków podwyżek o 4,4% z października 2022 r. i tegorocznych podwyżek o 7,8%. Środki na skutki przechodzące podwyżek zostały zaplanowane już w projekcie ustawy budżetowej, więc mogliśmy je uruchomić już w styczniu, natomiast podwyżki o 7,8% w ujęciu całorocznym zagwarantowane zostały dopiero w trakcie prac sejmowych i musieliśmy czekać na podpis ustawy budżetowej przez Pana Prezydenta. Ustawa budżetowa została już podpisana, więc jeszcze w lutym uruchomimy podwyżki o 7,8% z wyrównaniem od stycznia. Z poziomem środków na podwyżki skorelowana została zmiana rozporządzenia, które ustala wysokość minimalnego wynagrodzenia profesora. Wynagrodzenie wzrosło o 12,5%, a od niego zależy szereg innych wynagrodzeń pracowników akademickich. Zdaję sobie sprawę, że oczekiwania środowiska akademickiego są większe, ale sądzę, że to jest dobry sygnał w tych trudnych czasach.

Na budżet składa się też dotacja na pomoc materialną dla studentów i doktorantów, którą aktualnie w budżecie zaplanowano w kwocie 1,5 mld zł, ale w związku ze zmianą progów dochodowych uprawniających do świadczeń zostanie ona w trakcie roku zwiększona.

W budżecie MEiN na naukę i szkolnictwo wyższe zaplanowano także środki na Narodowe Centrum Nauki – 1 mld 436 mln zł, Narodową Agencję Wymiany Akademickiej – 167 mln zł, a także dla Narodowego Centrum Badań i Rozwoju – 935 mln zł, które pomimo zmiany nadzoru, nadal będzie realizowało niektóre zadania finansowane przez MEiN. No i wreszcie na Sieć Badawczą Łukasiewicza przeznaczamy prawie 383 mln zł. Zaplanowano także środki na 2 odrębne części budżetowe – Polską Akademię Nauk w kwocie prawie 111 mln zł i nową instytucję – Akademię Kopernikańską w wysokości 25 mln zł.

Za rzadko pokazujemy nasz udział w międzynarodowych przedsięwzięciach badawczych. Jednym z najważniejszych jest CERN. Nasza składka w tym roku wyniesie 173 mln zł. Co daje polskim obywatelom ten wkład? Okazuje się na przykład, że jednym z dostawców komputerów do tego gigantycznego centrum obliczeniowego jest polska

firma. Inne polskie przedsiębiorstwo specjalizujące się w aparaturze kriogenicznej zawarło z CERN kontrakt na dostawy układów chłodniczych do Wielkiego Zderzacza Hadronów. Nawiasem mówiąc, firmę utworzyli Polacy, którzy wcześniej pracowali w CERN. W obu przypadkach chodzi o wielomilionowe kontrakty. Aż 45% naukowców, którzy pracowali w CERN, wraca do gospodarki, zasilając ją intelektualnie, podnosząc poprzeczkę technologiczną. Nasza składka to tylko 3 procent budżetu tej instytucji, ale w ślad za nią idzie aktywne zaangażowanie w prace badawcze. Przykładowo, aż 11 procent informatyków w CERN to Polacy. Zatem ta wpłata przynosi nie tylko korzyści naukowe, ale także dla gospodarki, i to nie tylko finansowe. Warto o tym pamiętać teraz, gdy każdą złotówkę obracamy w palcach kilka razy, zanim ją wydamy.

Jesteśmy też zaangażowani w budowę Europejskiego Źródła Spalacyjnego w Lund, czyli „wyrzutni” neutronów. Nasz wkład w tę potężną inwestycję wynosi 140 mln zł. To będzie jeden z najnowocześniejszych ośrodków badawczych, który wpłynie na wiele dziedzin życia, w tym na nowe technologie diagnostyczne i lecznicze. W budowę różnych infrastruktur badawczych angażujemy się nie tylko w postaci składki, ale także np. wykonawstwa pewnych elementów. Polskie firmy, instytucje i uczelnie uczestniczą w konstruowaniu i budowaniu aparatury badawczej i infrastruktury, która umożliwi jej wykorzystanie do badań. Te doświadczenia wracają do nas, wzbogacając polski przemysł myślą naukowo-techniczną.

Nasza roczna składka do Europejskiej Agencji Kosmicznej wynosi od tego roku 45 mln zł. Regularnie uzupełniamy ją także dodatkowymi środkami na konkretne programy Agencji. W zeszłym roku było to aż 25 mln zł. Podobnie zresztą jest z projektami naukowymi CERN. Jednak gdy zobaczymy, że w Polsce już powstają klastry firm zajmujących się technologiami kosmicznymi, że te firmy dynamicznie się rozwijają, a ich obroty rosną spektakularnie, to widać, że nasza aktywność w tym obszarze jest uzasadniona i wywiera wpływ nie tylko na naukę, ale wprost na gospodarkę i na rozwój społeczny. W tych kręgach Polacy są znani. To buduje naszą pozycję w wymiarze międzynarodowym. To jest kolejny, bardzo ważny aspekt inwestycji w wielkie międzynarodowe przedsięwzięcia naukowe, które okazują się wpływać nie tylko na naukę.

Pojawi się też w budżecie prawie 500 mln w postaci papierów skarbowych dla dziesięciu uczelni, które realizują program Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza oraz ponad 500 mln w tej samej postaci dla pozostałych uczelni. To decyzje, których w pierwszej wersji projektu budżetu nie było. Uwzględniając te dodatkowe obligacje, wzrost nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe jest większy niż wspomniałem i wynosi 11,5%.

Warto też zwrócić uwagę na pewne konkretne przedsięwzięcia, które kryją się za tymi wielkimi liczbami. Jednym z nich jest Dydaktyczna Inicjatywa Doskonałości, na którą przeznaczamy 15 mln zł. To środki skierowane do piętnastu uczelni zawodowych – niezależnie od tego, że większość już uzyskała status akademii nauk stosowanych, a niektóre starają się przejść do grona uczelni akademickich –



Fot. MEiN

na rozwój kształcenia praktycznego. Staramy się tego typu kształcenie wzmocnić co roku. Warto zwrócić uwagę na środki przeznaczone na realizację programu „Doktorat wdrożeniowy”, który uzyskuje bardzo pozytywne opinie. Na piąty konkurs, który rozpoczął się w 2021 roku, wydaliśmy ponad 31 mln zł. Pod koniec ubiegłego roku został rozstrzygnięty szósty konkurs, w którym w ramach pierwszych płatności przekazaliśmy uczelniom już 5,7 mln zł. Obecnie przygotowujemy siódmy konkurs.

Warto też wskazać kilka przykładów z uczelni. Uniwersytet Jagielloński otrzyma 43 mln zł na realizację przedsięwzięcia pn. „Wsparcie prowadzenia badań naukowych i prac rozwojowych z wykorzystaniem infrastruktury badawczej Narodowego Centrum Promieniowania Synchronotowego SOLARIS”. Zbudowanie infrastruktury Centrum Badań nad Sztuczną Inteligencją w Ośrodku Przetwarzania Informacji – Państwowym Instytucie Badawczym będzie kosztowało ponad 6 mln zł. W obszarze zdrowia Narodowy Instytut Onkologii w Warszawie na badania obrazowania molekularnego dostanie 4 mln zł. Budynek do pracy ze zwierzętami dla Państwowego Instytutu Weterynaryjnego – Państwowego Instytutu Badawczego w Puławach będzie kosztował 8 mln zł. Na druk 3D na Uniwersytecie Technologiczno-Humanistycznym w Radomiu przeznaczamy 4 mln zł.

Kwotą 60 mln zł (rozłożoną na lata 2021-2024) finansujemy przygotowanie przez Narodowe Centrum Badań Jądrowych w Świerku opisu technicznego badawczego wysokotemperaturowego reaktora chłodzonego gazem – HTGR. To reaktory nowoczesne, jeszcze bezpieczniejsze, które wkomponują się w nasz program modernizacji energetycznej. Projekt realizowany jest wspólnie z Ministerstwem Klimatu i Środowiska oraz partnerami z Japonii. Rozpoczynamy dopiero pierwszy etap wieloletniego programu, na który planujemy przeznaczyć w tym roku ponad 32 mln zł. Wdrożenie, rozłożone na wiele lat, zamknie się zapewne kwotą wielokrotnie wyższą. Szereg takich aktywności i inwestycji składa się na obraz polskiej nauki. One często stanowią „być albo nie być” grup badawczych, konkretnych ważnych projektów, a nawet instytucji.

Środków na naukę jest zawsze za mało. Abyśmy mogli starać się o więcej musimy do poniesienia nakładów przekonać nie tylko decydentów, ale także społeczeństwo. Właśnie te konkretne projekty i inwestycje, sposób ich realizacji, pokazują, jak ważna jest nauka, co dokładnie nasi badacze robią, jak ich praca wpływa na rozwój gospodarczy i społeczny.

Notował Piotr Kieraciński

Światowy Kongres Kopernikański

Dla uczczenia 550 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika Senat RP ustanowił rok 2023 Rokiem Mikołaja Kopernika. Wybitny astronom urodził się w 1473 roku (zmarł w 1543, zatem w tym roku przypada także 480 rocznica jego śmierci). Był człowiekiem renesansu, zajmował się studiami klasycznymi, prawem, medycyną, astronomią i astrologią, matematyką, ekonomią, strategią wojskową i kartografią. Studiował w Akademii Krakowskiej (nauki matematyczno-przyrodnicze), Bolonii (prawo kanoniczne) i Padwie (medycyna), a na uniwersytecie w Ferrarze w 1503 roku uzyskał doktorat z prawa kanonicznego. Przez 40 lat pracował na Warmii jako sekretarz biskupa warmińskiego i medyk oraz kanonik przy katedrze we Fromborku, gdzie w przeprowadził swoje najważniejsze obserwacje astronomiczne. Ich wyniki zawarł w książce *De revolutionibus orbium coelestium* (O obrotach sfer niebieskich), która została wydrukowana w 1542 roku, tuż przed śmiercią uczzonego. Zaprezentował w niej heliocentryczny model Układu Słonecznego. Dziś znaczenie tego dzieła określamy mianem przewrotu kopernikańskiego w nauce, a kosmologiczno-filozoficzny postulat odrzucenia geocentryzmu i antropocentryzmu – zasadą kopernikańską. Kopernik był też autorem projektu reformy walutowej, formułując prawo, zgodnie z którym pieniądź gorszy wypiera lepszy.

Wiele instytucji naukowych i muzealnych organizuje tego roku wydarzenia poświęcone jubileuszowi kopernikańskiemu. Jednym z pierwszych była otwarta w styczniu wystawa zorganizowana przez Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku. Niewątpliwie najważniejszym będzie Światowy Kongres Kopernikański. Mamy tu do czynienia z jednej strony z inicjatywą państwową, usankcjonowaną ustawą o utworzeniu Akademii Kopernikańskiej (więcej w rozmowie z prof. Grzegorzem Górskim na str. 25), z drugiej – z przedsięwzięciem trzech uniwersytetów działających w miastach, z którymi związany był Mikołaj Kopernik: Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, miejscu urodzenia słynnego astronoma, Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, regionie, gdzie pracował oraz Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie stu-

diował. Ta inicjatywa też uzyskała wsparcie Ministerstwa Edukacji i Nauki.

Uroczystości rozpoczną się 19 lutego, w dniu urodzin Mikołaja Kopernika, a zarazem dniu Święta UMK. Uczestnicy spotkają się na mszy świętej w Bazylice Katedralnej św. Janów, po której w Kaplicy Kopernikowskiej odsłonięta zostanie pamiątkowa tablica. Po nabożeństwie akademicy złożą kwiaty pod pomnikiem Mikołaja Kopernika na toruńskim Rynku Staromiejskim. Potem ceremonia przeniesie się do Auli UMK, gdzie głos zabiorą m.in. minister edukacji i nauki dr hab. Przemysław Czarnek i profesorowie: Andrzej Sokala rektor UMK, Jacek Popiel rektor UJ, Jerzy Przyborski, rektor UWM oraz Krzysztof Mikulski – dyrektor Centrum Badań Kopernikańskich UMK. Wykład inauguracyjny wygłosi prof. Phillip James Edwin Peebles, kanadyjski astronom i kosmolog, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki w 2019 roku. W drugiej części obrad zostaną wręczone Nagrody Kopernikańskie i nominacje dla członków Akademii Kopernikańskiej i jej sekretarza generalnego. Następnie podczas Gali Nauki Polskiej zostaną wręczone Nagrody Ministra Edukacji i Nauki. W kolejnych dniach odbędą się spotkania poszczególnych izb Akademii Kopernikańskiej i wykłady z obszarów i zagadnień, którymi zajmował się Kopernik.

Kongres będzie miał kolejne trzy odsłony we wspomnianych uniwersytetach. W maju w Krakowie obrady poświęcone będą filozofii nauki (Seksja „Dziedzictwo kopernikańskie”) i ekonomii (seksja „Wokół pieniądza”). Uczestnicy olsztyńskiej części obradować będą w czerwcu w dwóch sekcjach. Pierwsza nosi tytuł „Mikołaj Kopernik – życie i działalność”. Druga zostanie poświęcona zagadnieniom muzealno-konserwatorskim. Część wrzesniowa kongresu, znów w Toruniu na UMK, podzielona zostanie na sześć sekcji: historii astronomii, kulturoznawczą, historii medycyny, lekarską, nauczycielską i młodzieżową. Będzie jej towarzyszył XLI Zjazd Polskiego Towarzystwa Astronomicznego, które w tym roku obchodzi stulecie powstania.

(p)

Multigrantowcy i debiutant

Trzy granty w pierwszych noworocznych konkursach European Research Council trafiły w ręce polskich naukowców. Prof. Magdalena Król z Instytutu Biologii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego ponownie otrzymała grant Proof of Concept na badanie zmian zachodzących w mikrośrodoisku nowotworu po terapii makrofagowej. Granty PoC o wartości 150 tys. euro każdy przyznawane są naukowcom, którzy realizują już badania finansowane ze źródeł ERC i w ich trakcie uzyskali nieoczekiwane lub nowe możliwości dla zastosowań komercyjnych bądź społecznych. Środki można przeznaczyć na prace, których nie przewidziano w pierwotnym projekcie. To drugi grant PoC dla prof. Król (poprzedni zdobyła w 2020 r.), a trzeci w ogóle. W 2016 r. otrzymała Starting Grant, w którym badała mechanizm TRAIN (ang. TRAnSfer of Iron-binding protein) wskazujący na nową drogę komunikacji między makrofagami a komórkami nowotworowymi, która może być wykorzystana do „przemycenia” leków antynowotworowych bezpośrednio do komórki, co stanowiłoby innowacyjną terapię komórkową guzów litych.

– Problemy współczesnej terapii najczęściej polegają na trudnościach docierania leków przeciwnowotworowych do guzów litych, szczególnie do ich miejsc niedotlenionych. Miejsca niedotlenione przyciągają makrofagi, które posiadają zdolność migracji nawet do miejsc odległych od naczyń krwionośnych, niedostępnych dla leków czy innych komórek odpornościowych. Makrofagi mogą zatem stanowić dobry system dostarczania substancji do tych rejonów. W badaniach wykorzystywana jest „klatka” białkowa – ferrytyna jako nośnik leków, który może być transportowany przez makrofagi. „Klatka” fer-



Dr Michał Drahus

Fot. archiwum prywatne

rytynowa jest łatwo pochłaniana przez makrofagi, a następnie transportowana do guza i w aktywny sposób przekazywana komórkom nowotworowym – opisuje swoje odkrycie założycielka start-upu biotechnologicznego Cellis, która z trzema grantami ERC dołączyła do polskiego lidera dr. hab. Piotra Sankowskiego (2010 – StG, 2015 – PoC, 2017 – CoG).

Dwa granty ma już na swoim koncie dr hab. Artur Obłuski, dyrektor Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Po ERC Starting Grant w 2017 r. teraz sięgnął po „konsolidatora”, o który mogą się ubiegać naukowcy u progu samodzielności badawczej (od 7 do 12 lat po doktoracie), posiadający co najmniej kilka ważnych publikacji napisanych bez udziału promotora, a także wykazujący się wyjątkowymi osiągnięciami naukowymi. Jego efektem będzie „biografia miejska” Tungul (Starej Dongoli), metropolii nubijskiej istniejącej przez ponad 1,5 tys. lat,

położonej na terenie dzisiejszego Sudanu. Prace badawcze skoncentrują się na czasach, gdy miasto było stolicą chrześcijańskiego królestwa Makurii (IV–XV wiek). Na realizację projektu przeznaczono blisko 2 mln euro.

Biografia Tungul dotyczyć będzie trzech powiązanych i wzajemnie od siebie zależnych tematów: krajobrazu miejskiego stolicy, jego ukształtowania i planowania, mieszkańców miasta oraz klimatu i środowiska. Projekt jest multidyscyplinarną próbą zbadania uwarunkowań trwałości osadnictwa w dolinie Nilu: dlaczego miasto powstało właśnie w tym miejscu oraz jakie czynniki pozwoliły mu przetrwać tak długo, pomimo trudnych warunków środowiskowych i dynamicznych



Prof. Magdalena Król

Fot. SGGW



Dr hab. Artur Obłuski

zmian politycznych. Funkcjonowanie Tungul ukazane zostanie z różnych perspektyw: urbanistycznej, środowiskowej i demograficznej.

– Zamieszkujący miasto ludzie niezwykle efektywnie wykorzystywali swoje położenie geograficzne, umiejętnie czerpiąc zarówno z zasobu antycznego Śródziemnomorza, jak i Afryki, co stworzyło unikalny na skalę światową i jedyny w swoim rodzaju organizm społeczny, polityczny i kulturowy. Jedną z naszych intencji jest walka z mitem Afryki jako kontynentu bez historii i bez cywilizacji. Tungul i królestwo Makurii powstały pięćset lat przed powstaniem Polski – wyjaśnia pierwszy polski archeolog, który otrzymał dwa granty ERC.

Wśród 321 laureatów ERC CoG znalazł się także dr Michał Drahus z Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Otrzymał 3 mln euro na projekt HYADES, w ramach którego powstanie dedykowany teleskop kosmiczny do obserwacji

wodoru i deuteru wokół małych ciał w Układzie Słonecznym. Atomy wodoru uwolnione w gazowych otoczkach komet wskutek rozpadu cząsteczek wody emitują bardzo dużą ilość światła poprzez tzw. linię Lyman alfa, co czyni z nich niezwykle czuły „detektor” kometarnej wody. Z uwagi na to, linia ta znajduje się w zakresie dalekiego ultrafioletu i jest całkowicie pochłaniana przez ziemską atmosferę, jej obserwacja stanowi spore wyzwanie. Aby ominąć tę przeszkodę, powstanie nowy satelita, zaprojektowany specjalnie do obserwacji linii Lyman alfa w warunkach kosmicznych, tj. poza ziemską atmosferę.

– Dzięki bezprecedensowej czułości na wodór, w tym także deuter, nowe narzędzie pozwoli nam poszukać odpowiedzi na kluczowe pytania dotyczące bliskiego Wszechświata. Przede wszystkim przetestujemy różne grupy komet jako możliwe źródło wody na Ziemi – zapowiada dr Drahus.

Naukowcy wykorzystają również niezwykle możliwości satelity do poszukiwania nieznanych dotąd zasobów wody w Układzie Słonecznym. Zbadają pod tym kątem m.in. grupę planetoid przypominających swym wyglądem komety. Potwierdzenie istnienia nowego rezerwuaru wody w tak bliskiej odległości od Słońca miałyby ogromne znaczenie w kontekście badań nad pochodzeniem ziemskich oceanów, a także historią naszego układu planetarnego.

W tym roku o ERC CoG ubiegało się 2222 naukowców, a wskaźnik sukcesu wyniósł 14,4%. Przyznane środki o łącznej wartości 657 mln euro pozwolą na stworzenie około 1950 miejsc pracy dla postdoków, doktorantów i innych pracowników w instytucjach goszczących w 26 krajach. Laureaci pochodzą z 37 państw, głównie z Niemiec (52), Włoch (32), Francji (31) i Wielkiej Brytanii (31). Od 2008 roku do naszego kraju trafiło w sumie 67 grantów wszystkich kategorii, w tym 41 Starting Grants, 14 Consolidator Grants, 7 Advanced Grants, 4 Proof of Concept Grants i 1 Synergy Grant.

MK

Nowi profesorowie

7 lutego 2023 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Lilia Citko** (UwB), **Roman Kochnowski** (UPed Kraków), **Iwona Ndiaye** (UWM), **Bernadetta Puchalska-Dąbrowska** (UWB)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Desire Andriamialivolondrainibe Rasolomampionona** (PW), **Tomasz Barszcz** (AGH), **Tomasz Chady** (ZUT), **Hubert Dębski** (PL), **Szymon Jaroszewicz** (IPI PAN), **Wojciech Jarzyna** (PL), **Piotr Koszelnik** (PRz), **Marta Kwiatkowska** (University of Oxford), **Lech Lichołai** (PRz), **Krzysztof Nadolny** (PKosz), **Jerzy Napiórkowski** (UWM), **Paweł Pasierb** (AGH), **Krzysztof Patan** (UZ), **Halina Pawlak-Kruczek** (PWr), **Aleksander Prociak** (PK), **Elżbieta Radziszewska-Zielina** (PK), **Dariusz Skorupka** (AWL Wrocław), **Andrzej Szarata** (PK), **Andrzej Teter** (PL), **Olgierd Unold** (PWr), **Izabela Zimoch** (PŚ)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Alicja Dąbrowska-Kugacka** (GUMed), **Marcin Domżański** (UMŁ), **Anna Drelich-Zbroja** (UML), **Renata Duchnowska** (WIM Warszawa), **Wiesław Jędrzejczak** (IFiPS Warszawa), **Piotr Mirosław Kasprzak** (Szpital Uniwersytecki Uniwersytetu w Ratyzbonie, Niemcy), **Wojciech Leppert** (UMP), **Katarzyna Lisowska** (NIO War-

szawa, Oddział w Gliwicach), **Katarzyna Nowomiejska** (UML), **Aldona Pietrzak** (UML), **Krzyszta Skalicka-Woźniak** (UML), **Dorota Tarnawska** (UŚ), **Bartosz Wasąg** (GUMed), **Mieszko Więckiewicz** (UMWr), **Paweł Zagożdżon** (GUMed), **Paweł Zalewski** (UMK), **Tomasz Zapolski** (UML), **Izabela Zawlik** (URz)

NAUKI ROLNICZE: **Natasza Borodynko-Filas** (IOR-PIB Poznań), **Stefan Pietkiewicz** (em. SGGW), **Mariusz Skowroński** (UMK), **Wojciech Stępień** (SGGW)

NAUKI SPOŁECZNE: **Waldemar Bednaruk** (KUL), **Krzysztof Borowski** (SGH), **Marek Ćwiklicki** (UEK), **Leszek Elak** (ASW), **Barbara Jankowska** (UEP), **Jarosław Karpacz** (UJK), **Sabina Kauf** (UO), **Joanna Misztal-Konecka** (KUL), **Anna Maria Musiała** (UAM), **Mariusz Popławski** (UwB), **Anna Wójcik-Karpacz** (UJK), **Teresa Żółkowska** (USz)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Anna Cedro** (USz), **Paulina Dominiak** (UW), **Winićjusz Drozdowski** (UMK), **Marzena Dzida** (UŚ), **Jolanta Ejfler** (UW), **Marcin Kwit** (UAM), **Grzegorz Lot** (PP), **Agata Różańska** (CAMK Warszawa), **Ryszard Rzepecki** (UWr), **Jacek Ścianowski** (UMK)

SZTUKI: **Łukasz Huculak** (ASP Wrocław), **Andrzej Miśkiewicz** (UMuz Warszawa), **Adam Pocięcha** (ASP Katowice), **Izabella Zielecka-Panek** (UŚ)

Dopasowana edukacja

Na stronach internetowych dziesięciu uczelni rozrzuconych po całej Europie widnieje nazwa EUNICE, w Polsce kojarząca się z postacią z „Quo Vadis” Henryka Sienkiewicza. Nie o literaturę jednak chodzi. Prof. Teofil Jesionowski, rektor Politechniki Poznańskiej, opowiada historię uzyskania przez uczelnię statusu lidera uniwersytetu europejskiego o takim akronimie.

Inicjatywa utworzenia uniwersytetu europejskiego z udziałem Politechniki Poznańskiej była dwuetapowa i na początku wcale nie było oczywiste, że to my będziemy liderem tego projektu, mimo, że zainicjowaliśmy te działania. Pierwszy etap polegał na budowaniu konsorcjum uczelni technicznych. Stwierdziliśmy, jeszcze w czasie, gdy rektorem Politechniki Poznańskiej był prof. Tomasz Łodygowski, a ja pełniłem funkcję prorektora ds. edukacji ustawicznej, że będzie dla nas korzystne funkcjonowanie w bliskich relacjach z innymi podobnymi podmiotami zagranicznymi. Niektóre z zaproszonych uczelni weszły do tego sojuszu, inne nie wyraziły zapału. Przy doborze uczelni partnerskich kierowaliśmy się ich potencjałem i oddziaływaniem na środowisko społeczno-gospodarcze. Na początku wybieraliśmy uczelnie nam bliższe, techniczne, z którymi współpracowaliśmy wcześniej, zwykle o bardzo dobrych notowaniach, np. w międzynarodowych rankingach. Potem te pierwsze „umówione” uczelnie podpowiadały z kim jeszcze warto współpracować, jak się okazało nie tylko z grona „politechnik”. Obecnie mamy układ synergii, w tym sensie, że są w naszym sojuszu zarówno uczelnie techniczne, jak i klasyczne uniwersytety. Te pierwsze to - oprócz Politechniki Poznańskiej - Brandenburski Uniwersytet Technologiczny (BTU) z Niemiec i Université Polytechnique Hauts-de-France z Francji (UPHF) - Politechnika z Valenciennes, a klasyczne uniwersytety to sycylijski Uniwersytet Katanii, najstarszy (założony w XV wieku) i największy w naszej grupie z 45 tysiącami studentów, Uniwersytet w Mons w Belgii, Uniwersytet Kantabrii w Hiszpanii i University of Vaasa (UVA) w Finlandii.

W gronie siedmiu uczelni uzyskaliśmy trzyletni grant w wysokości 6,25 mln euro na utworzenie i działanie uniwersytetu europejskiego. Po dwóch latach do konsorcjum dołączyły kolejne trzy „nowe” uczelnie: Uniwersytet w Karlstad ze Szwecji, Uniwersytet Peloponezu z Grecji i Politechnika w Viseu w Portugalii. Najbardziej optymalne ze względu na finanse jest stowarzyszenie dziesięciu ośrodków, ale dziesięć daje nam siłę i większą perspektywę rozwoju.

Nasz uniwersytet europejski nosi nazwę EUNICE, czyli European University for Customised Education, bo właśnie idea realizowania edukacji dopasowanej do potrzeb otoczenia społeczno-gospodarczego jest naszym celem i nas łączy. Zależy nam na sprzężeniu z gospodarką, ale także otoczeniem społecznym, czyli np. administracją lokalną. W przypadku Politechniki Poznańskiej chodzi o zakład Volkswagen Poznań, czy też Solaris Bus & Couch. Realizowaliśmy z tymi firmami wielomilionowe projekty, prowadzimy studia dualne oraz inne wspólne działania. We Włoszech jest to firma STMicroelectronics producent układów scalonych, a we Francji Alstom, Bombardier czyli firmy o specyfice transportowej - przemysł tramwajów i kolejnictwa.

Decyzja o przyjęciu roli lidera tego projektu była podyktowana chęcią osiągnięcia spektakularnego sukcesu. Podjęliśmy wyzwanie budowy uniwersytetu europejskiego a ten pomysł został wsparty przez naszych przyjaciół z Francji i Belgii. Wybrali nas na lidera sojuszu, a mi powierzono funkcję szefa tego projektu. Odbyło się to podczas spotkania wszystkich partnerów zorganizowanego przez naszą uczelnię w grudniu 2019.

Kiedy mój poprzednik, profesor Tadeusz Łodygowski, spotkał się z rektorami i przedstawicielami siedmiu uczelni, bez mojego udziału,

wskazano mnie jako lidera projektu. Dowiedziałem się o tym nazajutrz rano. Trzeba było jeszcze kilku miesięcy na profesjonalne przygotowanie projektu, a ostatnie trzy miesiące to była naprawdę intensywna praca. Dzisiaj rolę szefa tego konsorcjum sprawuje prorektor ds. współpracy międzynarodowej, dr hab. inż. Paweł Śniatała, prof. PP. To duże wyzwanie i wymaga ogromnego zaangażowania.

Jak w praktyce funkcjonuje taki uniwersytet? To nie jest tak, że cała uczelnia aktywnie nim żyje, chociaż inicjatywa zdobywa coraz szerszą akceptację. Uważamy, że to inicjatywa strategiczna i przyszłościowa. Przekonujemy do niej pracowników, co nie jest łatwe, bo komunikacja w uczelni stanowi istotne wyzwanie. Projekt jednak angażuje liczną grupę najaktywniejszych badaczy i wykładowców, bo przecież to dydaktyka jest jego istotą, ale także studentów i doktorantów. Otrzymaliśmy także grant badawczy - Research REUNICE - w ramach programu Horyzont 2020 SWAFS (Science with and for Society).

Środki bezpośrednie (bez tzw. wkładu własnego) otrzymane na rozwój uniwersytetu europejskiego nie są duże, bo ok. 5 milionów euro przeznaczonych na rozwój edukacji na 3 lata na 7 koalicjantów (EUNICE), a dodatkowo 2 mln euro na 3 lata na badania w zakresie cyberbezpieczeństwa i sztucznej inteligencji (REUNICE). Pośrednio z inicjatywą EUNICE związane są granty NAWA, których jesteśmy beneficjentami: Spinaker, Partnerstwa Strategiczne, STER. Niemniej to nie finanse są kluczowe, a wzrost budowy potencjału edukacyjnego i badawczego. Uniwersytet europejski to reputacja, wzrost konkurencyjności, nowe możliwości rozwoju dydaktyki i innowacyjnych prac badawczych.

W uczelniach EUNICE kształci się 150 tysięcy studentów. Dzięki tej współpracy znacząco zwiększyliśmy ich mobilność. Przeprowadziliśmy wiele kursów dotyczących sztucznej inteligencji, cyberbezpieczeństwa, zrównoważonego rozwoju i zielonych technologii. Studenci mogą dowolnie wybierać moduły i przedmioty w różnych uniwersytetach. Jeżdżą na krótkie dwu-trzytygodniowe pobyty na konkretne zajęcia. Pandemia zmobilizowała nas do budowy platformy do hybrydowej edukacji. Stworzyliśmy podwaliny do innowacyjnych form kształcenia w ramach podwójnych dyplomów magisterskich i doktorskich. Obecnie kilkoro doktorantów przygotowuje prace w tym systemie. Złożyliśmy aplikację o dofinansowanie projektu „Double PhD diploma” w programie The Marie Skłodowska-Curie Actions (Horyzont Europa).

Uruchomiamy międzynarodową platformę wyboru praktyk i staży z udziałem ponad 200 firm ze wszystkich krajów partnerskich naszego konsorcjum. Organizujemy lokalne konkursy dla studentów na start-up'y - EUNICE Start Cup - w każdej uczelni z finałem zwycięskich projektów i zespołów w sycylijskiej Katanii. Zorganizowaliśmy też wiele wydarzeń sportowych i kulturalnych.

W połowie realizacji projektu pozytywnie przeszliśmy ocenę wyników dotychczasowej pracy. W końcu stycznia złożyliśmy, sygnowany przez dziesięciu partnerów oraz fundację AISBL założoną na prawie belgijskim, wniosek w konkursie na uniwersytet europejski o nazwie EUNICE4U.

Notował Piotr Kieraciński

Razem, nie osobno

Tuż po zakończeniu ewaluacji obejmującej lata 2017-2021 pojawiają się głosy dotyczące zasad kolejnej ewaluacji. Jej reguły winny być znane jak najwcześniej i nie powinny ulegać zmianie w ocenianym okresie. Część tych głosów jest jednak głęboko niepokojąca, bowiem stanowi próbę dokonania kolejnego rozłamu w nauce w Polsce, a mianowicie wydzielenia z ewaluacji instytutów PAN jako odrębnej grupy.

Istnieją różne piony nauki, jest ona w Polsce uprawiana w instytucjach o zgoła odmiennych pierwotnych celach i zadaniach (dydaktyka, badania o charakterze bardziej podstawowym lub bardziej aplikacyjnym). I chociaż jej celem jest dążenie do prawdy, to pojawiają się opinie, iż różnorodność instytucjonalna (uczelnie, instytuty PAN-owskie, instytuty badawcze, Sieć Badawcza „Łukasiewicz”) winna znaleźć odzwierciedlenie w odmienności ewaluacyjnej. Zagubiony zostaje przy tym najistotniejszy punkt, mówiący o tym, że wspomniane instytucje funkcjonują w jednym systemie nauki, a prawda jest nią niezależnie od tego, gdzie jest odkrywana. Zapomina się, że nie powinno się rozłączać tego, co powoli, ale skutecznie staje się jednością.

Ewaluacja jest, obok takich czynników, jak sposób finansowania instytucji akademickich i naukowych (także łączących te zadania) oraz polityka kadrowa w nich prowadzona, jednym z najważniejszych elementów tego, co powszechnie zwykliśmy określać polskim systemem nauki. Jest to organizm niezwykle złożony, z pewnością jeszcze niedoskonały, ale nade wszystko żywy. Dlatego zmiana choćby tylko jednego z tych elementów będzie miała wpływ na funkcjonowanie całości, co w praktyce oznacza radykalną przemianę funkcjonowania bytujących w nim podmiotów, a są nimi przecież nasze macierzyste placówki. Nie bez przyczyny obawiamy się, że zmiana tego fundamentalnego faktu, rozreguluje system nauki w Polsce, a zatem wpłynie też na pozycję polskiej nauki w świecie i spowoduje, że ideały sformułowane w ostatnich reformach, wprowadzanych przez ministrów Barbarę Kudrycką, Jarosława Gowina i Przemysława Czarnka, nie zostaną osiągnięte lub oddalą się od nas w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Reformom przyświecała wyznawana przez światowych liderów w nauce zasada zbliżania różnych ośrodków badawczych w systemie, tak by kumulując potencjały i wzmagając wysiłki, wspólnie stawały sobie coraz śmielsze cele i z coraz większym sukcesem rozwiązywały problemy naukowe. Osiągnięciu tych celów służyły równość i równouprawnienie, które od kilkunastu lat obowiązywały podczas ewaluacji czy to jednostek naukowych, czy dyscyplin nauki. Ewaluacja publicznych instytucji naukowych w podgrupach nie tylko przekreśliła równość podmiotów wobec prawa, ale też rozpoczęła demontaż systemu. Proces ten spowoduje straty u wszystkich jego beneficjentów, tak ośrodków uniwersyteckich, jak PAN-owskich, a nawet być może sprawi, że pewne obszary systemu znajdują się poza monitorowaniem przez Ministerstwo Edukacji i Nauki, a zatem poza kontrolą społeczną.

W wyniku demontażu systemu nauki, stracą instytuty, uczelnie, a nawet szkoły. Osłabnie bowiem horyzontalna współpraca między ośrodkami akademickimi oraz instytutami PAN, tzw. i-panami. Współpraca ta, za rozwojem której wielokrotnie opowiadali się niżej podpisani, gwarantowała (by) niepowtarzalną wymianę zróżnicowanych doświadczeń naukowo-dydaktycznych, realizację wspólnych projektów badawczych, a także wzajemne udostępnianie infrastruktury oraz wymianę wyników badań. Dla i-panów z kolei, była (by) to dogodna okazja do pełnego upodmiotowienia się w krajowym systemie nauki i pełnej, korzystnej dla społeczeństwa obecności we wszelkich, tak krajowych, jak i ponadnarodowych, programach badawczych. Polityka otwartych drzwi, o którą się upominaliśmy, oznaczała wzajemną wymiennalność i powszechną dostępność dóbr nauki (wiedzy i informacji).

Ewaluacja służy obecnie kategoryzacji jednostek akademickich oraz naukowych, czego naturalną konsekwencją jest ich hierarchiczne, zróżnicowane finansowanie. Jest dla nas oczywiste, że zmiana układu instytucji poddawanych ocenie, będzie skutkowałą trudnym do przewidzenia w dłuższej perspektywie czasowej efektem finansowym, który obok tego mankamentu, jakim jest niepewność, może również charakteryzować spadek nakładów na pewny, niedający się teraz dokładniej zdefiniować ani wskazać sektor polskiej nauki. Wspólna ewaluacja instytutów i uczelni mogłaby natomiast posłużyć wyłonieniu mocnych i słabych punktów krajowego systemu nauki, a następnie zaplanowaniu programów redystrybucji idei, tak by słabsi dzięki współpracy z lepszymi mogli rozwijać się i równać w górę.

Obawiamy się również, że rozdzielenie instytucji podlegających ewaluacji jest zapowiedzią takiej oto reformy Polskiej Akademii Nauk, a w tym jej dotąd autonomicznych instytutów naukowych, która w kolejnych etapach będzie polegać na wyjęciu placówek PAN z jednolitego systemu ewaluacji, następnie pozbawieniu ich oddzielnego finansowania statutowego płynącego z MEiN na ogólnie przyjętych zasadach, a w końcu na całkowitym wchłonięciu przez PAN. Taka Akademia istniała w latach 1952-1989. Instytuty nie były wtedy traktowane podmiotowo. Rozpoczęty rozdzieleniem ewaluacji demontaż polskiego systemu nauki w naszym odczuciu doprowadzi niechybnie do likwidacji wolności badań naukowych w Polsce.

Nie bez przyczyny zabieramy w tej sprawie głos właśnie dziś. Szczególnie pragniemy odnieść się do jednych z ostatnich wypowiedzi prezesa PAN, z których wynika, że jest zwolennikiem wydzielenia instytutów afiliowanych przy Polskiej Akademii Nauk z jednolitego systemu ewaluacji i utworzenia z nich odrębnego zespołu. W naszym przekonaniu tak istotne stanowisko powinno zostać wcześniej, a zatem przed podjęciem oficjalnych rozmów z innymi organami nauki w Polsce, w tym nade wszystko z ministrem edukacji i nauki, przedyskutowane z urzędującymi dyrektorami instytutów Polskiej Akademii Nauk.

Zrodzona i ciągle umacniająca się spójność systemu nauki w Polsce pozwala na harmonijną i dobrze sprawdzającą się współpracę wszystkich podmiotów realizujących badania naukowe, gwarantuje bardziej ekonomiczne wykorzystanie aparatury, umożliwia tak obecnie potrzebne interdyscyplinarne kształcenie młodej kadry polegające na zdobywaniu zarówno umiejętności badacza, jak i praktyki poprzez odpowiedni dobór zewnętrznych staży. Naszym zdaniem nie należy różnicować ewaluacji, konieczne jest natomiast wprowadzenie odpowiednich zapisów uwypuklających poszczególne zadania podmiotów nauki, ich misję, a także tych, które uczynią proces oceny bardziej adekwatnym do specyfiki nauk humanistycznych.

Z tych właśnie powodów, w naszym przekonaniu, powinna zostać zachowana jednolitość ewaluacji, a co za tym idzie już przyjęte ogólne jej zasady. Od lat jako pracownicy naukowcy instytutów PAN mamy coraz bardziej nam doskwierające poczucie niezasażonej drugorzędności. Tak ważne dyskusje nie mogą się toczyć bez naszego głosu, a tak ważne decyzje, jak ta o rozdzieleniu ewaluacji różnych typów podmiotów, nie powinny zapadać bez uwzględnienia naszej opinii, bez wzięcia pod uwagę naszych racji. Czujemy się częścią większej wspólnoty i mamy nadzieję, że wciąż będziemy tworzyć ją razem.

Prof. dr hab. Małgorzata Witko, członek rzec. PAN, była dyrektor Instytutu Katalizy i Fizykochemii Powierzchni im. J. Habera PAN

Dr hab. Lech Mankiewicz, były dyrektor Centrum Fizyki Teoretycznej PAN, przewodniczący Porozumienia Instytutów Naukowych Polskiej Akademii Nauk – Pin Pan

Prof. dr hab. Mikołaj Sokołowski, były dyrektor Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk

Poewaulacyjny szkic do portretu

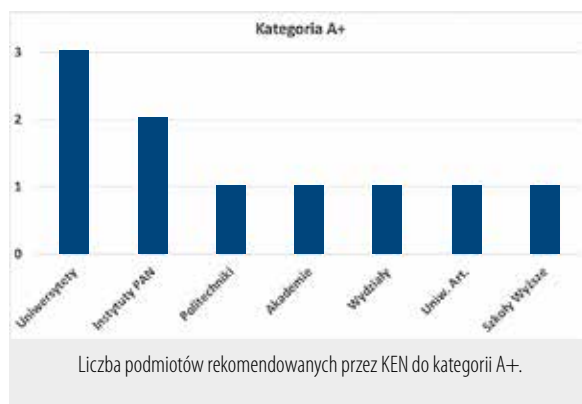
Po zakończeniu podstawowego etapu ewaluacji i kategoryzacji w lipcu 2022 r., zgodnie z zapisami ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, podmioty niezadowolone z wyniku miały możliwość złożenia wniosku o ponowne rozpatrzenie sprawy. Ustawa w art. 269 ust. 4 precyzuje, iż „Od decyzji Ministra przysługuje wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy w terminie 30 dni od dnia doręczenia decyzji”. Powody złożenia wniosku bywają różne. Poczynając od szczegółowej analizy osiągnięć podmiotu w danej dyscyplinie nauki w stosunku do wartości referencyjnych, co skłania do przyjęcia założenia, iż uzyskanie nieco wyższej punktacji może skutkować podniesieniem kategorii naukowej aż do podjęcia wysiłku ze względu na presję środowiska lub kierownictwa podmiotu. Ważnym czynnikiem dla podmiotów, które znalazły się w kategorii B, jest próba pozyskania (lub utrzymania posiadanych dotychczas) uprawnień do nadawania stopni naukowych, co skłania do szczególnie wnikliwej analizy własnych osiągnięć i złożenia wielowątkowego wniosku odnoszącego się do wszystkich trzech kryteriów oceny. Niektórym podmiotom zależy zatem na uprawnieniach, inne walczą przede wszystkim o prestiż i lepszą pozycję w tej samej grupie wspólnej oceny. Generalnie, im bliżej linii odcięcia, którą stanowią wartości referencyjne do wyższej kategorii, tym większa intensywność starań o zmianę kwalifikacji i podniesienie kategorii podmioto-dyscypliny. Warto zauważyć, że znacząca część podmiotów złożyła tzw. odwołania w systemie SEDN, ale były również wnioski, niektóre bardzo obszerne, liczące nawet 160 stron, w postaci dokumentów poza systemem. Były one skanowane i umieszczane w systemie w postaci pliku. Należy podkreślić ogromną pracę wykonaną przez Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy w celu zarejestrowania i wprowadzenia dokumentów pozasystemowych do bazy SEDN.

W poprzednich ewaluacjach i kategoryzacjach odsetek odwołań sięgał niemal 40%, co skutkowało intensywnym drugim etapem pracy Komisji Ewaluacji Jednostek Naukowych. W obecnej ewaluacji odsetek złożonych wniosków wyniósł nieco ponad 50%, co można wyjaśnić większą wagą uzyskanej kategorii, przede wszystkim w kontekście uprawnień do nadawania stopni naukowych, ale przecież nie tylko. Ostatecznie wnioski złożyło 583 spośród 1145 ocenionych przez KEN podmioto-dyscyplin. Komisja Ewaluacji Nauki przystąpiła niezwłocznie do ich procedowania, aby zdążyć z całością oceny do końca 2022 r. Warto zauważyć, że oceny osiągnięć w zakresie kryteriów K1 i K2 dokonali sami członkowie KEN, pod warunkiem, że nie rozstrzygali w sprawach danej podmioto-dyscypliny na wcześniejszym etapie. Podobnie przyjęto zasadę, iż powołani przez ministra na wniosek przewodniczącego KEN eksperci, którzy oceniali daną podmioto-dyscyplinę w pierwszym etapie, nie mogli robić tego ponownie. Zasada

przypisania do zadań ekspertów innych aniżeli w poprzednim etapie była traktowana jako nienaruszalna, chodziło bowiem o to, aby ocena miała charakter obiektywnej. Najwięcej pracy mieli eksperci oceniający kryterium trzecie, ponieważ od jego oceny najczęściej się odwoływano, zapewne z uwagi na fakt, że pojawiło się w ewaluacji po raz pierwszy w formie oceny opisów wpływu badań naukowych na społeczeństwo i gospodarkę opartych dowodami wpływu.

Spore kontrowersje budził zastosowany w pierwszym etapie ewaluacji pomysł przypisania roli tzw. ekspertów wiodących naukowcom spoza danej dyscypliny nauki. Taka procedura była kontestowana zarówno przez samych ekspertów, jak i przez oceniane podmioty, i skutkowało obniżeniem zaufania do dokonanej oceny, co przełożyło się na zwiększoną liczbę odwołań. Z tego względu Komisja zrezygnowała z tej procedury i zastosowała algorytm polegający na przypisaniu obydwu ekspertów z ocenianej dyscypliny, oczywiście pod warunkiem, że nie oceniali wcześniej danego podmiotu. Po zakończeniu przez nich oceny, dzięki systemowi SEDN można było podsumować wynik prac zarówno członków Komisji, jak i ekspertów. Ostatecznie spośród 583 ocenianych podmioto-dyscyplin 60 uzyskało awans z kategorii B+ do A, natomiast 28 z kategorii B do B+. Pojawiło się również 5 podmioto-dyscyplin, których wynik był gorszy aniżeli w pierwszym etapie ewaluacji, co jednak nie skutkuje obniżeniem kategorii z uwagi na regulacje zawarte w KPA (raz przyznana kategoria nie może zostać obniżona). Te podmioty należy zatem potraktować jako obdarzone szczególnym kredytem zaufania, mając nadzieję, że w następnej ewaluacji udowodnią, iż na to zasługiwały. Sumarycznie zmianom kategorii podlegało 100 podmioto-dyscyplin, co w skali 583 złożonych wniosków o ponowne rozpatrzenie sprawy oznacza 17,2%.

Kolejnym elementem ponownej oceny były wnioski o podniesienie kategorii do A+. Złożono ich 65, przy czym część z nich została zgłoszona w formie opisowej (poza systemem), co dodatkowo utrudniło ekspertom analizę. Wnioski złożyły podmioty, które były wcześniej oceniane w kontekście kategorii A+ przez dwóch ekspertów: polskiego i zagranicznego. Najczęściej występował przypadek oceny mieszanej: jednej oceny pozytywnej, a drugiej negatywnej, jednak podmiot był przekonany, iż kategoria A+ mu się należy. Wszystkie odwołania zostały bardzo starannie przeanalizowane i zaopiniowane przez członków KEN, aby na podstawie wszystkich trzech opinii: dwóch ekspertów zewnętrznych oraz członka KEN, przyjąć ostateczną rekomendację. Pojawiło się także 20 podmiotów, które po pierwszym etapie ewaluacji miały kategorię B+, ale w wyniku ponownej oceny przeszły do kategorii A, a w kryterium pierwszym uzyskały na tyle wysoki wynik, że podlegały ocenie dotyczącej uzyskania kategorii A+. Ze względu na fakt, że podmioty te nie były



wcześniej oceniane przez ekspertów, należało taką procedurę przeprowadzić. Komisja przekazała zatem powyższe wnioski do oceny przez ekspertów polskiego i zagranicznego. Z uwagi na sekwencyjny charakter tej oceny (nie można było wskazać tych podmiotów przed zakończeniem oceny w podstawowych kryteriach), procedowanie rozciągnęło się w czasie, a ostatnie oceny były wykonywane w drugiej połowie grudnia 2022 r. W odniesieniu do ocenianych podmiotów Komisja przyjęła taką samą zasadę, jak w pierwszym etapie oceny i premiowała kategorią A+ wyłącznie te podmioty, które uzyskały dwie oceny pozytywne. Sumarycznie na 85 ocenianych podmiotów tylko 10 uzyskało rekomendację Komisji dotyczącą przyznania kategorii A+, co stanowi 11,8%.

Po zakończeniu prac Komisja przekazała ministrowi wyniki, co pozwoliło na rozpoczęcie procesu wydawania końcowych decyzji. Po zakończeniu prac KEN, a przed podjęciem ostatecznych decyzji przez ministra, wyłonił się następujący poewaluacyjny obraz polskiej nauki: 6,6% dyscyplin w kategorii A+, 32,7% w kategorii A, 47,7% w kategorii B+, 10,2% w kategorii B oraz 2,8% w kategorii C. Ten wynik nie odbiega znacząco od poprzednich edycji ewaluacji i kategoryzacji, jeśli przyjąć, że obecna kategoria B+ w jakiejś mierze zastąpiła dawną kategorię B. Warto jednak podkreślić, że nie jest to wynik

ostateczny, a ten będzie znany dopiero po podjęciu wszystkich decyzji przez ministra.

Generalny wniosek płynący z oceny złożonych przez podmioty odwołań jest taki, iż ubiegały się one albo o uzyskanie uprawnień do nadawania stopni naukowych, albo o prestiż w postaci wyższej kategorii związanej z umocnieniem pozycji w środowisku. Stąd rozkład bimodalny jaki wyłania się z obrazu rozpatrzonych ponownie wniosków. Pojawiły się także liczne przypadki możliwych awansów z kategorii B+ do A+, jednak w tej grupie tylko jeden podmiot uzyskał satysfakcję. W grupie pozytywnie rozpoznanych wniosków dotyczących kategorii A+ ponownie dominują uniwersytety i instytuty PAN. A zatem nihil novi sub sole. Na koniec warto podkreślić, iż KEN wykonała w ubiegłym roku 150% pracy dotyczącej ewaluacji, co jest bardzo dobrym wynikiem zważywszy na tempo prowadzonych prac. Osiągnięcie takiego wyniku nie byłoby możliwe bez wielkiego wsparcia ze strony Departamentu Nauki Ministerstwa Edukacji i Nauki oraz Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego.

Bażej Skoczeń, przewodniczący KEN

Rektorzy chcą zmian w ewaluacji

Zróznicowanie zestawów wartości referencyjnych dla uczelni i instytutów naukowych to jeden z postulatów dotyczących zmian w ewaluacji, jakie w liście do ministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka przedstawiło Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Jak tłumaczą rektorzy, praca naukowa w każdym z rodzajów podmiotów przebiega w innych ramach czasowych oraz akcentuje inne osiągnięcia naukowe. W szkołach wyższych dominuje obciążenie dydaktyką, w instytutach badawczych akcent położony jest na badania i rozwój, a prowadzone tam prace mają z kolei charakter bardziej aplikacyjny niż w instytutach PAN. Z uwagi na trwający już okres kolejnej ewaluacji, zaproponowano, aby to rozwiązanie obowiązywało dopiero od następnej – tj. od 2026 roku.

Alte to nie jedyna zgłoszona zmiana. Rektorzy chcą też **zlikwidowania wykazu wydawnictw recenzowanych monografii naukowych.** W ich ocenie nie spełnił on oczekiwań środowiska, dlatego sugerują, by przypisać punktację bezpośrednio do monografii. Pozycje wybitne, „nagrodzone zgodnie z wcześniej opracowaną listą możliwych do uzyskania prestiżowych nagród”, miałyby być punktowane dodatkowo. Obawy naukowców wyrażone w internetowych dyskusjach budzi jednak to, na jakiej zasadzie uznawano by dane wyróżnienie za prestiżowe.

Innym postulatem jest **uproszczenie systemu oceny czasopism oraz opracowanie dodatkowej listy polskich tytułów**, spoza międzynarodowych baz danych WOS, Scopus, ERIH+. Ten odrębny wykaz miałby być oparty na modelu oceny za pomocą właściwych wskaźników (najwyższa punktacja 70 pkt.). Stworzona byłaby także osobna lista czasopism naukowo-branżowych, odgrywających ważną rolę przy wdrażaniu osiągnięć nauki do praktyki. Stanowiłaby wsparcie dla oceny osiągnięć w kryterium trzeciego.

W ocenie KRASP potrzebna jest również **korekta koncepcji słów.** Chodzi o to, by umożliwić ocenianym podmiotom przedstawienie do ewaluacji wszystkich najlepszych publikacji. Wymaga to wprowadzenia zasady wypełniania pola 3N najlepszymi, najwyższymi punktowanymi publikacjami bez ograniczeń, natomiast dopełnienie stanowiłyby niżej punktowane, pobierane z tzw. slotów. Roz-

ważeniu przez ministra rektorzy podają **możliwość uwzględnienia publikacji konferencyjnych we wszystkich dyscyplinach nauki.** Brano by pod uwagę wyłącznie materiały z międzynarodowych baz danych (WoS, Scopus), a liczba uwzględnianych w ewaluacji artykułów byłaby ograniczona (np. 0,5N).

Rektorzy rekomendują **wprowadzenie zasady N=12 jako średnią z 4 lat** objętych ewaluacją, a minimum 12 w całym okresie dla jednostek A+. Obowiązywałoby minimum kadrowe do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego obejmujące co najmniej 6 dr. hab. lub prof. tytularnych (w tym co najmniej 2 prof.) w całym ocenianym okresie. Postulują też **odejście od funkcji nielinowych w wyliczaniu wskaźników ewaluacji** (spowodowało to ich zdaniem brak przejrzystości systemu), **rezygnację z konieczności upoważnienia podmiotów do wykazania osiągnięcia naukowego w procesie ewaluacji i kategoryzacji przez autora osiągnięcia** (należy przyjąć, że osiągnięcie naukowe należy w takim samym stopniu do jego autora, jak i do instytucji, w której powstało), **zmianę warunku koniecznego kwalifikowania podmiotu-dyscypliny do kategorii A+.** Obecnie próg procentowy dotyczy wyniku podmiotów w kryterium K1, co prowadzi do sytuacji, że podmiot o małej liczbie N może eliminować silne podmioty o znacznie większej liczbie N z ubiegania się o kategorię A+. Dlatego rektorzy chcą zdefiniowania progu procentowego w odniesieniu do wyniku podmiotów w stosunku do zestawu wartości referencyjnych do kategorii A (np. próg 80% w stosunku do maksymalnego przewyższenia wynoszącego 100%). „Proponowane zmiany są niezbędne dla usprawnienia obecnie obowiązującego systemu i wyeliminowania oczywistych niedoskonałości odnotowanych w trakcie ostatniej ewaluacji i kategoryzacji” – podsumowuje Prezydium KRASP.

Niektóre postulaty rektorów są tożsame z przedstawionymi przez min. Włodzimierza Bernackiego w rozmowie z „Forum Akademickim” w grudniu ub. roku.

MK

Jak sztuczna inteligencja wspomaga edukację

ChatGPT zdał amerykański egzamin medyczny USMLE zachęcając tym samym do zastanowienia, jak to narzędzie sztucznej inteligencji (AI) można wykorzystać we wspieraniu edukacji medycznej i w pracy lekarzy. Autorzy eksperymentu z AnsibleHealth w Kalifornii testowo zaczęli wspomagać nim pewne prace związane np. z prowadzeniem korespondencji z pacjentami, dokumentacji medycznej i uznali, że wyniki są obiecujące, bowiem pozwoliło to zaoszczędzić 30 proc. czasu specjalistów m.in. radiologów.

Uruchomiony przez OpenAI w listopadzie 2022 roku chatGPT (Generative Pre-trained Transformer) jest chatbotem konwersacyjnym opartym na dużych modelach językowych wykorzystujących technologię głębokiego uczenia. W jego zasobach są nieograniczone zbiory danych z całego świata – system tworzy neuronowe powiązania pomiędzy tym wszystkim, co już wie, zaś nowe treści generuje na podstawie posiadanej wiedzy, wykorzystując logiczne związki znaczeniowe i matematyczne prawdopodobieństwo wystąpienia jakiegoś słowa w sekwencji. Nakarmienie systemu dowolną ilością nowych danych jest możliwe w każdej chwili. Model statystyczny pozwala mu generować za każdym razem inaczej sformułowane, poprawne treści w odpowiedzi nawet na tak samo postawione pytanie. Stąd pierwsze i naturalne wykorzystanie narzędzia przez uczniów i studentów do pisania prac zaliczeniowych i dyplomowych.

ChatGPT generuje też artykuły naukowe, których nie są w stanie odróżnić od oryginalnych ludzkich opracowań nawet najlepsi eksperci w danej dyscyplinie. Jest w tym naprawdę dobry, a będzie lepszy, bo producent zapowiada wdrożenie kolejnej wersji GPT-4.

Środowisko naukowe podzieliło się w obliczu wejścia chatGPT na sceptyków i realistów. Pierwsi wytykają mu niedoskonałości, podśmiewają się z błędów wynikających ze skrzywienia algorytmicznego i niedopasowania kulturowego pierwszej wersji. „Inkwizytorzy” już zakazali stosowania narzędzia w edukacji – pierwsza zrobiła to administracja szkolna Nowego Jorku. Pragmatycy mający ograniczone zaufanie do uczciwości studentów zapowiedzieli koniec pisemnych egzaminów w ich uniwersytetach i przejście na zaliczenia ustne oraz prezentacje.

Ciekawą postawę wykazują realisci, jak wspomniana grupa uczonych z Kalifornii, których wcale nie zaniepokoił dobry wynik chatGPT w zdawalności trudnego egzaminu dopuszczającego do wykonywania zawodu lekarza. Przewidują, że narzędzie pomoże studentom i lekarzom rezydentom szybciej się przygotować do egzaminu lekarskiego. Szacuje się, że tylko do pierwszego stopnia (są trzy) należy poświęcić minimum 400 godzin nauki. Autorzy eksperymentu, którzy publikują swój tekst w medrxiv.org, widzą rolę chatGPT jako inteligentnego asystenta wspierającego prace administracyjne w medycynie. Jeśli AI odciąży lekarzy od opisywania każdej procedury i każdego przypadku w dokumentacji medycznej, to uwolni się więcej czasu na kontakt z pacjentem. Wspomagane AI uczelnie przyspieszą też długotrwałą i kosztowną edukację medyków, co wydaje się niezwykle pożądane wobec niedoboru lekarzy na całym świecie. Autorzy eksperymentu dopisują chatGPT z afiliacją OpenAI w San Francisco do listy współautorów artykułu.

Na razie nie ma jednak zbyt dużo takich pozytywnych głosów. Niemal w całym środowisku białych kołnierzyków zapanował strach. Co to będzie, jeśli chatGPT zastąpi księgowych wyliczających podatki, prawników piszących zawiłe pisma procesowe utkane wyszukana

argumentacją i znajomością paragrafów, copywriterów, dziennikarzy, pisarzy, programistów (chatGPT szybko i sprawnie pisze linijki kodów czy tłumaczy kod na inny język programowania), nie wspominając o pracownikach obsługi klienta, asystentach, sekretarkach, bo te funkcje chatboty wspomagają od dawna.

Nowe narzędzie otworzy rynek zatrudnienia dla wszystkich, którzy będą potrafili z nim współpracować. Dwa miesiące po premierze chatGPT świat akademicki musi się przeprogramować na nowy sposób myślenia i działania, bo nic już nie będzie wyglądało tak samo jak jesienią 2022. Przemawia za tym wiele znaków na niebie i ziemi, z których najważniejszym są pieniądze. Microsoft przejął 49% udziałów w OpenAI, laboratorium technologicznym, którego przychody to zaledwie kilkanaście milionów dolarów, za 10 mld dolarów. Google, który w innowacyjnym produkcie OpenAI widzi wielkie zagrożenie dla swojej przeglądarki i przychodów z reklam, natychmiast ogłosił czerwony alert i zintensyfikował prace nad własnym chatbotem konwersacyjnym laMDA. Wall Street Journal podaje nieformalną wycenę OpenAI w styczniu 2023 na 23 mld dolarów, a prezes Sam Altman obiecuje przyszłemu akcjonariuszom 20-krotny zwrot z akcji i deklaruje 1 mld przychodów już w 2024 roku. Pewnie wie co mówi, bo to nie czarodziej, ale dobrze znany w Dolinie Krzemowej 37-letni inwestor po Stanfordzie, który jako prezes Y Combinatora wprowadził na rynek wiele firm, w tym Airbnb, Dropbox, Twitch.



Fot. ALK

Najlepsze na świecie uczelnie nie przysłuchują się biernie tej zajmującej debacie, ale już zatrudniają nowych profesorów, którzy specjalizują się w analizie ilościowej, Big Data, wykorzystaniu AI. Gareth James, dziekan szkoły Biznesu Goizueta w Emory University z Atlanty, na łamach „Poets&Quants” pochwalił się, że od stycznia ma 75 nowych etatów dla takich specjalistów i otwiera nowe kierunki i ścieżki badawcze, których wspólną cechą jest współpraca człowieka z AI. Profesorowie Emory już zaprzęgli AI do roboty: Karl Kuhnert, wykorzystuje ją do nauczania etyki, Donald Lee do wyodrębniania danych zdrowotnych rejestrowanych przez urządzenia do noszenia typu Apple Watch, a David Schweidel bada AI i uczenie maszynowe na froncie marketingowym. W Atlancie dobrze wiedzą jaka jest przyszłość rynku pracy.

Wyzwania, jakie stoją dziś przed uniwersytetami i szerzej, przed całym systemem edukacji na świecie, to jak wykorzystać chatGPT w procesie kształcenia? Jak sprawdzać wiedzę i umiejętności uczniów i studentów? Jak wyśrubować standardy etyczne, by ściąganie z udziałem AI nie miało miejsca, choć jest to teraz bardzo łatwe i powszechnie dostępne (zwłaszcza przy zadaniach domowych, pracach okresowych i dyplomowych)? Jak dostosować prawo autorskie i inne regulacje do sytuacji, w której współautorem a czasem autorem opracowań naukowych jest sztuczna inteligencja?

Pocieszające w tym wszystkim jest to, że AI może być przydatna w kształceniu na przyzwoitym, ale nie mistrzowskim poziomie. Kopowanie mistrzów z pełnym wyczuciem ich stylu i niemal doskonałym naśladownictwem pozostanie tylko kopią, której tony nigdy nie zabrzmią tak urzekająco, jak oryginalny utwór. Przyjdzie jeszcze poczekać, zanim chatGPT zda USMLE na 100 proc. (na razie osiągnął 50-60%), namaluje lepszą Monę Lisę albo skomponuje nokturn godny Chopina. Postęp cywilizacyjny i kulturowy będzie zależał od prawdziwych geniuszy.

Grzegorz Mazurek, specjalista w dziedzinie zarządzania, jest rektorem Akademii Leona Koźmińskiego.

Za co jestem wdzięczny Karen Blixen?

Swego czasu czytając *Pożegnanie z Afryką*, poczułem ogromną wdzięczność wobec autorki książki. Powody, które legły u podstaw tej wdzięczności, teraz wzmacniają moją daleko posuniętą niechęć wobec obecnej fazy rewolucji cyfrowej. Zilustruję to na przykładzie sztucznej inteligencji ChatGPT.

Z grubsza znamy obecne możliwości tej wersji AI, ale nie wiemy dwóch ważnych rzeczy. Jaki potencjał niosą ze sobą jej kolejne wersje? Nie wiemy też, jakie zmiany w naszym, ciągle jeszcze ludzkim świecie, ta AI i jej nowe mutacje, przyniesie. A poza tym: na ile głęboka jest nasza wiedza o tym, jak działa człowiek oraz społeczeństwo? To od tego zależy przecież trafność odpowiedzi na pytanie, jak upowszechnienie chatuGPT nas w najbliższym czasie zmieni.

Po dość krótkich własnych doświadczeniach z ChatemGPT oraz pewnej liczbie lektur na ten temat, biorąc pod uwagę obecną kondycję ludzkiej cywilizacji, można narysować sporo wysoce prawdopodobnych scenariuszy niekorzystnych dla człowieka. ChatGPT już wstrząsnął, a robi to w jeszcze większym stopniu, potężną dawkę nieufności w stosunku międzyludzkie. Dobrze to widać w odniesieniu do relacji uczeń – nauczyciel w kontekście plagiatowania w zadawanych pracach pisemnych. ChatGPT nie tylko utrudni wychodzenie z kryzysów nieuczciwości w nauce, ale może je spotęgować. W ostatnich latach powstało sporo opracowań pokazujących, że liczne środowiska badawcze, włącznie z redakcjami renomowanych czasopism, wykazują miniaturową wolę oczyszczenia pola wiedzy z tekstów i praktyk, których niezetelność już została udowodniona.

ChatGPT już wywołał fale niepokoju (choć chyba jeszcze nie paniki) na niektórych rynkach pracy – w pierwszej kolejności związanych z tworzeniem tekstów. Zapewne przyczyni się on do zwiększenia „czarnoskrzynkowości”, czyli nieprzenikalności wielu zjawisk społecznych. Coraz trudniej będzie ustalić – także w odniesieniu do kolejnych systemów AI – kto kogo kontroluje, jaką wiedzę i możliwości sprawcze skrywa. Najprawdopodobniej, tak jak w przypadku fortun właścicieli grupy GAFAM, AI nasili proces kumulacji ogromnych majątków w nader nielicznych rękach. To zaś, m.in. ze względu na napięcia globalne (USA vs Chiny; ideologia woke vs konserwatyzm) dodatkowo obniży stabilność systemów społecznych, nasilając mechanizm unintended consequences.

AI przyspieszy proces przechodzenia ludzkości do po-piśmiennej fazy (w sensie Jacka Dukaja, *Po piśmie*, Kraków 2019) „rozumienia” i odczuwania świata. Pisaniem zajmą się maszyny, ludziom zostaną znacznie łatwiejsze formy ekscytacji. To zaś może przyczynić się do degradacji intelektualnej naszego gatunku, zwiększającej podatność zatomizowanych jednostek ludzkich na różne formy manipulacji. Wraz z innymi „innowacjami” (nowinkami technicznymi) ChatGPT przyczyni się do przekierowania uwagi ludzkości ku sprawom mniej ważnym, powodując odchodzenie od postaw obywatelskich, a dominacja postaw ludycznych (Don't worry, be happy) wykasuje z relacji społecznych odpowiedzialność. Ludzie będą nie tylko testować ChatGPT z ciekawości, jak ongiś nasi przodkowie wkładali ręce w ognisko, by rozeznąć, na czym to-nowe polega. Dziś „eksperymentatorzy” będą brać w swe dłonie pochodnie i wymachując nimi biegać po lasach. ... Wreszcie, wchodzenie do szerokiego użytku dalszych systemów AI skokowo zwiększy i tak już nadmiarową złożoność współczesnej cywilizacji. Już chyba zbliżyliśmy się do miejsca, po przekroczeniu któ-

rego nie da się ocalić nawet skromnych resztek projektu Oświecenia (zob. Andrzej Zybortowicz i in., *Samobójstwo Oświecenia? Jak neuro-nauka i nowe technologie pustoszą ludzki świat*, Kraków 2015). Mam tu na myśli przekonanie, że roztropnie współpracując ludzie są w stanie panować – w pewnych granicach – nad własnym życiem, redukując stopniowo obszary zbytecznego cierpienia. Słowem: na horyzoncie – zamęt. A jego eskalacja zwykle rodzi zapotrzebowanie na nagą przemoc.

W zakresie sporu o faktyczne możliwości systemów AI złudną pociechą są widoczne już dziś ich słabości. Niby miałyby to uspakajając, iż czeka nas jeszcze długa droga, zanim poważnie zagrożą człowiekowi. Ale, po pierwsze, niektóre z tych ułomności dość szybko dadzą się naprawić; po drugie, ludzie też są nieusuwalnie ułomni, mają luki w wiedzy, wnioski wyciągają po czasie etc., a mimo to posiadają duże moce sprawcze.

Kluczowe jest zaufanie. Od jakiegoś czasu często nie wiemy, czy komunikujemy się z botem, czy z człowiekiem? A jak to będzie w przypadku intelektualnych hybryd i związanej z tym inwazji niesamowitości w życie społeczne? Należy obawiać się, iż podobnie jak to stało się z naszymi danymi (tj. śladami behawioralnymi), już niebawem znowu zostaniemy, jak mówi Shoshana Zuboff, okradzeni z czegoś, z czego wartości nie tylko nie zdajemy sobie sprawy (jak Indianie z wartości ziemi, gdy w XVII wieku na Manhattan przybyli koloniści), ale także z czegoś, co posiadamy lub wytwarzamy w ogóle nie mając pojęcia, że jesteśmy twórcami tego. Albo zostaniemy pozbawieni czegoś, z czego zdajemy sobie sprawę, że

to mamy, ale jednocześnie pozostajemy w przekonaniu, iż nie sposób nam tego zabrać i zmonetyzować. Przykładem najtytniejsze przeżycia naszych dusz – do takich doznań dotąd dostęp artykularyjny mieli tylko artyści.

Zapewne różni ludzie sztukę przeżywają odmiennie. Mnie osobiście, jedne z najcenniejszych, a może i najgłębszych przeżyć dostarczały te chwile kontaktu z muzyką, poezją, powieścią, kinem, gdy miałem wrażenie kontaktu z nader subtelnymi poruszeniami duszy innego człowieka; chwile poczucia współuczestniczenia w arcy-ludzkich doznaniach kogoś, kto może już odszedł ze świata żywych, ale dał mi dostęp do swego człowieczeństwa, do ludzkiego intelektualnego, moralnego, estetycznego, a niekiedy wprost - duchowego dziedzictwa. Czyż nie na tym opiera się np. fenomen muzyki Chopina?

Stąd moja wdzięczność wobec Karen Blixen za przekazanie nam daru, jakim jest zapis jej dni w Afryce, zanim jeszcze się z nią pożegnała. Jeśli dobrze rozumiem obecne, a urosną one niebawem, możliwości ChatuGPT, to bazując na dorobku wielu twórców już teraz maszyna ta potrafi sporządzać teksty (w przypadku innych wersji AI – obrazy), zdolne do wywołania u nas poruszeń na tyle delikatnych, iż wcześniej udawało się to nielicznym, najwybitniejszym twórcom.

Już teraz surfując po Internecie, możemy zostać wmanewrowanymi w rozmowę z botem udającym człowieka. Czy smak poezji, opisu przyrody albo miłosnego ożywienia nie będzie zatruty, gdy nie sposób będzie rozproszyć wątpliwości co do obecności drugiej ludzkiej istoty jako autora?

Prof. Andrzej Zybortowicz, jest socjologiem, kieruje Ośrodkiem Studiów nad Wyzwaniami Cywilizacyjnymi Akademii Sztuki Wojennej.



Fot. Grzegorz Krzyżewski

Realne problemy wirtualnej biblioteki

O ponad 12 mln zł wzrósł w stosunku do poprzedniego roku koszt zakupu wszystkich licencji dla Wirtualnej Biblioteki Nauki. To program zakupu i udostępniania polskim jednostkom naukowym światowych zasobów wiedzy w postaci elektronicznych czasopism, książek i baz danych bibliograficznych prowadzony przez Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego. Poprzez corocznie odnawiane licencje ICM UW kupuje dostęp do zasobów na serwerach wydawców. W negocjacjach z nimi stronę polską reprezentuje dyrektor jednostki, obecnie p.o. dr inż. Robert Sot.

Pod koniec grudnia doszło do spotkania przedstawicieli UW z ministrem edukacji i nauki, który zapewnił, że planuje utrzymać dofinansowanie licencji, ale łączna kwota wnioskowana przez ICM przekracza możliwości budżetowe resortu. W tej sytuacji zapowiedziano dokonanie wyboru i zaprzestanie dofinansowania niektórych licencji. Informacja na temat planowanych ograniczeń odbiła się w środowisku akademickim szerokim echem. O znaczeniu WBN świadczy fakt, że tylko w ubiegłym roku polscy naukowcy pobrali z tego źródła ok. 19,6 mln artykułów i rozdziałów książek.

Program jest dofinansowany z corocznych dotacji Ministerstwa Edukacji i Nauki oraz składek instytucji akademickich uczestniczących w licencjach konsorcyjnych. Jak nas poinformowała Anna Modzelewska, rzeczniczka UW, w ubiegłym roku koszt zakupu licencji krajowych i zagranicznych wyniósł ok. 265 mln zł, z czego dofinansowanie MEiN wyniosło 228 mln zł (z ogólnej dotacji na WBN w wysokości 236 mln zł), a pozostała część pochodziła ze składek instytucjonalnych. Warto dodać, że początkowo zapłacono 245 mln zł, ale pod koniec roku resort dołożył dodatkowe 15 mln zł, by umożliwić dostęp do usług na dotychczasowym poziomie. Dla porównania w 2020 r.

koszt zakupu licencji krajowych i zagranicznych wyniósł 256 mln zł (z czego 195 mln zł na licencje krajowe, a 61 mln zł na konsorcyjne). W MEiN dowiedzieliśmy się, że w budżecie na 2023 rok wydatki na ten cel założono na poziomie 245 mln zł, co wiązało się z ograniczeniem usług oferowanych przez największych wydawców. Tymczasem propozycja wielkich wydawców na utrzymanie dostępów na dotychczasowym poziomie opiewała na przeszło 277 mln zł. Dzięki środkom z ministerialnej rezerwy, które można było uruchomić dopiero po podpisaniu ustawy budżetowej przez prezydenta (2 lutego), przekazano dodatkowe blisko 11,5 mln zł na pokrycie kosztów subskrypcji dwóch najpopularniejszych czasopism: „Nature” i „Science”. Mimo tego wciąż brakuje 20,6 mln zł na wykup pełnego pakietu.

Wirtualna Biblioteka Nauki została stworzona i jest prowadzona od 1996 roku przez ICM. Na początku powstał krajowy serwer chemicznych baz danych Beilstein i Gmelin, a wkrótce potem serwer bazy abstraktowej Medline oraz jednej z pierwszych na świecie elektronicznej kolekcji pełnotekstowej zawierającej kilkadziesiąt wiodących czasopism biomedycznych oraz czasopisma „Science” i „Nature”. Zasoby te udostępniano kilkunastu największym uczelniom oraz kilku instytutom naukowym na zasadzie licencji konsorcyjnych zakupionych dzięki dofinansowaniu przez Komitet Badań Naukowych. Zawartość serwerów ICM stopniowo się zwiększała i w 2009 r. obejmowała już 3 tys. czasopism udostępnianych ponad 100 uczelniom i instytutom naukowym. Obecnie WBN umożliwia dostęp do około 25 tys. czasopism i 157 tys. książek. We wszystkich czasopismach WBN polscy autorzy opublikowali w ubiegłym roku ok. 13 tys. artykułów.

MK

Wirtualna Biblioteka Nauki - dostęp i publikowanie w 2022 r.

Licencje	Wydawca i zasoby (licencje koordynowane przez ICM UW)	Liczba pobranych publikacji, w tym % artykułów subskr.	Liczba polskich publikacji, w tym w programach publikowania otwartego WBN
krajowe finansowane w 100% przez MEiN	Elsevier - ok. 1600 czasopism bieżących (od grudnia 2022 r. zmniejszone do ok. 1200)	7.4 mln (81%)	ok. 5500 w tym 1448 WBN
	Springer - ok. 2200 czasopism	2.1 mln (68%)	ok. 2700 w tym 918 WBN
	Wiley - ok. 500 czasopism (do 2021 r. było ok. 1400)	1.5 mln (70%)	ok. 1200
	Czasopisma Science* i Nature*	0.3 mln (91%)	kilka, w tym 3 WBN (Sc. Adv.)
	Springer - 137 000 książek	4.0 mln	ok. 200 książek rocznie
	Elsevier i Wiley - 4700 książek	0.2 mln	b/d
	Bazy bibliometryczne Web of Science i Scopus oraz narzędzia InCites i Scival		
konsorcyjne finansowane w 50% przez MEiN	AIP*, APS*, ACS, IOP, CUP*, OUP, IEEE, NPG*, LWW, Emerald* i T&F - 3000 czasopism	4.1 mln (68-94%)	ok. 3500, w tym 592 WBN w programach ACS, IOP, CUP, OUP, LWW, Emerald i T&F
	Platformy agregacyjne JSTOR, ProQuest* i Knovel* - 18.000 czasopism i 10.000 książek		
	Bazy ekon. OECD*, EMIS*, Passport*		
	Bazy chemiczne Reaxys, SciFinder*		
Razem	ok. 25 000 czasopism i 157 000 książek	19.6 mln	ok. 13 000, w tym 2961 OA

*bazy nie objęte decyzją o dotacji WBN na 2023 r. ze stycznia 2023 r.

Dr Robert Sot, p.o. dyrektora ICM:

Od kilkunastu lat Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego, Uniwersytetu Warszawskiego (ICM), wspierane finansowaniem resortu nauki, zaangażowane jest w utrzymanie Wirtualnej Biblioteki Nauki (WBN).

ICM jest odpowiedzialne za negocjowanie i zakup licencji krajowych dla ponad 500 instytucji akademickich i naukowych w kraju oraz dużej liczby licencji konsorcyjnych z udziałem od kilkunastu do kilkudziesięciu partnerów. Umowy z wydawcami negocjowane i zawierane centralnie w programie Wirtualnej Biblioteki Nauki dają dostęp do znacznie większych zasobów, niż w przypadku zakupów indywidualnych. Obecnie jest to ok. 25 tys. tytułów czasopism oraz 160 tys. książek. Możliwość korzystania przez badaczy z dużych kolekcji pełnotekstowych nabiera obecnie dodatkowego znaczenia ze względu na nowe perspektywy prowadzenia komputerowej analizy tekstów oraz dokonywania odkryć naukowych z pomocą sztucznej inteligencji. Istotną częścią WBN jest również utrzymanie platformy Biblioteka Nauki, która służy do archiwizacji i udostępniania zasobów licencyjnych Elsevier, Springer i Wiley oraz zasobów polskich czasopism naukowych zgromadzonych w programie Otwartej Nauki.



Fot. ICM UW

Bezwarunkowa Indywidualna Subwencja dla naukowców

Proponuję, by każdy obywatel Polski posiadający stopień naukowy doktora, bez względu na miejsce zamieszkania i zatrudnienia, do ukończenia 65 roku życia otrzymywał z budżetu Ministerstwa Edukacji i Nauki nieopodatkowaną subwencję w wysokości tysiąca złotych miesięcznie z przeznaczeniem na pokrycie kosztów: literatury naukowej, udziału w konferencjach naukowych i składek członkowskich w towarzystwach naukowych, publikowania prac naukowych (np. open access), postępowania habilitacyjnego i związanego z uzyskaniem tytułu naukowego oraz pilnych niewielkich wydatków, np. na materiały biurowe lub drobny sprzęt laboratoryjny. Doświadczeni naukowcy mogliby pokrywać wydatki swoich doktorantów. Warto rozważyć jest też podniesienie subwencji do 1,5 tys. zł dla osób posiadających stopień doktora habilitowanego.

Bezwarunkowa Indywidualna Subwencja (BIS) jest w pewnym sensie podobna do bezwarunkowego dochodu podstawowego, ogólnie znanej (lecz nie stosowanej w praktyce) alternatywy dla innych systemów opieki społecznej. Podobnie jak w dochodzie podstawowym, BIS jest odwróceniem paradygmatu („kto nie pracuje, ten nie je”, a w nauce „publish or perish”), nawet jeżeli pracownik naukowy nie miał wcześniej spektakularnych wyników, to trudno od niego wymagać wyników w przyszłości, gdy nie mamy mu pieniędzy na badania.

Wydatki z BIS nie musiałyby być w żaden sposób dokumentowane, rozliczane ani z nikim konsultowane. Obecnie w Polsce większość doktorów pracuje w instytucjach finansowanych z budżetu państwa, a ich wydatki na powyższe cele są finansowane za pośrednictwem tychże instytucji. Wiąże się to z gromadzeniem i tworzeniem licznych dokumentów najpierw na etapie zamówienia, a potem przy rozliczaniu faktur i sporządzaniu sprawozdań finansowych instytucji. Zajmuje się tym armia urzędników opłacanych z pieniędzy przeznaczonych na naukę, a także sami naukowcy, którzy tracą przy tym swój cenny czas. W obecnym systemie konieczność wydatkowania subwencji w określonym terminie często prowadzi do nieprzemysłanych zakupów.

BIS byłaby korzystna dla samych naukowców poprzez: zmniejszenie kosztów obsługi biurowej i finansowej nauki, możliwość szy-

kiej realizacji pilnych zleceń (niecierpliwi naukowcy często płacą za nie swoimi prywatnymi pieniędzmi), racjonalizację części wydatków – naukowiec podejmując sam decyzje może skorzystać z różnych „okazji” oraz będzie bardziej skłonny do obniżenia własnego komfortu dla uzyskania oszczędności, możliwość finansowania badań nie dających w krótkiej perspektywie wyników w postaci wysoko punktowanych publikacji.

BIS jest niezależna od pensji wypłacanej pracownikom oraz od finansowania z budżetu państwa wydatków związanych z utrzymaniem budynków, zakupem i utrzymaniem aparatury naukowej itd. Niezależnie od BIS naukowcy i instytucje naukowe mogą ubiegać się o subwencję i granty na dotychczasowych lub zbliżonych zasadach.

Taka subwencja może być finansowana z tych samych źródeł, z których obecnie są finansowane zakupy literatury i wyjazdy na konferencje. Subwencje wypłacane instytucjom naukowym uległyby zmniejszeniu, ale też instytucje te miałyby mniejsze wydatki dzięki redukcji personelu administracyjnego oraz „przerzuceniu” części kosztów na BIS.

BIS może mieć skutki uboczne w postaci mniejszej liczby uczestników konferencji, a w konsekwencji mniejszej liczby konferencji czy też mniejszej liczby publikacji. Naukowcy będą bardziej powściągliwi, gdy będą musieli sami zapłacić za ich wydanie. Z drugiej strony turystyka konferencyjna i nadmierna aktywność publikacyjna (w tym hojne finansowanie „drapieżnych” wydawców) wymieniane są jako główne grzechy naukowców, a owa powściągliwość bardziej zaszkodzi ludziom żyjącym z nauki niż samym naukowcom. BIS może zwiększyć liczbę kandydatów ubiegających się o stopień naukowy doktora. Byłoby to korzystne dla rozwoju nauki w Polsce, o ile oczywiście rady naukowe zadbają o odpowiedni poziom doktoratów, a konsekwencje finansowe nadania stopnia doktora (BIS do osiągnięcia 65 lat) powinny motywować promotorów, recenzentów i członków komisji doktorskich do większej odpowiedzialności w tym zakresie.

Marek Kosmowski

Najlepsza uniwersjada od dekady

Aż siedemnaście medali, w tym pięć złotych, zdobyli reprezentanci Polski podczas zimowej uniwersjady w amerykańskim Lake Placid. To drugi najlepszy wynik w historii po zawodach we włoskim Trydencie w 2013 r., gdzie nasi studenci sięgnęli po 23 krążki.

Na to największe święto sportu akademickiego trzeba było czekać aż cztery lata. Z powodu pandemii koronawirusa nie odbyła się bowiem planowana dwa lata temu uniwersjada zimowa w szwajcarskiej Lucernie, którą najpierw przesunięto o rok, by ostatecznie odwołać. Ostatnie zimowe zmagania akademików mogliśmy oglądać w 2019 roku w rosyjskim Krasnojarsku, gdzie Polacy zdobyli tylko 2 medale.

W rywalizacji w Lake Placid wzięło udział 1,5 tys. zawodników z całego świata. Ekipa biało-czerwonych liczyła 55 osób, które wystartowały w dziewięciu dyscyplinach: biathlonie, biegach narciarskich, kombinacji norweskiej, łyżwiarstwie figurowym i szybkim, narciarstwie alpejskim, skokach narciarskich, snowboardzie alpejskim i freestyle. Na podium Polacy stawali tylko w czterech z nich: sześć medali zdobyli skoczkowie narciarscy, pięć biathloniści, cztery łyżwiarze i dwa kombinatorzy norwescy.

– Na naszą korzyść pracował z pewnością program uniwersjady, bo wróciły sporty, w których jesteśmy mocni, jak skoki czy panczeny. Cztery lata temu ich nie było – podkreśla szef polskiej misji Dariusz Piekut.

Do dotychczasowego dorobku z uniwersjad zimowych (173 medale, w tym 53 złote, 59 srebrnych i 61 brązowych), polscy studenci dołożyli kolejnych 17 krążków. Prawdziwą gwiazdą okazała się Nicole Konderla, która w skokach narciarskich trzykrotnie stała na najwyższym stopniu podium (indywidualnie, w mikście z Adamem Niżnikiem i w konkursie drużynowym z Kingą Rajdą). Co więcej, wraz z Weroniką Kaletą i Andrzejem Szczechowiczem sięgnęła po srebro w sztafecie w kombinacji norweskiej (bieg + skoki). Wszyscy wyżej wymienieni to studenci AWF Katowice im. Jerzego Kukuczki. Na uczelni, która miała na uniwersjadzie aż 35 przedstawicieli, uczyć się także panczenistki Iga Wojtasik i Olga Kaczmarek, które wraz z Natalią Jabrzyk (Politechnika Łódzka) zdobyły medal z najcenniejszego kruszcu w rywalizacji drużynowej (Wojtasik i Jabrzyk dorzuciły srebrne medale w biegach indywidualnych na 1000 i 1500 m), Paulina Cieślar, która z Anną Twardosz (Wyższa Szkoła Edukacja w Sporcie w Bielsku-Białej) wywalczyły srebro w konkursie drużynowym i Kinga Rajda – brąz indywidualnie i w mikście z Szymonem Jojko w skokach narciarskich, oraz także brązowy Wojciech Janik. Lepiej od tego ostatniego spisali się jego koleżanki z biathlonowej ekipy: Anna Nęcza-Kubiniec (Uczelnia Korczaka Katowice) zdobyła złoto w sprincie na 7,5 km i srebro w biegu pościgowym, a Barbara Skrobiszewska (Karkonoska Akademia Nauk Stosowanych) srebro na 12,5 km i brąz w biegu pościgowym.

Start biathlonistów do końca nie był pewny. Z powodu błędu linii lotniczych i amerykańskiego prawa ich sprzęt utknął na lotnisku w Atlancie i dopiero po zabiegach Akademickiego Związku Sportowego, interwencji władz stanu Nowy Jork oraz pomocy amerykańskiej policji, która specjalnym konwojem przetransportowała karabiny do Lake Placid, Polacy mogli startować na olimpijskich trasach.

Z brązowymi medalami wrócili też do kraju: kombinatorka norweska Joanna Kil (Podhalańska Publiczna Uczelnia Zawodowa w Nowym Targu) i panczenista Marek Kania (Politechnika Warszawska), który przełamał tym samym kłutwęciążącą dotychczas na chorążym reprezentacji.

W końcowej klasyfikacji medalowej biało-czerwoni uplasowali się na 5 pozycji, za Japonią, Koreą Południową, Kanadą i Francją. Na przełomie lipca i sierpnia w chińskim Chengdu zaplanowano letnią uniwersjadę, przełożoną z ubiegłego roku.



Fot. Paweł Skrabba

Natalia Jabrzyk



Fot. Paweł Skrabba

Anna Nęcza-Kubiniec

MK

W cieniu kryzysów

Radzie Młodych Naukowców VII kadencji przyszło funkcjonować w trudnym dla środowiska naukowego okresie dramatycznych wydarzeń, które dotyczyły i świat akademicki, i gospodarkę. Mimo trudności podejmujemy inicjatywy, które mają zmieniać warunki, w jakich funkcjonują nasze koleżanki i koledzy, co znajduje odzwierciedlenie zarówno podejmowanych przez nas uchwałach, jak i w innych działaniach.

RMN obecnej kadencji rozpoczęła pracę jesienią 2021 roku. Od tego czasu przyjęliśmy dziewięć uchwał. Część z nich była podjęta w reakcji na kolejne wyzwania, przed którymi musiało stanąć całe środowisko akademickie w Polsce. W uchwałach dotyczącej szczepień przeciw COVID-19 sprzeciwialiśmy się antynaukowym poglądom i wskazywaliśmy na znaczenie szczepionek dla rozwoju współczesnej cywilizacji. Zachęcaliśmy do szczepień doktorantów i młodych badaczy wyjaśniając, że będzie to jedyna droga do powrotu do normalnego trybu pracy ze studentami. W innej postulowaliśmy stworzenie bazy informacji o możliwościach prowadzenia badań dla naukowców z Ukrainy oraz bazy ogłoszeń dotyczącej wspólnych płaszczyzn badawczych i rodzajach pomocy dla studentów przyjeżdżających z Ukrainy do polskich uczelni. Postulat ten spotkał się z pozytywną reakcją Ministerstwa Edukacji i Nauki, które wprowadziło na swojej stronie specjalną zakładkę: „Uczelnia dla Was - Университет для вас” oraz w uruchomiło specjalnego chatbota, obsługującego interesariuszy w dwóch językach po polsku i ukraińsku.

Ciągle identyfikujemy istniejące i przyszłe bariery rozwoju młodych naukowców i przygotowujemy rekomendacje dotyczące instrumentów wspomagania kariery młodych naukowców. Nasze postulaty przekazywane władzom publicznym zostały już wielokrotnie wysłuchane i wprowadzone w życie. Resort zaakceptował nasze propozycje zmian w Stypendium ministra edukacji i nauki dla wybitnych młodych naukowców: przedstawienie szczegółowych kryteriów oceny wniosków o stypendia w momencie ogłoszenia i otwarcia naboru wniosków, podanie algorytmu punktowego za publikacje naukowe przed okresem naboru wniosków oraz doprecyzowanie interpretacji okresu 7 lat od uzyskania stopnia doktora. Minister pozytywnie odniósł się też do uchwały, w której rekomendowaliśmy dwie kandydatury do Rady Narodowego Centrum Nauki. Dr Diana Dajnowicz – Piasecka reprezentująca nauki prawne i dr hab. inż. Alicja Kazek – Kęsik reprezentująca dyscyplinę nauk inżynierijsko-chemicznych weszły do powołanej w minionym roku nowej Rady NCN. Jesienią 2022 roku reagowaliśmy też na postulaty środowiska dotyczące konieczności wzrostu finansowania nauki w naszym kraju. Postulowaliśmy nie tylko wzrost płac, ale też wzrost nakładów na agendy wykonawcze resortu nauki. Oba postulaty spotkały się z zainteresowaniem MEiN i skutkowały wzrostem finansowania. Wszystko to możliwe jest dzięki dobrej współpracy z ministrem edukacji i nauki prof. Przemysławem Czarnkiem oraz władzami resortu.

Przybliżyliśmy młodym naukowcom mechanizmy finansowania nauki i wspieramy kontakty młodych badaczy z przedstawicielami środowisk gospodarczych i instytucji wdrażających innowacyjne rozwiązania w nauce. Wielką popularnością cieszyły się zorganizowane przez Radę webinarium z NCN, prezentujące ofertę Centrum dla młodych naukowców. Obserwujący wydarzenie zadawali pytania ekspertowi za pośrednictwem prowadzących

wydarzenie członków RMN. Dominowały pytania o wysokość przyznawanej pomocy w poszczególnych programach, o terminy nowych naborów wniosków i zasady recenzowania. Rada Młodych Naukowców analizuje też trudne dla wielu przedstawicieli środowiska sytuacje związane z mobbingiem, co zaowocowało webinarium poświęconemu temu zagadnieniu, zorganizowanemu we współpracy z Fundacją Science Watch Polska. Podobna inicjatywa dotyczy pytań młodych badaczy związanych z wymianą akademicką. Internetowe szkolenie Rada organizuje we współpracy z Narodową Agencją Wymiany Akademickiej. Formuła otwartych szkoleń online jest dziedzictwem doświadczeń z czasów pandemii, ale poprzez swoją dostępność cieszy się dużym zainteresowaniem odbiorców, którzy uczestniczą w nich chętnie ze względu na możliwość interakcji z zapraszonymi przez nas ekspertami. Młodych badaczy interesuje, czy planowana będzie integracja systemu NAWA z systemem OSF oraz czy poza Niemcami i Francją, agencja nawiąże współpracę z kolejnymi krajami partnerskimi.

Przedstawiciele Rady uczestniczyli w posiedzeniach Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Young Scientist Day na Politechnice Wrocławskiej, warsztatach organizowanych przez KRASP i EUA w Łodzi i Śląskim Festiwalu Nauki w Katowicach. Rada reprezentuje młodych badaczy współpracując z Konferencją Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Krajową Reprezentacją Doktorantów i Parlamentem Studentów RP, mając świadomość, że system szkolnictwa wyższego i nauki tworzą przedstawiciele studentów, doktorantów i pracowników. Nasi przedstawiciele uczestniczyli też w Forum Ekonomicznym w Karpaczu, podejmując rozmowy z przedstawicielami świata gospodarczego.

Sprawozdania z naszych działań są publikowane w formie biuletynu, który podobnie jak pełne zapisy uchwał RMN można znaleźć na stronie internetowej Rady. Liczne zapytania z prośbami o zainteresowanie się poszczególnymi tematami trafiają do nas za pośrednictwem mediów społecznościowych i poczty elektronicznej. Swoimi pracami członkowie Rady dzielą się z zainteresowanymi między innymi przez cykl prezentacji sylwetek członków obecnej kadencji RMN, zatytułowany „Poznajmy się”. Planujemy kontynuować szkolenia z ekspertami z poszczególnych agencji grantowych, dotyczące pozyskiwania środków na badania oraz podjąć temat, który wyrósł na kanwie dyskusji związanych z mobbingiem – work life balance, co często jest sugerowane w korespondencji skierowanej do Rady.

Dr Tomasz Sińczak, Zespół do spraw obsługi medialnej Rady Młodych Naukowców VII kadencji.



Rozmowa z prof. Stanisławem Wrzosem, prawnikiem z KUL, przewodniczącym Polskiej Komisji Akredytacyjnej

Ciepłe dokumenty

Przyznając akredytację, dbamy o podnoszenie jakości kształcenia. Nie zapewnia jej sama Komisja. Dbamy tylko o to, aby uczelnie tworzyły u siebie warunki, które gwarantują spełnianie standardów jakości kształcenia. Chodzi o to, żeby uwiarygodnić polskie uczelnie zarówno wobec kandydatów na studia z Polski, jak i spoza kraju.

Jaki obraz działań Polskiej Komisji Akredytacyjnej przedstawia nam jej historia?

Z perspektywy dwudziestu lat istnienia Polskiej Komisji Akredytacyjnej można wyodrębnić pięć etapów jej działania. Pierwszy miał charakter czysto organizacyjny, gdy po powołaniu PKA trzeba było po prostu zatrudnić pracowników biura, powołać członków, prezydium, umeblować biuro i uruchomić stronę internetową. Komisja ukonstytuowała się dość szybko. Kolejne etapy wiązały się ze zmianami ustawodawstwa. Drugi etap działania wiązał się z wprowadzeniem przedstawicieli studentów do składu Komisji. Osoby delegowane przez Parlament Studentów RP zostały odpowiednio przeszkolone i zaczęły jeździć na oceny kierunków studiów. Przewodniczący PSRP z urzędu wszedł w skład Prezydium PKA. Komisja rozpoczęła intensywną współpracę międzynarodową z organizacjami o podobnym charakterze, m.in. stała się członkiem ENQA i została wpisana do rejestru agencji akredytacyjnych EQAR. Trzeci etap to zmiana nazwy Komisji na obecną. Wiązało się to z wymaganiami organizacji europejskich, aby Komisja była niezależna od rządu, co doprecyzowano w ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym w 2011 roku. W skład PKA włączono przedstawicieli organizacji pracodawców jako interesariuszy procesu kształcenia.

Czwarty etap wiązał się z przejściem na Polską Ramę Kwalifikacji oraz opracowaniem katalogu kryteriów oceny programowej. Ostatni etap, którego początek wyznacza uchwalenie Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce w 2018 roku, to m.in. zakończenie ocen instytucjonalnych oraz postawienie przez PKA zadań analitycznych i szkoleniowych, co staramy się realizować.

Działalność Komisji opiera się teraz na ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

To podstawa, ale w tej ustawie są delegacje dla ministra, który w rozporządzeniach określa pewne szczegóły, np. rozporządzenie określające zasady prowadzenia oceny programowej, w którym wskazano dziesięć kryteriów stosowanych w tej procedurze. Te same kryteria są stosowane przy wydawaniu zgody na utworzenie kierunków studiów. Mamy jeszcze nasz statut, który opisuje szereg szczegółowych kwestii proceduralnych. Od początku prowadziliśmy dwa rodzaje działań: oceny kierunków kształcenia i analizy wniosków o utworzenie kierunków studiów, w sytuacjach gdy wymagało tego prawo. Ocena kształcenia miała początkowo tylko postać oceny programo-

wej. Z czasem doszła jeszcze ocena instytucjonalna, czyli całej jednostki uczelni. W przypadku dużych uczelni były to zwykle wydziały, a w przypadku małych – nawet całe uczelnie. Ocena programowa funkcjonuje cały czas, a ocena instytucjonalna została zniesiona w 2018 roku. W jej miejsce miała być uruchomiona ocena kompleksowa, jednak nie mamy odpowiedniego rozporządzenia ministra, a PKA może działać tylko w takim zakresie, na jaki pozwala prawo.

Faktycznie PKA działa przez zespoły oceniające.

Zawsze pod koniec roku akademickiego jest opracowywany i publikowany harmonogram wizytacji na uczelniach. Zatem żadna jednostka nie jest zaskoczona wizytą naszych ekspertów. Czasami otrzymujemy od ministra zlecenie na przeprowadzenie oceny kierunku na jakiejś uczelni. Jest to tryb nadzwyczajny, ale uregulowany w ustawie.

Jak dobierane są kierunki do oceny?

Przed wszystkim na podstawie upływu lat. Oceny nie są przyznawane raz na zawsze. Zatem, gdy widzimy, że kończy się okres ważności akredytacji, planujemy kolejną. Ponieważ uczelnie znają tę zasadę, spodziewają się oceny nawet zanim odpowiednia uchwała pojawi się na stronie PKA. Jeden kwartał, czyli okres wakacyjny, nam odpada, bo uczelnie wtedy nie działają. Podobnie nie organizujemy wizyt w końcu czerwca, bo wtedy zaczynają się egzaminy i w zasadzie dezorganizowalibyśmy pracę uczelni, a wizytacje zajęć nie byłyby możliwe.

Czy może pan zapewnić, że wszystkie kierunki, na których kształcą się studenci w Polsce, zostały ewaluowane przez PKA i uzyskały akredytację?

W zasadzie tak. Zdarza się, że kierunek, który nie cieszy się popularnością – np. był wynikiem nietrafionej decyzji uczelni – nie został jeszcze oceniony, a już jest likwidowany, zatem bądź nam „umknął”, bądź już nie ma sensu go oceniać.

Czy każdy student, znajdując wybrany kierunek na liście akredytowanych przez PKA, może mieć pewność co do jakości kształcenia w danym miejscu na wybranych studiach?

Zdecydowanie tak. Wiemy, że uczelnie potrafią się dobrze przygotować do ewaluacji kształcenia, a potem z różnych powodów, czasami niezależnych od nich, występują kłopoty, np. zmienia się kadra, bo ktoś odszedł, a trudno go zastąpić osobą

o dokładnie takich samych kompetencjach. Takich zdarzeń nie da się uniknąć i pewne ryzyko zawsze istnieje, choć staramy się je minimalizować. Myślę, że uczelnie robią podobnie, bo zawsze może wpłynąć skarga do ministra, że coś jest nie w porządku i uczelnia może zostać ponownie oceniana.

Co ma pokazać akredytacja PKA?

To, co mamy zapisane w misji Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Przyznając akredytacje, dbamy o podnoszenie jakości kształcenia. Nie zapewnia jej sama Komisja. Dbamy tylko o to, aby uczelnie tworzyły u siebie warunki, które gwarantują spełnianie standardów jakości kształcenia. Chodzi o to, żeby uwiarygodnić polskie uczelnie zarówno wobec kandydatów na studia z Polski, jak i spoza kraju. PKA działa na podstawie i zgodnie z zasadami wyznaczonymi przez wspomniane organizacje międzynarodowe, których jesteśmy członkiem lub z którymi współpracujemy. Bardzo ważne jest to np. na kierunku lekarskim, którego absolwenci na podstawie stosownej akredytacji naszego systemu oceny mają uprawnienia do pracy w różnych krajach, w zasadzie na całym świecie. Szczególnie ważne jest w tym wypadku uznanie jakości kształcenia w Polsce przez odpowiednie instytucje amerykańskie. Działamy jednak zwłaszcza na rzecz polskich studentów. Nie pozwalamy na powstawanie fikcyjnych kierunków czy wyjątkowo niski poziom kształcenia. Analizujemy, czy program realizuje założone efekty kształcenia, czy kadra ma kompetencje wymagane na tym kierunku, czy tematyka badawcza realizowana przez wykładowców jest zgodna z zagadnieniami, które mają wyklądać, czy program odpowiada Polskiej Ramie Kwalifikacji.

Czy obecna struktura Komisji odpowiada jej sposobowi działania?

Komisja liczy stu członków. Są oni podzieleni na osiem zespołów dziedzinowych. Na bieżąco korygujemy Statut PKA, aby struktura zespołów była adekwatna do stanu prawnego. Mamy też dziewięć – interdyscyplinarny, a właściwie interdyscyplinowy – Zespół kształcenia nauczycieli. Jest też całkowicie odrębny Zespół odwoławczy. Jego członek nie może należeć do żadnego innego zespołu PKA, a reprezentowane są w nim wszystkie dziedziny nauki, łącznie ze sztuką. PKA reprezentuje przewodniczący, zatem organ jednoosobowy. Mamy Prezydium PKA, które tworzą przewodniczący zespołów dziedzinowych i Zespołu kształcenia nauczycieli, przedstawiciel organizacji pracodawców i sekretarz PKA, który jest też członkiem jednego z zespołów dziedzinowych, oraz przewodniczący Parlamentu Studentów RP. Mamy też dwie rady: programową i konsultacyjną. Rada Konsultacyjna przez pewien okres nie była powoływana, ale została reaktywowana i obecnie działa. Uczestnictwo w niej nie może się wiązać z członkostwem w PKA, jedynym wyjątkiem jest przewodniczący Parlamentu Studentów RP. W skład Rady Programowej wchodzi przedstawiciele Komisji i pracowników Biura PKA. Do zadań Rady Programowej należy m.in. opracowywanie strategii działania PKA w kolejnych latach. Są jeszcze inne ciała kolegialne, jak np. Zespół etyki, który zajmuje się wszelkimi wątpliwościami dotyczącymi jakości pracy członków PKA, i wszystkich ekspertów biorących udział w pracach Komisji. W naszych zasadach zapisaliśmy unikanie konfliktu interesów. Dlatego np. pracownik UMCS nie może jechać na wizytację na KUL. Ktoś, kto pracował w Lublinie, przez kolejne pięć lat nie powinien jeździć na wizytacje uczelni do tego miasta. No i wreszcie mamy Zespół skarg i wniosków, do którego oceniane jednostki mogą zgłaszać zastrzeżenia związane z funkcjonowaniem PKA.

Bardzo ważnym elementem naszej struktury jest Biuro PKA. To głównie z nim mają do czynienia wszyscy interesar-



Prof. Stanisław Wrzosek (ur. w 1957 r.) jest prawnikiem-administratystą. Karierę akademicką rozwijał na Uniwersytecie Warszawskim, którego jest absolwentem. Obecnie jest zastępcą dyrektora Instytutu Nauk Prawnych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, wcześniej był dyrektorem Instytutu Administracji KUL. Był również rektorem Wyższej Szkoły Handlowej (obecnie AHNS) w Radomiu. Już trzecią kadencję jest członkiem Polskiej Komisji Akredytacyjnej, a w 2021 r. objął funkcję przewodniczącego PKA.

riusze zewnętrzni. Jego struktura ściśle odpowiada strukturze organizacyjnej Komisji, czyli podziałowi na zespoły. W biurze zatrudnieni są koordynatorzy, którzy przygotowują codzienną pracę Komisji, pracownicy księgowości oraz sekretarze zespołów dziedzinowych. To w zdecydowanej większości doświadczeni urzędnicy, którzy pracują u nas po kilkanaście, a niektórzy nawet 20 lat. Doskonale znają środowisko akademickie i jego problemy, w tym kwestie związane z jakością kształcenia. Uważam, że kadra z doświadczeniem i kontaktami jest bardzo cennym zasobem PKA.

Procedura oceny programowej jest szczegółowo uregulowana w Statucie PKA. Najpierw zespół oceniający przygotowuje raport z oceny, następnie zespół dziedzinowy PKA podejmuje odpowiednią uchwałę, przygotowaną wraz z pracownikami biura. Włącza się w to także nasz radca prawny i sekretarz PKA. Na jej podstawie Prezydium PKA przegłosowuje większością głosów swoje stanowisko. Należy jednak pamiętać, że PKA jest jedynie organem doradczym ministra i ostateczna decyzja należy do tego organu administracji publicznej.

Jak wiele jest skarg na PKA?

Bardzo mało. W ostatnim roku była tylko jedna.

To aż dziwne, gdy się weźmie pod uwagę, jak często słyszymy narzekania na działalność zespołów oceniających czy ich członków.

Za tymi narzekaniami zwykle nie idą dobrze udokumentowane i podpisane nazwiskiem skargi. Przychodzi do nas sporo anonimów, głównie dotyczących funkcjonowania uczelni. Jednak tego rodzaju informacje nie mogą być brane pod uwagę.

Ile uchwał rocznie podejmujemy?

Około tysiąca. Na każdym posiedzeniu Prezydium PKA, czyli co dwa tygodnie, mamy 50-70 spraw. Zespół odwoławczy ma też sporo wniosków o ponowne rozpatrzenie sprawy. To jednak nie wyczerpuje dwuinstancyjności ogólnego postępowania administracyjnego, bowiem działamy na jednym szczeblu postępowania administracyjnego. Od uchwały Prezydium PKA jest możliwość odwołania się do ministra. Nasza decyzja podjęta w formie uchwały nie jest dla ministra wiążąca. Kilka lat byłem członkiem zespołu dziedzinowego, do którego trafił wniosek o utworzenie nowego kierunku kształcenia. Był on negatywnie oceniony przez zespół dziedzinowy i Prezydium, Zespół odwoławczy i ponownie Prezydium, a ówczesna minister i tak podjęła pozytywną decyzję w tej sprawie. Podkreślam więc, że PKA jest organem doradczym, a nie decyzyjnym. Od decyzji ministra, która ma charakter administracyjny, służy odwołanie do wojewódzkiego sądu administracyjnego.

Jak taka ocena wygląda w praktyce?

Jak już mówiłem, nie robimy niezapowiedzianych nalotów na uczelnie. Terminy są znane z góry. Po wizycie na uczelni szef zespołu oceniającego umawia się z rektorem, że w ciągu dwóch tygodni zostanie przesłana wstępna wersja raportu z wizyty. Władze uczelni odpowiadają na ten raport. Zespół musi uwzględnić wszystkie wyjaśnienia, uwagi i uzupełnienia, które przedstawi uczelnia. Oczywiście nadesłane nowe informacje muszą być stosownie uzasadnione.

Czy uczelnie mogą same wystąpić o ocenę kierunku?

W zasadzie tak, ale jest to rzadkość. Uczelnie zawodowe, które chcą uzyskać status akademii nauk stosowanych, przesyłają wniosek do ministra, a wtedy minister zwraca się do nas z prośbą o potwierdzenie, że oceniane kierunki studiów nie otrzymały ocen negatywnych. Jest to sprawa formalna, którą załatwia Zespół koordynacyjny Biura PKA.

Przejdźmy do samej wizytacji. Jak się kompletuje zespół?

Skład zespołu oceniającego, czyli jego przewodniczącego, ekspertów merytorycznych, eksperta-studenta i sekretarza zespołu, proponuje przewodniczący Zespołu dziedzinowego PKA, ale ostateczna decyzja w tym zakresie należy do Sekretarza PKA, a gdy jest nieobecny albo wchodzi w skład zespołu oceniającego, do przewodniczącego PKA. Jeśli oceniany jest kierunek praktyczny, w zespole znajduje się przedstawiciel pracodawców. Zatem mamy zespoły pięcio- lub sześcioposobowe. Są one powoływane zarówno spośród członków PKA, jak i z bardzo licznej rzeszy naszych ekspertów. Członków Komisji jest stanowczo za mało, żeby obsłużyć oceny, których dokonujemy w ciągu roku. Przewodniczącym zespołu oceniającego jest członek PKA, chyba że zaistniała nadzwyczajna sytuacja tak dużego nagromadzenia wizytacji, iż trzeba powołać przewodniczącego z grona ekspertów zewnętrznych. Sekretarzem zespołu oceniającego jest albo pracownik naszego biura, albo osoba z grupy specjalnie przeszkolonych ekspertów, tzw. sekretarzy (zewnętrznych). Ekspert studencki jest wyznaczany przez koordynatora ds. studenckich – obecnie tę funkcję pełni student prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Do niego też należy czytać i zatwierdzać część raportu dotyczącego spraw studenckich. Z kolei koordynator współpracy z pracodawcami czyta i zatwierdza część raportu napisaną przez eksperta pracodawców. Od niego też zależy, kto jest ekspertem ze strony pracodawców. Każdy ekspert musi nauczyć się nim być. Nie wystarczą same szkolenia. Trzeba odbyć praktykę – dwie wizytacje w charakterze obserwatorów pod opieką eksperta, bez honorarium. Trzeba się też nauczyć pisać raporty i dopiero po pozy-

tywnym przyjęciu próbnie napisanego raportu kandydat może zostać ekspertem ze strony Parlamentu Studentów RP lub ze strony pracodawców.

Przez ostatnie dwa lata zespoły nie jeździły na wizytacje. Wszystko odbywało się on-line. Czy brak bezpośredniego kontaktu z uczelnią, jej pracownikami i studentami, wglądu w zaplecze – faktyczne, a nie deklarowane – nie zakłóca obrazu jakości kształcenia na polskich uczelniach?

Przeprowadzone przez pracowników Biura PKA badanie dotyczące ewaluacji zdalnej formuły wizytacji potwierdziło, że taka forma umożliwia dokonanie oceny programowej w odniesieniu do wszystkich szczegółowych kryteriów. Procedura ta spełnia też wszystkie europejskie zasady, normy i standardy. Opinie przedstawiło 199 uczelni, w których przeprowadzono wizytację, 214 członków zespołów oceniających; przeanalizowano 35 pytań zamkniętych i otwartych w dwóch ankietach przeprowadzonych w lutym i w marcu 2021 r. Po ustaniu pandemii i związanych z nią ograniczeń nie jest oczekiwany powrót do prowadzenia wizytacji dokładnie w taki sam sposób, jak przed pandemią, gdyż część elementów zaprojektowanych i wdrożonych w warunkach pracy zdalnej w zdecydowany sposób usprawniła przebieg postępowania oceniającego.

Jak wygląda wizytacja?

Po pierwsze, muszę zaznaczyć, że PKA nie pełni funkcji kontrolnych. My oceniamy i akredytujemy, podpowiadamy też korzystne rozwiązania, wskazujemy dobre praktyki. Dwa miesiące przed terminem wizytacji wysyłamy prośbę o sporządzenie raportu samooceny. Zespół oceniający czyta go przed wizytą na uczelni. Gdy przychodzi raport, odbywa się pierwsze posiedzenie zespołu – w tej chwili zdalnie z wykorzystaniem Teamsów. Przed wizytacją są trzy takie spotkania. Prezydium PKA wydało uchwałę, że do 30 IX 2023 r. podstawową formą są wizytacje zdalne, ale są trzy wyjątki: gdy uczelnia wystąpi o wizytację stacjonarną, a Prezydium PKA uzna ten wniosek za zasadny i wyrazi na to zgodę; gdy zespół dziedzinowy uzna, że wizytacja z uzasadnionych powodów powinna się odbyć stacjonarnie na uczelni oraz gdy jest to wizytacja zlecona przez ministra, bo wiadomo, że ona nie jest przypadkowa.

Ile trwa wizytacja?

Dwa dni. Program jest ściśle rozpisany: najpierw spotkanie z władzami uczelni, potem z zespołem przygotowującym raport samooceny, wreszcie z zespołem ds. jakości kształcenia – uczelnianym bądź wydziałowym. Są hospitacje zajęć, przeważnie trzy. Prace dyplomowe i etapowe (np. semestralne) uczelnia udostępni nam drogą internetową wcześniej, aby członkowie zespołu mogli się z nimi zapoznać przed wizytacją. Istotne jest spotkanie z kadrą, często ma ono burzliwy przebieg. Ze studentami w zasadzie rozmawia ekspert studencki – inaczej studenci rozmawiają ze sobą, więcej się wtedy dowiadujemy, niż gdy stają oko w oko z ekspertami naukowcami. Trzeba w tym miejscu przyznać, że spotkania ze studentami w formie stacjonarnej są o wiele ciekawsze niż w formule zdalnej.

Czy z tego względu nie warto wrócić do wizytacji na miejscu?

Zdania na ten temat są podzielone. Eksperti generalnie wolą wizytacje on-line. Organizacje europejskie z kolei krzywym okiem patrzą na wizytacje hybrydowe, tj. gdyby spotkanie ze studentami odbywało się in situ, a spotkanie z kadrą on-line. Przy czym element hybrydowy de facto występuje obecnie przy wizytacji w formie stacjonarnej i przejawia się w tym, że dokumenty i prace dostajemy przed wizytacją drogą elektroniczną. Gdy odwiedzaliśmy uczelnie, często dostawaliśmy dokumenty

wydrukowane dosłownie przed chwilą. Gdy braliśmy je do rąk, jeszcze było czuć ciepło świeżo zadrukowanego papieru.

O czym to świadczy?

O bałaganie na uczelni, o tym, że do tak ważnej sprawy, jak jakość kształcenia, uczelnia podchodzi jeśli nie lekceważąco, to co najmniej dość swobodnie. Np. uczelniany zespół ds. zapewnienia jakości kształcenia bywa powoływany tuż przed wizytacją, a dokumenty, które przedstawiają obraz jego działalności, są tworzone na gorąco, nie mają jeszcze prawdziwej historii. A przecież to bardzo ważna aktywność uczelni.

Co to znaczy otrzymać akredytację PKA?

W praktyce wystawiamy kierunkowi kształcenia ocenę. Może ona być pozytywna, co oznacza akredytację kierunku na sześć lat, pozytywna z ważnością do dwóch lat albo negatywna.

Nie ma już ocen warunkowych?

Od jakiegoś czasu nie ma. Był z nimi problem. Lepiej przyznać akredytację na dwa lata i wiedzieć, że po tym okresie znów oceniamy ten kierunek. Wie to również uczelnia, co zwykle ma pozytywne skutki.

Były też niegdyś oceny wyróżniające, cenione przez uczelnie.

Już ich nie ma. Zamiast nich są certyfikaty jakości kształcenia. Przyznajemy je w czterech kategoriach: doskonały kierunek, zawsze dla studenta, otwarty na świat i partner dla rozwoju. Z inicjatywą przyznania tego wyróżnienia wychodzi zespół oceniający. Musi taką propozycję zaakceptować zespół dziedzinowy. Ostatecznie uchwałę podejmuje Prezydium PKA.

Czy można powiedzieć, że wizytacja w zasadzie uwiarygodnia raport samooceny?

W pewnym sensie. Trzeba jednak przypomnieć, że raport samooceny zawiera także analizę SWOT, a zatem ma wskazywać również słabe strony. Poddajemy analizie to, na ile kierunek jest związany z zadeklarowaną strategią uczelni – to nie zawsze się zgadza. Uczelnie zwykle deklarują, że dysponują świetną kadrą, co jest często kwestionowane przez nasze zespoły. Bywa, że uczelnia wykazuje prowadzącego zajęcia, który ma ostatnią publikację naukową związaną z reprezentowanym kierunkiem kształcenia sprzed dwudziestu lat. Często podważamy kompetencje wykładowców, jeśli prowadzą zajęcia dydaktyczne niezgodne z ich dorobkiem naukowym lub doświadczeniem zawodowym.

A które kryterium jest najczęściej kwestionowane?

Dziesiąte, czyli system zapewnienia jakości, o którym już wspominałem. Jeśli jakość kształcenia na kierunku szwankuje w jednym z kryteriów, to pytamy dlaczego. Najczęściej dlatego, że nie zadziałał system zapewnienia jakości. A dlaczego nie zadziałał, już wyjaśniałem: bo albo go nie było, albo nie był traktowany poważnie. Często podważamy kryterium dziesiąte, gdy mamy do czynienia z przekazywaniem przez uczelnie informacji na temat programu studiów czy doboru kandydatów na studia. Okazuje się, że te informacje są niepełne, że kandydaci na studia nie znają wymagań, brakuje zasad kontaktu z nauczycielami akademickimi itp. Nasze kryteria też się zmieniały. Teraz stosujemy te same dziesięć kryteriów, które zostały przyjęte przez ministrów odpowiedzialnych za szkolnictwo wyższe w europejskim obszarze szkolnictwa wyższego w maju 2015 r.

Jak często zdarzają się negatywne oceny kształcenia i odmowy zgody na utworzenie kierunków?

W różnych zespołach dziedzinowych jest różnie. Najwięcej negatywnych decyzji dotyczących utworzenia nowych kierun-

ków podejmowanych jest w zespole nauk medycznych i nauk o zdrowiu – nawet dwie trzecie, a chodzi o kierunek lekarski. Faktycznie tych wniosków jest niewiele, ale jest to bardzo trudny do zorganizowania i kosztowny kierunek. Wśród kierunków często negatywnie ocenianych jest fizjoterapia, kosmologia oraz informatyka. W 2022 r. na 432 oceny programowe było tylko 11 ocen negatywnych (2,5%) i 65 pozytywnych do dwóch lat (15%). Na 411 opinii dotyczących wniosków o utworzenie nowego kierunku studiów było aż 179 negatywnych (43,5%). Przy ocenach pozytywnych były także zalecenia skierowane do władz uczelni. Ich wykonanie będzie później przez nas sprawdzane w czasie oceny programowej.

Która grupa uczelni otrzymuje wyjątkowo dużo negatywnych ocen programowych?

Nie można wskazać takiej grupy. Uczelnie starają się spełnić kryteria jakości kształcenia, którymi kieruje się PKA. Spora część uczelni publicznych po prostu nie musi pytać PKA o zgodę na utworzenie kierunków ze względu na swój status akademicki. Uczelnie niepublicznych, które zgodę muszą uzyskać, jest znacznie więcej, zatem może być tak, że one uzyskują więcej negatywnych opinii w tym zakresie. Gdyby nie możliwość usunięcia przez uczelnię nieprawidłowości w procesie kształcenia po pierwszej wstępnej wersji raportu zespołu oceniającego, ocen negatywnych lub pozytywnych do 2 lat byłoby więcej. To pozytywne odpowiedzi na uwagi zespołów oceniających sprawiają, że wydajemy niewiele decyzji negatywnych. Równocześnie świadczy to o roli PKA, nie jako organu kontrolnego, ale współpracującego z rzeczą jakości kształcenia. Poza tym jest jeszcze Zespół odwoławczy. Tak więc, gdy uczelnia chce stworzyć dobry kierunek i rzetelnie prowadzić kształcenie, to nawet jeśli początkowo jej koncepcja budzi zastrzeżenia, ma możliwość skorzystania z rad naszych ekspertów i ma do dyspozycji kilka poziomów działania w celu poprawy swoich pomysłów i warunków kształcenia.

Jak to się stało, że Wyższa Szkoła Techniczna w Katowicach uzyskała zgodę na kierunek lekarski?

To długa i skomplikowana historia. Ciągnęła się latami z wieloma negatywnymi ocenami po drodze. W związku z zakwestionowaniem bezstronności naszych ekspertów, sprawa była także rozpatrywana na drodze sądowej. Trzeba jednak powiedzieć, że ostatecznie uczelnia ta spełniła wymagania stawiane odnośnie do prowadzenia kierunku lekarskiego, także w ocenie ekspertów międzynarodowych, i dlatego dziś kształci lekarzy.

Czy liczebność zespołów dziedzinowych jest związana z liczbą określonych kierunków studiów?

Tak, ponieważ od tego, jak wiele jest kierunków, zależy to, jak wiele pracy ma dany zespół. Zwiększenie liczebności PKA przed kilku laty tym właśnie było motywowane. Nastąpiło przede wszystkim z myślą o najpopularniejszych kierunkach, czyli w dziedzinach nauk społecznych i humanistycznych.

Ile procesów sądowych ma PKA?

Niewiele. Chodzi głównie o sądy administracyjne. A i w tych nielicznych przypadkach procesy wygrywamy. Staramy się działać zgodnie z prawem i bardzo starannie motywować decyzje Prezydium PKA. Uczelnie rzadko wchodzą w polemikę. Raczej starają się z nami współpracować, zrealizować nasze zalecenia, a to gwarantuje dobre rezultaty.

Zdarzają się też zarzuty co do pracy konkretnych ekspertów. Jak na to reagujecie?

Rzadko, ale się zdarzają. Takie sprawy natychmiast trafiają do Zespołu ds. skarg i wniosków. Jeżeli uzna on, że dany eks-

pert naruszył przepisy czy też pozostaje w konflikcie interesów, to jego sprawa kierowana jest do Zespołu ds. Etyki. Podkreślam, że faktycznie bardzo rzadko skargi są tak dobrze umotywowane, aby mogły stanowić podstawę do wyciągnięcia negatywnych konsekwencji wobec wskazanej osoby. Na ogół trafiają do nas subiektywne i niesprawdzone opinie, co skutkuje umorzeniami postępowań.

Kto finansuje działalność PKA?

Zgodnie z art. 53 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce działalność PKA jest w całości finansowana z budżetu państwa. Uczelnie nie ponoszą żadnych kosztów finansowych akredytacji państwowej. Obecnie roczny budżet PKA stanowi ok. 0,00049% wszystkich wydatków na szkolnictwo wyższe. Wynagrodzenie członków PKA i ekspertów za udział w procesie akredytacji zewnętrznej stanowi większość kosztów naszej działalności. Wysokość i zasady wypłacania wynagrodzenia określa rozporządzenie ministra nauki i szkolnictwa wyższego z 14 grudnia 2018 r., które stanowi, że za każdy dzień pracy podczas wizytacji (także on-line) w placówkach uczelni ekspert otrzymuje tysiąc złotych, czyli 2 tys. zł za każdą wizytację związaną z oceną programową.

Dużo zaoszczędziliście na działalności zdalnej?

Nie mamy żadnych oszczędności. Po prostu te pieniądze – np. na delegacje – się u nas nie pojawiły.

PKA nie nadzoruje całości kształcenia. Nie akredytujecie szkół doktorskich i studiów podyplomowych oraz MBA.

Był taki moment, gdy w ocenie instytucjonalnej odnosiliśmy się również do studiów doktoranckich i podyplomowych. W obecnej sytuacji prawnej brak jest akredytacji kształcenia podyplomowego, w tym akredytacji studiów MBA, które jest jego odmianą. To poważny mankament naszego systemu podnoszenia jakości kształcenia. Niestety PKA nie ma żadnego wpływu na standardy kształcenia podyplomowego i MBA.

Czytamy tylko liczne zastrzeżenia do ich jakości publikowane w mediach czy w internecie. Być może ten problem rozwiąże ocena kompleksowa, na której wprowadzenie czekamy.

Czy biuro PKA jest należycie obsadzone i wyposażone do realizacji zadań?

W celu realizacji swoich zadań statutowych Komisja wynajmuje 900 m². Przy odpowiedniej organizacji to wystarczająco dużo miejsca na pracę Biura PKA, dziesięciu zespołów merytorycznych i zespołów roboczych oraz Prezydium PKA. Na potrzeby optymalizacji efektywności wewnętrznych procesów i procedur mamy odpowiednią infrastrukturę i aplikacje informatyczne (m.in. bazy ocen i wniosków, repozytorium dokumentów wykorzystywanych przez członków PKA i ekspertów, kartotekę korespondencyjną, intranet). W 2020 roku we współpracy z Ministerstwem Edukacji i Nauki rozpoczęliśmy prace nad wprowadzeniem generatora aplikacji dla uczelni, który w przyszłości będzie wspierał recenzentów PKA w procedurze ex-ante. Mamy również dostęp do Zintegrowanego Systemu Informacji o Nauce i Szkolnictwie Wyższym RAD-on. Szybki rozwój narzędzi informatycznych wykorzystywanych w pracy PKA nastąpił w latach 2018/2020, z jednej strony w wyniku migracji wszystkich procesów na Microsoft 365, która rozpoczęła się w 2018/2019 roku, a z drugiej strony jako skutek pandemii w 2020 roku, która w dużym stopniu przyczyniła się do wirtualizacji procesów realizowanych przez PKA, co pozytywnie wpłynęło na efektywność i skuteczność naszej pracy. Przy obecnej obsadzie Biura PKA jesteśmy w stanie skutecznie realizować nasze zadania, jednak uważam, że nasi pracownicy są obciążeni ponad normy występujące w administracji publicznej, do której Polska Komisja Akredytacyjna się zalicza. Płacimy stanowczo za mało w stosunku do wymaganych kompetencji oraz zadań pracowników, ale to nie zależy ode mnie.

Rozmawiał Piotr Kieraciński



**Prenumerata
„Forum Akademickiego” w 2023 r.**

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.
Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok
i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Rozmowa z prof. Grzegorzem Górskim, pełnomocnikiem ministra edukacji i nauki do spraw organizacji Akademii Kopernikańskiej

Żywy pomnik Kopernika

Wybraliśmy pięć obszarów działalności Mikołaja Kopernika, w których wykazał się on nieprzeciętnymi walorami intelektualnymi i miał wybitne osiągnięcia. Jeśli zamiar się powiedzie, niewykluczone, że profil instytucji będzie się poszerzał.

Czym Akademia Kopernikańska będzie się różnić od dwóch akademii działających w Polsce: PAN – państwowej instytucji naukowej i PAU – prywatnego stowarzyszenia uczonych, które określa się w statucie jako instytucja narodowa pod protektorem prezydenta RP? Jakie miejsce na polskiej scenie naukowej widzi pan dla nowej instytucji akademickiej?

Inicjatywa powołania Akademii należała do prezydenta Andrzeja Dudy. Głównym celem tego działania miało być uczczenie 550. rocznicy urodzin Kopernika. I faktycznie dziś można powiedzieć, że w wymiarze nie tylko polskim zarówno Światowy Kongres Kopernikański, jako wydarzenie incydentalne, bo raz na pięć lat, jak i Akademia Kopernikańska jako żywy „pomnik” Mikołaja Kopernika, to najważniejsze wydarzenia tego roku. Co ważne, ten „pomnik” będzie żył i się rozwijał.

Koncepcja Akademii jako korporacji uczonych polskich i zagranicznych, którzy w równej proporcji będą jej członkami, oraz instrumenty, jakimi ma ona dysponować, mają również stanowić próbę stworzenia nowej instytucji naukowej o realnie międzynarodowym charakterze. To jest coś, co radykalnie różni Akademię Kopernikańską od PAN i PAU, które są w zdecydowanym stopniu instytucjami nauki polskiej.

W przypadku powodzenia tej inicjatywy, ma ona pokazać ścieżkę, którą – jestem o tym przekonany – warto kroczyć. Ten właśnie silnie międzynarodowy charakter ma odróżniać AK od PAN i PAU. A o tym, że polska nauka bardzo potrzebuje realnego umiędzynarodowienia, nie ma chyba co dyskutować.

Czy zawężenie obszarów działalności AK do spraw związanych z dziedzictwem naukowym Mikołaja Kopernika nie będzie ograniczało tej organizacji w przyszłości?

To był świadomy wybór. Chodziło o działanie punktowe i skoncentrowanie się na kilku obszarach, aby szybko osiągnąć realne skutki. Wybraliśmy pięć obszarów działalności Mikołaja Kopernika, w których wykazał się on nieprzeciętnymi walorami intelektualnymi i miał wybitne osiągnięcia. Oczywiście były tu astronomia i nauki przyrodnicze, jak również nauki ekonomiczne. Kopernik był też wybitnym medykiem praktykiem, studiował medycynę w najbardziej chyba w ówczesnej Europie rozwiniętym ośrodku uniwersyteckim w tym obszarze, czyli w Padwie. Był też doktorem prawa kanonicznego. Wreszcie właśnie w Padwie i Ferrarze zachowało się wiele pism Kopernika, w których snuje on interesujące rozważania filozoficzno-

teologiczne. To właśnie ugruntowane poglądy w tym zakresie prowadziły go do sformułowania fundamentów teorii heliocentrycznej oraz teorii pieniądza. Dlatego jest oczywiste, że skoncentrowaliśmy się na tych obszarach, projektując kształt Akademii. Jeśli zamiar się powiedzie, niewykluczone, że profil instytucji będzie się poszerzał.

Akademia Kopernikańska ma być organizacją niezwykle elitarną: stu członków, w tym połowa krajowych, połowa zagranicznych. Kto będzie decydował o przyjmowaniu nowych członków i jakie są warunki wejścia w skład AK?

Stosownie do przepisów ustawy pierwszą połowę składu nominalnego, czyli 50 osób, powołuje Prezydent RP na wniosek ministra edukacji i nauki. Druga połowa będzie powołana przez prezydenta już na wniosek członków Akademii. Później, wraz z powstającymi wakatami – członkostwo Akademii wygasa po osiągnięciu 80. roku życia – uzupełnianie składu będzie następowo sukcesywnie na wniosek akademików. Oznacza to, iż w nieodległej perspektywie zdecydowana większość członków Akademii Kopernikańskiej to będą uczeni mający rekomendację własnych środowisk naukowych.

Czy w chwili ukonstytuowania nowej instytucji, powoływanej przez państwo, uzyska ona autonomię organizacyjną względem władz, czy też niektóre obszary decyzji pozostaną w gestii władzy państwowej?

Przypominam, że Polska Akademia Nauk w swoim czasie też została powołana przez państwo, i to – z dzisiejszej perspektywy – nie za dobrze jest oceniane. Akademia Kopernikańska będzie pozostawała dokładnie w takiej samej relacji względem władz publicznych RP, jak obecnie PAN. Podobny jest tryb kreowania głównej władzy w obu instytucjach, podobny sposób nadzoru ze strony Prezesa Rady Ministrów i tożsame zasady finansowania. Akademia Kopernikańska nie ma żadnego „specjalnego statusu”, co bezpodstawnie próbują cały czas insynuować jej przeciwnicy, którzy – mówię to z wielkim ubolewaniem – albo nie zadali sobie trudu przeczytania odpowiednich regulacji prawnych, albo, co gorsze, nie do końca zrozumieli to, co przeczytali.

Cały projekt kopernikański to znacznie więcej niż Akademia, czyli stowarzyszenie uczonych. Jak jego pozostałe elementy: nagroda, szkoły, granty i stypendia kopernikańskie, będą zwią-



Dr hab. **Grzegorz Górski** (ur. w 1961 r.) jest prawnikiem, absolwentem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Habilitację uzyskał na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego w 1996 roku. W latach 1987-2002 pracował w Instytucie Historii PAN, a od 1994 roku w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Kierował tam Katedrą Historii Państwa i Prawa. W latach 2006-2008 był dyrektorem Instytutu Organizacji i Zarządzania w Przemśle ORGMASZ. Od 2008 roku jest związany z Toruńską Szkołą Wyższą, przemianowaną na Kolegium Jagiellońskie. Funkcję rektora tej uczelni pełni od 2018 roku. W tym okresie w wyniku ewaluacji uczelnia uzyskała (w 2023 roku) uprawnienia akademickie w dwóch dyscyplinach i obecnie funkcjonuje jako Akademia Jagiellońska.

Pełnił szereg funkcji publicznych, m.in. był podsekretarzem stanu w Urzędzie Rady Ministrów, radnym i przewodniczącym Rady Miasta Torunia oraz sędzią Trybunału Stanu. Jest partnerem w kancelarii prawniczej.

Jest pełnomocnikiem ministra edukacji i nauki ds. programu kopernikańskiego i przewodniczącym Zespołu ds. rozwoju systemu oświaty oraz systemu szkolnictwa wyższego i nauki.

zane z Akademią? Jaka będzie jej rola w organizacji, dysponowaniu i zarządzaniu tymi przedsięwzięciami?

W Akademii Kopernikańskiej powstanie wyspecjalizowana agenda w postaci Centrum Naukowego. Zasady jego funkcjonowania reguluje ustawa, a doprecyzuje odpowiednie oprządkowanie wewnętrzne. Będą one z pewnością bardziej przyjazne dla uczonych i zespołów badawczych niż to, z czym mają do czynienia w przypadku NCBR i NCN. Zakładamy bardziej klarowne procedury aplikowania o środki. Będzie tu jednak jedna, zasadnicza różnica. Poszczególne izby Akademii, czyli międzynarodowe środowiska naukowe, określać będą corocznie priorytety, na które powinniśmy kierować te środki. To badacze, na podstawie swojego rozeznania tego, co aktualnie w ich obszarach naukowych stanowi największe wyzwania i potrzeby, będą narzucać preferowane tematy konkursów. Nie będziemy zatem robili „konkursów piękności”, tylko świadomie ukierunkujemy wsparcie na to, co w tych pięciu przestrzeniach jest dziś w światowej nauce najważniejsze. Myślę, że dla każdego, kto ma odrobinę pojęcia o funkcjonowaniu NCBR, a zwłaszcza NCN, ta różnica podejścia jest oczywista.

W budżecie nauki na rok 2023 w dziale Akademia Kopernikańska widnieje zapis o 25 milionach złotych. Na co te środki zostaną przeznaczone: na działanie samej Akademii, czy także na realizację pozostałych części projektu kopernikańskiego?

Tegoroczny budżet w 60% przeznaczony jest na realizację zadań ustawowych Akademii, a więc granty, stypendia, wsparcie Ambasadorów Kopernika, Nagrody Kopernikańskie oraz uruchomienie Szkoły Głównej. Pozostałe środki, czyli 40% założonego budżetu, przeznaczone będzie na funkcjonowanie samej Akademii, czyli stowarzyszenia uczonych. Trzeba pamiętać, że ciągle jesteśmy w trakcie budowy docelowego kształtu organizacyjnego i podstaw materialnych funkcjonowania zarówno samej instytucji, jak i pozostałych elementów programu kopernikańskiego.

Gdzie będzie mieściła się siedziba Akademii Kopernikańskiej?

Siedzibą Akademii jest Warszawa, to przesądza ustawa. Gdzie? Ustalenia w tej sprawie ciągle trwają. Na razie będziemy w pomieszczeniach wynajmowanych. Już widzę reakcje, kiedy podam adres. Będzie to ul. Nowogrodzka (śmiech). Ale uspokajam. Wprowadzamy się do pomieszczeń opuszczonych kilka miesięcy temu przez NCBR. Mam nadzieję, że skoro nikogo nie bolało, że przez wiele lat była tam jedna z agencji rządowych wspierających naukę i nie budziło to „określonych” skojarzeń, to i w tym przypadku tak nie będzie.

Jak wyglądał proces nominacji kandydatów do Nagrody Kopernikańskiej i kto za niego odpowiadał?

W tym roku Akademia przyznaje dwie Nagrody Kopernikańskie, obie otrzymały osoby wcześniej nagrodzone Nagrodą Nobla w dziedzinie astronomii. Myślę, że to w roku 550. rocznicy urodzin Kopernika ważny znak. To w mojej ocenie bardzo dobry start dla tej Nagrody. W przyszłym roku otrzyma ją ekonomista. Jestem przekonany, że to również będzie wielkie wydarzenie. Kandydatury do tegorocznych nagród zgłoszone zostały ministrowi przez naszych wybitnych przedstawicieli nauk astronomicznych, a minister przedstawił je Prezydium Akademii. To ono podjęło ostateczną decyzję.

A co z kolejnymi przedsięwzięciami projektu kopernikańskiego? Kiedy zostaną powołane szkoły kopernikańskie, kto i jak zatrudni kadre, kiedy pierwsze nabory studentów?

Przygotowania do uruchomienia Szkoły Głównej już trwają. Pracuje zespół, który się tym zajmuje. Strukturę będzie tworzyło pięć kolegiów dedykowanych wymienionym już dyscyplinom nauki (czyli swoistych wydziałów zamiejscowych). Każde będzie pracowało i kształciło w jednej dyscyplinie, w której – jak wspominałem – nigdy działał i miał osiągnięcia Mikołaj Kopernik. Zakładamy, że w każdym z kolegiów połowa obsady naukowej i dydaktycznej będzie pochodziła z zagranicy. Szkoła będzie normalną częścią systemu szkolnictwa wyższego i będzie finansowana podobnie jak inne uczelnie publiczne. Mam nadzieję, że zdołamy też pozyskać wsparcie pozabudżetowe, a pierwsze sukcesy w tym zakresie już mamy. Pozyskaliśmy właśnie znaczące środki na kształcenie doktorów w dziedzinie prawa oraz ekonomii z Ukrainy. Będziemy chcieli, aby w ten sposób odbudowujące się po wojnie państwo ukraińskie mogło korzystać z bardzo dobrze wyedukowanych nowych kadr. Liczymy, że za 3-4 lata może to być ok. 20 osób w każdym z tych obszarów. Na mocy ustawy szkoła posiada kategorię B+ we wszystkich pięciu dyscyplinach, jakie reprezentują poszczególne kolegia, a zatem może nadawać stopnie naukowe. Wszystkie kolegia rozpoczną działalność 1 października i wtedy pojawią się w nich pierwsi studenci. Będą to studia doktoranckie w ramach szkół doktorskich. Część studentów będzie stypendystami m.in. Akade-

mii, która poprzez Centrum Naukowe w czerwcu-lipcu przyzna pierwsze stypendia.

Co ze stypendiami i grantami kopernikańskimi, tj. kto i kiedy ogłosi konkursy, czego będą dotyczyły?

Planujemy, aby Centrum Naukowe ogłosiło pierwsze konkursy do połowy maja tego roku. Pierwsze granty i stypendia powinny być przyznane 1 października tego roku. Akademia poprzez Centrum Badawcze Mikołaja Kopernika będzie dystrybuować środki pozyskane z budżetu państwa oraz środki, które pozyska z innych źródeł. Zrobiliśmy tu już – jak wskazałem wyżej – pierwsze kroki i mamy efekty. Bardzo silne wsparcie dla Akademii i Szkoły uruchamia Narodowy Bank Polski, którego prezes bardzo dobrze rozumie, że rola Kopernika jako ekonomisty i twórcy nowoczesnej teorii pieniądza ciągle wymaga lepszego utrwalenia w przestrzeni międzynarodowej. Chcemy to robić wspólnie. Życzyłbym takiej skuteczności innym instytucjom naukowym.

Pełnił pan rolę pełnomocnika ministra nauki ds. powołania Akademii Kopernikańskiej. Czuje pan satysfakcję, teraz gdy Akademia się konstytuuje? Planuje pan dalsze związki z tą instytucją?

To było sześć miesięcy niewyobraźalnie ciężkiej pracy. Ale efekt przerósł moje oczekiwania. Tak, jestem dumny z wysiłku niewielkiej grupy ludzi, którzy stworzyli praktycznie z niczego coś naprawdę imponującego. Za to wszystko dziękuję moim wspaniałym współpracownikom. A co do moich losów? Nie wiem, najpierw będę musiał trochę odpocząć, a potem pomyśleć. Akademia będzie miała swoje władze i to one będą podejmować decyzje.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Łódź Ulissesa najlepszą książką humanistyczną

Maciej Świerkocki, autor książki *Łódź Ulissesa*, został laureatem VIII konkursu o Nagrodę im. Prof. Tadeusza Kotarbińskiego za najlepszą pracę z zakresu nauk humanistycznych w Polsce. Otrzymał 50 tys. zł na dalsze badania naukowe. Publikacja została zgłoszona przez Zakład Literatury i Kultury Brytyjskiej na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego.

– To książka-dziennik tłumacza, dziennik przyjaciół rejestrujący żmudny, długoletni trudny proces tłumaczenia jednego z najtrudniejszych, jak się mówi, jednego z najbardziej nieczytanych arcydzieł – myślę, że ta sytuacja się zmieni – rejestrujący zmagania tłumacza zarówno z materiałem językowym, jak i z kontekstami. Rejestrujący jego znane pomysły na rozszyfrowanie aluzji, wyjaśnienie szczegółów szyfrowanych, biograficznych elementów. Ta książka jest wydarzeniem w humanistyce polskiej, ale jest też i będzie wydarzeniem w humanistyce europejskiej i szerzej światowej. *Łódź Ulissesa* przepłyniemy przez arcydzieło Joyce'a, a sterującą nią Maciej Świerkocki przekona nas, że żyjemy w świecie przekładów, w czasach przekładu, tzn. w czasach szukania porozumienia, w czasach dialogu. A dialog, tak nam dzisiaj potrzebny, sztuka i nauka dialogu, jest pierwszą umiejętnością i powinnością humanisty – uzasadniała wybór prof. Anna Legeżyńska, zasiadająca w kapitule konkursu.

Maciej Świerkocki ukończył filologię angielską i filozofię na Uniwersytecie Łódzkim. Od 1987 roku był asystentem w Zakładzie Teorii Literatury Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu na tej uczelni. Doktorat obronił w roku 1995. W październiku 2011 roku zrezygnował ze stałej pracy akademickiej i utrzymuje się wyłącznie z pisania.

– Chciałem zadedykować tę pracę prof. Grzegorzowi Gaździe, mojemu wieloletniemu szefowi na kierunku kulturoznawstwo, w dawnym Instytucie Teorii Literatury, który bardzo na tę książkę czekał, podobnie jak na ten przekład *Ulissesa*, niestety zmarł kilka miesięcy przed ukazaniem się tych książek, więc dziękuję, Grzegorz, byłeś dobrym szefem i dobrym przyjacielem. (...) Po 25 latach pracy na uniwersytecie zdecydowałem się żeglować samodzielnie, między innymi po to, żeby napisać te książki. Ta dedykacja dla prof. Gaźdy jest także moją rehabilitacją, taką namiastką pracy habilitacyjnej, której nie zdążyłem, nie zdołałem u niego napisać. I niech ta książka będzie taką formą habilitacyjnej przeprowady – powiedział laureat.

Do konkursu zgłoszono ponad 60 książek wydanych w 2021 roku. Oprócz zwycięskiej do finału zakwalifikowano: „*Każdy pyta co z nami będzie*”. *Mieszkańcy getta warszawskiego wobec wiadomości o wojnie i Zagładzie* dr Marii Ferenc; *Stanisław Lem. Wypędzony z wysokiego zamku. Biografia* dr hab. Agnieszki Gajewskiej; *Pierre Jacquesot, L'Art. De vivre longuement sous le nom de Medee* dr hab. Magdaleny Koźluk; *Cień Boga w ogrodzie filozofa. Parc de La Villette w Paryżu w kontekście filozofii chóry* dr hab. Cezarego Wąsa.

Organizatorem konkursu jest Uniwersytet Łódzki. Inicjatywa ma na celu promocję badań, publikacji humanistycznych i samej humanistyki. To jedyne tego typu wyróżnienie przyznawane naukowcom przez instytucję naukową. Ocenie kapituły poddano dotychczas blisko 500 książek ze 130 instytucji naukowych.

MK



NCN a samodzielność i doskonałość naukowa

Zdecydowana większość kierowników grantów ERC przed uzyskaniem środków europejskich kierowało projektami krajowymi. Wielu młodych naukowców założyło własne grupy badawcze i zostało w polskich jednostkach naukowych dzięki grantom NCN.

W grudniowym numerze „Forum Akademickiego” (12/2022), w artykule *Quo vadis NCN?* profesorowie Wojciech Czakon oraz Ewa Bogacz-Wojtanowska z Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie pochylił się nad niezwykle ważnym tematem działania Narodowego Centrum Nauki, czyli najważniejszej agencji grantowej finansującej badania podstawowe w Polsce. O ile krytyczne spojrzenie jest konieczne i w nauce naturalne, o tyle wiele postawionych NCN zarzutów wzbudziło we mnie zdziwienie. Autorzy trafnie zdiagnozowali część problemów polskiego systemu nauki wynikających między innymi z niskich nakładów, złych regulacji prawnych oraz rosnącej biurokracji, niesłusznie jednak obarczyli winą za nie NCN. Większość przedstawionych negatywnych opinii dotyczących NCN nie zgadza się z moimi pozytywnymi doświadczeniami, które podziela większość znanych mi młodych naukowców w naukach ścisłych i przyrodniczych. Perspektywę zwłaszcza tej grupy chciałbym poniżej przedstawić, mając nadzieję, że jest bliższa prawdziwemu obrazowi i znaczeniu, jakie NCN ma dla nauki. W dyskusji nad stanem i przyszłością NCN warto również pamiętać, że instytucja ta jest niezwykle ważnym elementem krajowego systemu finansowania badań naukowych i pochopte zmiany w jej funkcjonowaniu mogą mieć bardzo negatywne skutki dla całej nauki w Polsce na wiele lat.

Na wzór najlepszych

NCN zostało stworzone w 2010 na wzór Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC), czyli najbardziej prestiżowej agencji grantowej w Europie finansowanej przez Komisję Europejską. Struktura i nazwy paneli, sposób oceny wniosków przez innych naukowców, a nawet niektóre typy konkursów w NCN są podobne do tych w ERC. Takie podejście było czerpaniem z najlepszych rozwiązań oraz próbą przygotowania polskich naukowców do aplikowania o europejskie granty. Oczywiście można i należy debatować nad poprawą procesu przyznawania grantów, jednak aby przyniosło to pozytywne skutki, dobrze wskazać, w jaki sposób ulepszyć istniejące procedury, ponieważ być może nie jest to łatwe lub możliwe. NCN na przestrzeni

ostatniej dekady dostosowywał swoje konkursy do potrzeb społeczności naukowej i modyfikował formularze wniosków grantowych, np. w celu zmniejszenia efektu św. Mateusza, poprzez oczekiwanie listy maksymalnie 10 publikacji, usunięcie informacji o całkowitej liczbie cytowań i indeksie Hirscha aplikantów czy zmniejszenie limitu znaków w rubrykach dotyczących nagród, kariery i innych osiągnięć.

Profesorowie Czakon oraz Bogacz-Wojtanowska napisali, że „polskie uniwersytety w ostatnich latach utworzyły wieloosobowe jednostki organizacyjne, których celem jest obsługa zarówno procesów konkursowych (informowanie i konsultacje dla badaczy), jak realizacji konkretnych projektów. Nie ma bowiem możliwości, żeby przeciętny naukowiec sam poradził sobie nie tylko z obsługą grantu, który wygrał w NCN, ale także jego przygotowaniem”. Moje doświadczenia i obserwacje są zgoła odmienne. Wnioski grantowe do NCN nie są może najkrótsze, jednak uzupełnienie części administracyjnej nie zajmuje więcej czasu niż napisanie abstraktu projektu, zwłaszcza jeśli administracja uczelni uzupełni dane instytucji. Roczne raporty projektów finansowanych przez NCN są ograniczone do minimum. Również raport końcowy można przygotować w jedno popołudnie. Z mojego doświadczenia wynika, że proces aplikowania, realizacji i raportowania grantów NCN jest znacznie prostszy formalnie i administracyjnie niż cykl grantowy w innych krajowych agencjach (szczególnie tych rozdzielających środki europejskie) czy programach europejskich (z wyłączeniem grantów ERC, które jako perła w koronie Komisji Europejskiej są być może trochę łatwiejsze w implementacji od grantów NCN). Potwierdzeniem tego może być również fakt, że w uczelnianych biurach obsługujących realizację grantów badawczych jedna osoba może prowadzić nawet kilkadziesiąt grantów NCN, podczas gdy niektóre granty finansowane ze środków europejskich wymagają zatrudnienia dodatkowych pracowników.

Innym poważnym zarzutem przedstawionym NCN był rzekomy brak elastyczności w realizacji projektów. Oczywiście można wyobrazić sobie pełną elastyczność finansową, w której kierownicy projektów mogliby dowolnie przenosić środki

między wszystkimi kategoriami. Niestety pewne ograniczenia w przenoszeniu środków przeznaczonych na stypendia i wynagrodzenia są pokłosiem braku etycznej gotowości części polskich naukowców na taką wolność. Wewnątrz poszczególnych kategorii finansowych NCN daje jednak kierownikom projektów elastyczność porównywalną z ERC. Zmiany w liczbie wykonawców i długości ich zatrudnienia wymagają co prawda zgody kierownika jednostki, jednak – cytując zapisy ostatnich umów o realizację projektów NCN – „wszelkie zmiany merytoryczne, zmiany w zaplanowanej do zakupu lub wytworzenia aparaturze naukowo-badawczej, urządzeniach i oprogramowaniu oraz zmiany w ramach innych kosztów bezpośrednich może wprowadzić kierownik projektu, o ile nie jest to sprzeczne z wewnętrznymi regulacjami podmiotu”. Tak więc, wbrew temu co napisali profesorowie Czakon oraz Bogacz-Wojtanowska, NCN nie oczekuje „formalnego zatwierdzenia każdej zmiany”. Zasadność wprowadzonych zmian jest oceniona podczas rozliczenia końcowego, kiedy jednak oczekiwania skupione są na jakości badań naukowych, a nie zgodności z pierwotnym wnioskiem. Dlatego kierownicy grantów NCN nie powinni borykać się ze strukturą kosztów, brakiem elastyczności i swobody w ich wydatkowaniu. Jeśli się borykają, to często nie z winy NCN. W tym miejscu niestety trzeba zauważyć, że uczelnie nierzadko wykazują nadgorliwość znacznie przekraczającą wymagania NCN i stawiają kierownikom projektów nieuzasadnione oczekiwania i ograniczenia podyktowane wewnętrznymi regulacjami jednostek.

Źródło pozytywnych zmian systemowych

Obraz, jaki wyłania się z mojego opisu systemu grantowego instytucjonalnie prowadzonego przez NCN, jest z perspektywy doświadczeń badacza optymistyczny. Co więcej uważam, że stworzenie i działalność NCN wywarło przez ponad 10 lat jego funkcjonowania trwały pozytywny wpływ na naukę w Polsce. Choć jako względnie młody naukowiec nie doświadczyłem, jak wyglądał system nauki dwie dekady temu i wcześniej, to opowieści sprzed lat oraz obserwacja pozostałości stosunków feudalnych panujących wciąż w niektórych instytucjach pozwalają dostrzec NCN jako źródło korzystnych zmian systemowych, zbliżających krajową naukę do najlepszych standardów światowych.

Jedną z najważniejszych zmian wprowadzonych przez system grantowy NCN było stworzenie grup badawczych w polskich jednostkach na wzór działających na najlepszych zachodnich uczelniach. Być może łatwo o tym zapomnieć, ale pozycja badacza podoktorskiego (tzw. postdoka) pojawiła się po raz pierwszy w naszym kraju w programach Narodowego Centrum Nauki oraz Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (FNP) niespełna półtora dekady temu. Co więcej pozycje te oferowały często pensję wyższą niż pensja profesora, co również wymagało zmiany mentalności wśród polskich uczonych, ale otworzyło drogę do zatrudnienia dobrych międzynarodowych badaczy. Podobnie wprowadzenie stosunkowo dobrze płatnych stypendiów doktorskich finansowanych w ramach projektów NCN skłoniło setki, jeśli nie tysiące zdolnych młodych osób do pozostania na rodzimych studiach doktorskich. Sam zostałem, aby zrobić doktorat w Polsce, zamiast wyjechać za granicę, w dużej mierze ze względu na stypendium i warunki zapewnione przez granty promotora.

Stworzony przez NCN system grantowy jest egalitarny, przez co pozwala także młodym naukowcom na szybkie osiągnięcie samodzielności naukowej, która była nie do pomyślenia dwie dekady temu, a jest naturalna w krajach zachodnich, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Jedną z przyczyn niewielkich sukcesów polskich naukowców w zdobywaniu grantów ERC wydaje się wolne tempo uzyskiwania samodzielności naukowej w Polsce. Od kandydatów ubiegających

się o ERC Starting oczekuje się pełnej samodzielności maksymalnie siedem lat po doktoracie, a o ERC Consolidator – kierowania dobrze działającą grupą badawczą i ugruntowanej pozycji w świecie naukowym maksymalnie 12 lat po doktoracie. Takie tempo rozwoju i samodzielności było jeszcze dwie dekady temu trudne do pomyślenia u nas, częściowo przez pełną zależność młodych naukowców od rozdzielających środki kierowników zakładów czy katedr. Dzięki działaniom NCN nastąpiła ogromna zmiana w tym zakresie. Znaczna liczba programów NCN, takich jak Sonata, Sonata czy Sonata Bis, jest skierowana do młodych naukowców, jednocześnie wszyscy mogą aplikować o standardowe granty, takie jak Opus. Stworzenie unikatowych w skali świata grantów Preludium dla doktorantów było również odważnym krokiem w celu przyspieszenia pokoleniowej emancypacji najmłodszych naukowców. W końcu zaangażowanie zagranicznych panelistów i recenzentów rozpoczęło proces rozbijania krajowych układów.

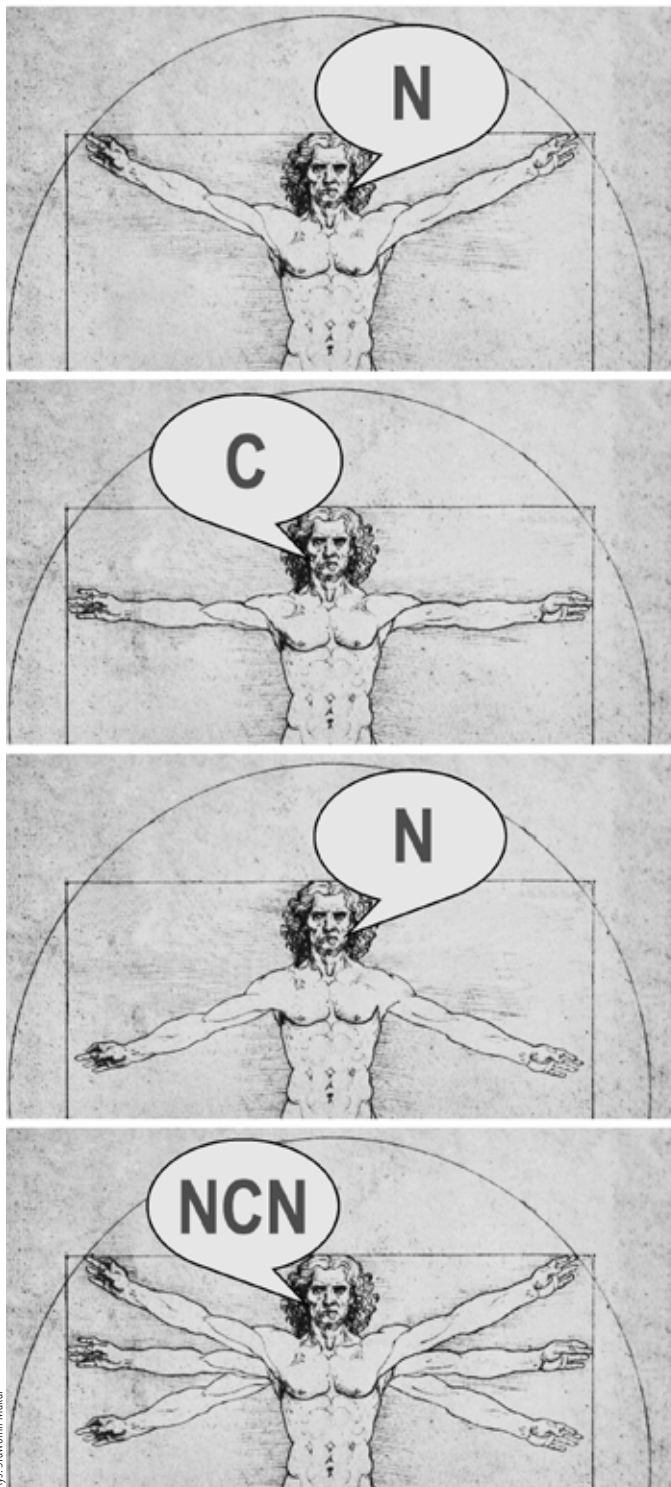
Edycja grantów ERC Starting w 2021 roku była dla naukowców w Polsce wyjątkowo dobra z rekordową liczbą 10 grantów zdobytych do realizacji w polskich jednostkach, w czym miałem przyjemność uczestniczyć. Przyszłość pokaże, czy była to chwilowa fluktuacja, czy początek trwałego trendu. Uważam jednak, że wyraźny wzrost liczby grantów ERC w Polsce koreluje z faktem, że o granty Starting aplikuje właśnie pierwsze pokolenie, które studia rozpoczęło po wejściu Polski do Unii Europejskiej i pierwsze zagraniczne staże badawcze odbyło po przyjęciu naszego kraju do strefy Schengen. Jest to pokolenie, którego doktoraty były finansowane przez pierwsze edycje grantów NCN i FNP, to ono w końcu miało możliwość powrotu do Polski po zagranicznych studiach doktorskich lub stażach podoktorskich, rozpoczęcia samodzielnej działalności badawczej i stworzenia własnych grup badawczych dzięki programom grantowym NCN. Nie przez przypadek zdecydowana większość kierowników grantów ERC, także dla najmłodszych naukowców, przed uzyskaniem środków europejskich kierowało grantami krajowymi. Sam również jestem jedną z wielu osób, które dzięki grantom NCN i innym krajowym agencji badawczych wróciły pracować w polskich jednostkach naukowych i szybko stworzyły niezależne grupy badawcze.

Z pustego i Salomon nie naleje

Narodowe Centrum Nauki jest instytucją niezależną i zarządzaną przez naukowców. Oznacza to, że jakość jego działania i procedur jest w dużej części odzwierciedleniem jakości nauki w Polsce. Rada NCN pełni kluczową rolę w kształtowaniu programów grantowych, jak również ustalaniu składów paneli ekspertów oceniających wnioski projektowe. Dlatego niezwykle ważne jest to, aby środowisko naukowe do Rady NCN kierowało swoich najbardziej kompetentnych przedstawicieli, dbając o jak najpełniejszą reprezentację dyscyplin finansowanych przez NCN jak również różnorodność geograficzną i doświadczeń. Ostatnio powołany przez ministra edukacji i nauki skład rady, w którym zabraknie osób reprezentujących fizykę, elektronikę, telekomunikację, nauki inżynierskie czy nauki o Ziemi, raczej może zwiększyć niż rozwiązać potencjalne problemy z procesem przyznawania grantów. Poziom nauki w Polsce oraz jej międzynarodowa rozpoznawalność ma również znaczenie dla jakości zagranicznych panelistów oraz recenzentów, którzy zgadzają się oceniać polskie wnioski grantowe. Osobiście spotkałem się tylko z pozytywnymi opiniami zagranicznych naukowców współpracujących z NCN w roli panelistów i recenzentów o profesjonalizmie NCN. Ostatecznie jednak należy pamiętać, że NCN tworzy procedury i przestrzeń do działania, ale wnioski grantowe oceniają inni naukowcy, od których poziomu naukowego, etycznego i zaangażowania mocno zależy jakość systemu grantowego.

Profesorowie Czaron oraz Bogacz-Wojtanowska w swoim tekście mocno krytykują ideę obecnego systemu grantowego, nie podają jednak konkretnej alternatywy dla niego. Nikt chyba nie ma wątpliwości, że w sytuacji wystarczających zasobów finansowych system grantowy mógłby być zbędny. Niestety nawet najbogatsze kraje na świecie nie są w stanie zapewnić środków na naukę na poziomie, który pozwoliłby sfinansować wszystkie pomysły wszystkich naukowców w zadowalającym stopniu. W takiej sytuacji konieczna jest pewna selekcja, a projektowe finansowanie badań może mieć działanie proaktywne. Uważam, że podział środków na badania przez zewnętrzne niezależne agencje grantowe zarządzane przez naukowców jest bardziej sprawiedliwy i transparentny niż alternatywne rozwiązania, w których o przyznaniu środków decydują minister lub kierownicy, dyrektorzy, dziekani czy rektorzy poszczególnych jednostek, zwłaszcza w sytuacji, w której wciąż wielu naukowców w Polsce dalekich jest od doskonałości naukowej.

W dyskusji nad NCN należy w końcu pamiętać, że wiele problemów, w tym pojawiające się głosy krytyki osób niezadowolonych z rozstrzygnięć konkursów grantowych lub ich realizacji, często jest również pochodną z jednej strony niskich nakładów na naukę w Polsce, a z drugiej strony rosnącej biurokracji w całym systemie nauki i szkolnictwa wyższego. Wysokość budżetu NCN ustalana jest przez Ministerstwo Edukacji i Nauki. Niestety w ostatnich latach budżet NCN nie był zwiększany proporcjonalnie do wzrostu PKB i inflacji. Doprowadziło to do spadku współczynników sukcesu w rozstrzygniętych w grudniu 2022 roku konkursach Opus i Preludium do poziomu 12-13%, a rokowania na ten rok są jeszcze gorsze. Tak niskie współczynniki sukcesu wiążą się nierozdzielnie ze zwiększającym się elementem losowym w ostatecznym wyborze projektów do finansowania, a co za tym idzie rosnącym niezadowolaniem środowiska naukowego oraz poczu-



rys. Sławomir Makal

ciem niesprawiedliwości i straty czasu. Trend ten można zmienić decyzją polityczną, która zwiększy budżet NCN do zapewnienia współczynników sukcesu na poziomie przynajmniej 20-30%, przy jednoczesnej aktualizacji stawek kosztów, w tym wynagrodzeń dla wykonawców w projektach, o współczynnik inflacji z ostatnich lat. Jednocześnie budżet NCN stanowi wciąż mały ułamek subwencji MEiN na utrzymanie potencjału dydaktycznego i badawczego w Polsce, którą też należy zwiększyć. Decyzji politycznych wymaga również odwrócenie trendu rosnącej biurokracji akademickiej, która często jest wynikiem obaw jednostek naukowych, a także agencji grantowych przed skutkami państwowych kontroli oraz audytów, w sytuacji kiedy część regulacji prawnych i ich interpretacji jest niejasna i nieadekwatna do specyfiki prowadzenia badań naukowych. W końcu, nie jest winą NCN to, że procedury awansowe lub ewaluacja nauki nadają nadmierną wagę zdobywaniu grantów.

Wspólne udoskonalanie

Konstruktywna krytyka jest konieczna, tak jak poszukiwanie możliwości doskonalenia, nie należy jednak pochopnie podcinać gałęzi, na której się siedzi. Narodowe Centrum Nauki było i jest ważnym filarem finansowania badań podstawowych oraz inspiratorem pozytywnych zmian w polskim systemie nauki. Jako środowisko naukowe powinniśmy zdecydowanie wspierać NCN, dbać o jego niezależność i samorządność, pomagać w ulepszaniu procedur, zapobiegać alienacji oraz przede wszystkim zabiegać o zwiększenie nakładów finansowych na naukę. Tylko w takich warunkach dalsze wspólne udoskonalanie NCN będzie skuteczne. Dobrze funkcjonująca agencja grantowa finansująca badania podstawowe jest zaś kluczowa dla pomyslnego przyszłości nauki w Polsce.

Dr hab. Michał Tomza, prof. UW, Wydział Fizyki, Uniwersytet Warszawski

Jolanta Szczepaniak

Fabryki artykułów

Fabryki artykułów są komercyjnymi, doskonale wyspecjalizowanymi firmami „produkującymi” manuskrypty zgłaszane do czasopism naukowych, głównie tych, które indeksowane są w najpopularniejszych naukowych bazach danych. Mają zapewnić łatwą i szybką publikację badaczom, którzy zdecydują się zapłacić za tekst albo za miejsce wśród współautorów. Oczywiście najdroższa jest pozycja pierwszego, drugiego lub trzeciego współautora. Liczy się też prestiż czasopisma, które przyjęło do publikacji sfabrykowany tekst. Im wyższy ma IF, tym więcej musi zapłacić nieuczciwy badacz.

Fabryki artykułów działają w wielu krajach. Mogą kamuflować prawdziwą działalność jako firmy świadczące usługi związane z edycją tekstu lub tłumaczeniem, ale są też takie, które zupełnie nie ukrywają swojego modelu działania. W jednym z badań zanalizowano zgłoszenia do dwóch czasopism naukowych, które stały się celem fabryk artykułów. W ciągu dwóch lat zgłoszono do nich 3440 tekstów, z których 1950 to prawdopodobnie produkty fabryk artykułów. Podpisują się pod nimi badacze z ponad 70 krajów na całym świecie. To wskazuje nie tylko na olbrzymią skalę działania, ale i na nieograniczony zasięg geograficzny w sprzedawaniu tekstów i pozyskiwaniu fałszywych autorów. Oprócz własnych stron internetowych firmy bazują na kontakcie mailowym oraz sieciach społecznościowych – propozycje mogą być składane za pośrednictwem takich stron jak Facebook, ResearchGate czy Academia.edu (Screen 1).

Jak działają fabryki artykułów?

Choć fabryki artykułów zarabiają na nieetycznych zachowaniach badaczy (przypisywanie sobie autorstwa cudzego tekstu), to ich działalność zazwyczaj jest legalna. Sprzedają produkt, który przez wielu badaczy jest uważany za koszt, który muszą ponieść dla kariery, awansu czy podwyżki. Dlaczego jednak nie biorą pod uwagę, że podpisują swoim nazwiskiem produkt wadliwy, bazujący na sfabrykowanych danych i splagiatowanych tekstach?

COPE (<https://publicationethics.org/sites/default/files/paper-mills-cope-stm-research-report.pdf>) opisuje, jak wygląda prawdopodobny model działania fabryki artykułów:

- przygotowany przez pracowników firmy tekst jest zgłaszany do wielu czasopism – prawdopodobnie choć jedno z nich zaakceptuje zgłoszenie;
- gdy tylko zgłoszenie zostaje przyjęte lub rozpoczyna się proces rewizji, pozostałe zgłaszane teksty są porzucane, a firma skupia się tylko na tym, który może przynieść dochód;
- tytuł i abstrakt umieszczane są w katalogu artykułów na stronie firmy wraz z ofertą zakupu od jednego do sześciu pozycji współautorstwa;
- najwyższe kwoty trzeba zapłacić za czasopisma o największym IF oraz kolejne miejsce wśród współautorów – pierwsza trójka jest najdroższa;

- autorom przypisywany jest adres e-mail i ORCID (jeśli jest wymagany przez czasopismo), jednak cała korespondencja z redakcją czasopisma jest obsługiwana przez fabrykę artykułów;

- firma może nawet zarekomendować recenzentów, którzy oczywiście wystawiają pozytywne opinie;

- jeden opublikowany artykuł powoduje, że fabryka artykułów będzie zalewać czasopismo setkami zgłoszeń o podobnej tematyce;

- w przypadku zakwestionowania rezultatów badań lub danych rzekomi „autorzy” mogą sami poprosić o retrakcję z uwagi na bliżej niesprecyzowany „problem z danymi”.

Warto zwrócić uwagę na ostatni z wymienionych elementów – w przypadku tekstów z fabryk artykułów redakcja bardzo szybko uzyskuje nieformalną zgodę od autorów na wycofanie tekstu. W obliczu podejrzenia o manipulowanie danymi zazwyczaj współautorzy nie starają się udowodnić, że tekst jest rzetelnie przygotowany, zamiast tego powołują się na „problemy z danymi”, nie precyzując jednak, na czym one konkretnie polegają. Na pewno jednak nie można liczyć na przyznanie się do oszustwa.

Autorzy chcą w ten sposób uprzedzić bardziej szczegółowe dochodzenie, choć oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, by przy uzasadnionych podejrzeniach dotyczących wiarygodności zgłoszonego tekstu redakcja czasopisma skontaktowała się z macierzystą uczelnią lub uczelniami, które zostały podane jako afiliacje. Może zapytać, czy faktycznie zostały wykonane opisane w artykule badania i potwierdzić, że istnieją oryginalne dane badawcze, na które powołuje się tekst. Oczywiście inną kwestią jest to, czy dana uczelnia będzie chciała udzielić takich odpowiedzi, zwłaszcza gdy zadawane są pytania dotyczące potencjalnie nieetycznych działań jej pracowników.

Choć tworzone są rozwiązania, które mają pomóc wydawcom w rozpoznaniu tekstów z fabryk artykułów, trzeba mieć na uwadze również to, że fabryki artykułów są świadome prowadzonych dochodzeń i stosowanych narzędzi. Szybko i skutecznie dostosowują swoją działalność tak, by nie dać się ujawnić. Co więcej, wiedząc, na jakie elementy zwracają uwagę redaktorzy czasopism i z jakich narzędzi korzystają podczas kontroli jakości tekstu, są w stanie dostosowywać je tak, by nie wykryto żadnych nieprawidłowości.

„Udręczone frazy”

Najczęściej artykuły są oparte na fałszywych danych, jeden zestaw może być wykorzystany do setek artykułów o podobnej tematyce. Warto w tym momencie zauważyć, że często to nie człowiek fabrykuje teksty, a komputer. Artykuły są bowiem wygenerowane komputerowo, przez co nagminnie występują tu tzw. tortured phrases (w języku polskim na razie brak odpowiednika), czyli dziwnie sformułowane określenia odnoszące się do powszechnie stosowanych terminów naukowych. W artykułach naukowych zwroty te wskazują na potencjalną nieuczciwość autora. Przykłady fraz występujących w naukach związanych z informatyką, matematyką i innymi naukami przyrodniczymi znajdują się w Tabeli 1 (<https://arxiv.org/pdf/2107.06751.pdf>).

Tabela 1

Termin poprawny	Tortured phrase
(mean) squared error	squared blunder
ant colony	subterranean insect state/providence
artificial intelligence	counterfeit consciousness
artificial neural network	fake/counterfeit neural organization
big data	colossal/enormous/huge/immense information
central processing unit (CPU)	focal preparing unit
cloud computing	haze figuring
deep neural network	profound neural organization
DoS attack	DoS assault
error rate	blunder rate
face recognition	facial acknowledgement
graphics processing unit (GPU)	designs preparing unit
high performance computing	elite figuring
kinetic energy	motor vitality
logistic regression	calculated relapse
mobile network	versatile organization
molecular structure	atomic composition
Naive Bayes	credulous Bayes
network attack	organization ambush/assault
network connection	organization association
Nucleic acid amplification tests (NAAT)	Nucleic corrosive enhancement tests (NAAT)
pattern recognition	design acknowledgment
peak signal to noise ratio (PSNR)	pinnacle flag to clamor proportion (PSNR)
personal digital assistant (PDA)	individual computerized collaborator
principal components	chief parts
random forest	arbitrary timberland/irregular woodland
random value	irregular esteem
remaining energy	leftover vitality
signal to noise	flag to commotion
solar energy	sun oriented force
under nitrogen	in the presence of N2
voice recognition	discourse acknowledgement

Fabrykowane teksty dotyczą nie tylko informatyki, niestety bardzo ich część przedostaje się do medycznych czasopism naukowych (https://www.researchgate.net/publication/362253837_Tortured_phrases_dilute_the_specificity_of_medical_jargon). Przykłady zwrotów z tekstów o tematyce

medycznej, na bazie których naukowcy wykrywali publikacje z fabryk artykułów lub noszące znamiona plagiatu, znajdują się w Tabeli 2.

Tabela 2

Termin poprawny	Tortured phrase
activation function	actuation work
Alzheimer's disease	Alzheimer's sickness/ Alzheimer's illness/ Alzheimer's malady
autistic children	tainted kids/medically introverted
blood brain barrier	blood cerebrum hindrance
breast cancer	bosom peril/bosom malignancy
dementia	dementedness/insanity
nucleic acid	nucleic corrosive
Parkinson's disease	Parkinson's unwellness/ Parkinson's ailment/ Parkinson's illness
regulatory T cells	administrative T cells
severe acute respiratory syndrome (SARS)	extreme intense respiratory syndrome (SARS)
support vector machine	bolster vector machine
T-helper cell	T-aide/T-partner/T-assistant cell

Wykrywanie problematycznych tekstów

Zwrot „tortured phrases” został stworzony przez trzech naukowców, którzy tym mianem określili dziwnie brzmiące frazy znalezione w artykułach z czasopisma „Microprocessors and Microsystems”. Guillaume Cabanac, Cyril Labbé i Alexander Magazinov uznali, że nie wynikają one po prostu ze złego tłumaczenia, co mogłoby wystąpić w przypadku naukowców, dla których język angielski nie jest językiem ojczystym, czyli w zasadzie podczas korzystania z maszynowego tłumaczenia (np. za pomocą Google Translate czy innego oprogramowania, które tłumaczy na język angielski). „Tortured phrases” mają zazwyczaj inny cel – udaremnienie automatycznego wykrycia plagiatu (<https://www.editage.com/insights/tortured-phrases-what-they-are-how-they-are-detected-and-how-to-avoid-them>). W tym celu teksty są parafrazowane (np. za pomocą narzędzi na stronie spinbot.com czy transformer.huggingface.co), a część zwrotów zastępowana takimi, które pozornie przekazują to samo znaczenie, ale w innych słowach. I mogłoby się to sprawdzić, gdyby nie fakt, że przy okazji zmieniane są frazy i zwroty ustalone w danej nauce – oficjalnie stosowane i ogólnie przyjęte sformułowania, które nie mają sensu, gdy zostaną zastąpione synonimami.

Z inicjatywy tych uczonych opracowane zostało narzędzie o nazwie Problematic Paper Screener (<https://www.irit.fr/~Guillaume.Cabanac/problematic-paper-screener/>) do śledzenia dokumentów zawierających „tortured phrases” oraz stworzonych przez generatory tekstów (Screen 2). Na początku 2023 roku baza ta obejmowała ponad 10 tysięcy tekstów, w których wykryto tego typu frazy czy stosowanie narzędzi takich jak SCIgen czy Mathgen.

Numer specjalny i materiały konferencyjne

Sfabrykowane teksty zgłaszane są do czasopism indeksowanych w najważniejszych naukowych bazach danych, ale równie mocno fabryki artykułów skupiają się na numerach specjalnych (zazwyczaj redagowanych przez specjalnie zaproszone do tej roli osoby, tzw. guest editors) i konferencjach firmowanych przez czołowych wydawców.

Niedawno jedno z czasopism Elsewiera zostało zalane tekstami z fabryki artykułów. Proceder ujawnił James Heathers w serwisie Retraction Watch (<https://retractionwatch.com/2022/09/28/can-you-explain-what-these-1500-papers-are-doing-in-this-journal/>). Chodzi o czasopismo „Materials Today: Proceedings”, w którym rzeczony badacz znalazł co najmniej 1500 artykułów, które nie tylko nie dotyczyły tematyki czasopisma, lecz zawierały też „tortured phrases” oraz miały tytuły zbieżne z artykułami, które wystawiane były wcześniej na sprzedaż w sieci. Kilkaset artykułów, które mogły zostać stworzone za pomocą komputerowych generatorów tekstów, stwierdzono też w kilku numerach specjalnych czasopisma „Microprocessors and Microsystems” (Elsevier).

Kilka miesięcy temu kilkaset tekstów wycofał inny wydawca: Institute of Physics (<https://retractionwatch.com/2022/09/09/physics-publisher-retracting-nearly-500-likely-paper-mill-papers/>). Dochodzenie wykazało, że artykuły mogą być stworzone, zmanipulowane i/lub były wystawione na sprzedaż przez komercyjny podmiot. Czyli w praktyce pochodziły z fabryki artykułów. Dotyczyło to 463 tekstów z czasopisma „Journal of Physics: Conference Series”, 21 tekstów z „IOP Conference Series: Materials Science & Engineering” oraz 10 tekstów z „IOP Conference Series: Earth & Environmental Science”.

Ofiarą podobnego procederu stał się też ACM. Wydawca wycofał wszystkie teksty z konferencji *ICIMTECH 21: The Sixth International Conference on Information Management and Technology*, która miała miejsce w Dżakarcie w sierpniu 2021 roku. Powodem była wątpliwa rzetelność recenzji, co zaowocowało licznymi tekstami, które ewidentnie zostały wygenerowane komputerowo (Screen 3).

Kolejnym wydawcą, który padł ofiarą fabryki artykułów, był Springer Nature. Wycofano ponad 400 tekstów z numerów specjalnych czasopisma „Arabian Journal of Geosciences” oraz „Personal and Ubiquitous Computing” (<https://retractionwatch.com/2021/09/28/springer-nature-slaps-more-than-400-papers-with-expressions-of-concern-all-at-once/>).

Warto dodać, że o ile wydawcy wskazują na wycofanie danego artykułu i przyczynę retrakcji, to ten sam tekst może być umieszczony na serwerach z preprintami lub na platformach typu ResearchGate i tutaj informacja o retrakcji się nie pojawia.

Problem nie tylko dla wydawców

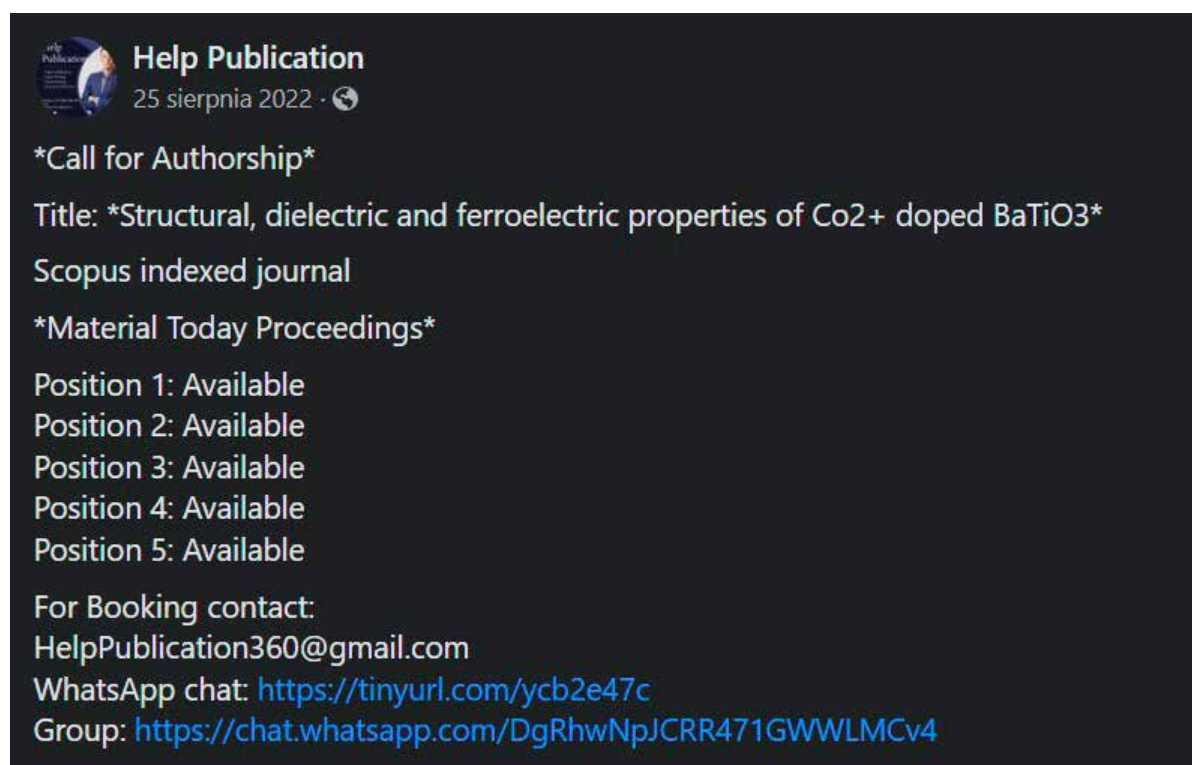
Choć proceder jest znany od lat, to problemem wciąż jest rozpoznanie, że teksty faktycznie pochodzą z fabryki artykułów. Sami wydawcy nie są w stanie tego ocenić od razu, dlatego fałszywe teksty naukowe są rzadko identyfikowane na etapie zgłoszenia artykułu, częściej dopiero po jego publikacji. Zazwyczaj dochodzenie do prawdy wymaga analizy tekstu i porównania go z innymi artykułami z tej samej dyscypliny, co skutkuje zazwyczaj wycofaniem artykułu. Zajmują się tym naukowcy, którzy wykrywają tego typu nieprawidłowości i alarmują wydawców i redaktorów.

Jednak prawdopodobnie wykryte przypadki to tylko niewielka część sfabrykowanych publikacji, za które zapłacili „autorzy”. Nie bez przyczyny fabryki artykułów powiązane są mocno z fałszywym współautorstwem. Większość takich artykułów pozostanie najpewniej nieujawniona lub doczeka się retrakcji dopiero po wielu miesiącach lub latach od publikacji. Dla każdego wydawnictwa jest to też dowód, że proces selekcji tekstów oraz recenzowania nie przynosi zamierzonego efektu.

Są jednak pewne sygnały, na które warto zwrócić uwagę po przyjęciu zgłoszenia. Mogą one sugerować, że przysłany manuskrypt, choć pozornie spełniający wszelkie kryteria naukowości i umiędzynarodowienia, może pochodzić z fabryki artykułów, a jego rzekomi autorzy nie mieli nic wspólnego z przytaczanymi badaniami i napisanym tekstem.

Czy da się rozpoznać sfabrykowany tekst?

Opisane wcześniej szerokie wykorzystanie oprogramowania do tłumaczenia (w celu ukrycia plagiatu), skutkujące pojawieniem się „tortured phrases”, to niejedyny sygnał, że wydawca może mieć do czynienia ze sfabrykowanym tekstem.



Help Publication
25 sierpnia 2022 · 🌐

Call for Authorship

Title: ***Structural, dielectric and ferroelectric properties of Co2+ doped BaTiO3***

Scopus indexed journal

Material Today Proceedings

Position 1: Available
Position 2: Available
Position 3: Available
Position 4: Available
Position 5: Available

For Booking contact:
HelpPublication360@gmail.com
WhatsApp chat: <https://tinyurl.com/ycb2e47c>
Group: <https://chat.whatsapp.com/DgRhwNpJCRR471GWWLMCv4>

Screen 1. (<https://www.facebook.com/groups/153082158400430/search/?q=position>)

Na pierwszy rzut oka tekst z fabryki artykułów nie wzbudza podejrzeń. Jest napisany poprawnym, naukowym językiem angielskim i przechodzi bezproblemowo weryfikację w programie antyplagiatowym. Problem może nie być zauważalny przy pojedynczym artykule, pełny obraz może się wyłaniać dopiero wtedy, gdy te same cechy, układ tekstu, formatowanie, dane czy obrazy pojawiają się w wielu artykułach o różnej tematyce, nawet z innych dziedzin, zgłaszanych do różnych czasopism. Co więcej, teksty przesyłane przez fabryki artykułów zazwyczaj nie są dostosowywane do szczegółowych wymagań konkretnego czasopisma. Są produkowane w ogromnej liczbie i zgłaszane równocześnie do tylu różnych czasopism, że ewentualne ich ujednolicenie do wymaganego stylu realizowane jest dopiero po przyjęciu tekstu do publikacji.

Najczęściej firmy produkujące teksty obracają się w konkretnych dyscyplinach. Mocno zauważalna jest ich obecność w naukach biomedycznych, związanych z biologią komórkową i molekularną (choć ewoluują też w innych kierunkach, np. informatyka i inżynieria). Ukrywają informacje o laboratoriach, w których przeprowadzono badania, co może wskazywać, że są one integralną częścią fabryk artykułów. W ten sposób w przypadku wykrycia nieprawidłowości w artykułach autorzy będą zrzucac winę na enigmatyczne laboratorium, które dostarczyło błędnych danych, ale nikt nie będzie w stanie go zlokalizować. Tak samo autorzy będą tłumaczyć brak oryginalnych danych badawczych, zrzucając winę na nieokreślone labo-

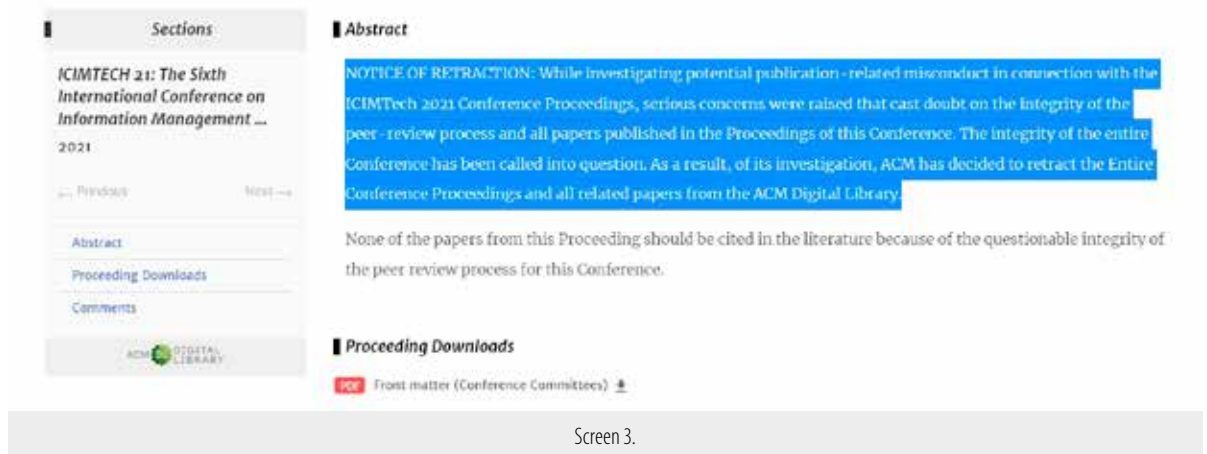
rium. Dlatego redakcje powinny żądać surowych, oryginalnych danych już na etapie zgłoszenia publikacji.

Sfabrykowane artykuły bazują na badaniach metodą Western blot, testach cytometrycznych oraz histologii komórek – manipulują badaniami i obrazami w różny sposób, tak aby te same zestawy danych i grafiki wykorzystywać w innych produkowanych tekstach. Dopiero szczegółowa analiza pozwala zauważyć nieścisłości, np. w wynikach analizy białek metodą Western blot czy liczne manipulacje dotyczące zdjęć dokumentujących te analizy. Oczywiście potrzeba do tego wiedzy eksperckiej. W wykrywaniu tego typu oszustw naukowych wyspecjalizowała się Elisabeth Bik, konsultantka ds. integralności obrazu z San Francisco w Kalifornii. Falszywe teksty naukowe identyfikuje też Jennifer Byrne z University of Sydney oraz Anna Abalkina z Freie Universität Berlin, która zidentyfikowała i opisała rosyjską fabrykę artykułów oraz bada zjawisko porywanych czasopism. Opracowano też programy, które mogą pomóc rozpoznać różnego rodzaju manipulacje na obrazach, np. ImageTwin, ProofFig, FigCheck lub Imacheck.

Wydawcy muszą też baczniej przyglądać się afiliacjom autorów. Tutaj może się zdarzyć, że autorzy nie podają służbowych adresów mailowych (co samo w sobie nie świadczy o oszustwie), ale w afiliacjach często nie wskazują konkretnej uczelni lub nie da się ich wyszukać na liście pracowników (co już powinno budzić zastrzeżenia). Badacz może być afiliowany na wydziale, który tematycznie nie ma wiele wspólnego z dyscypliną i tematyką artykułu, którego oficjalnie jest współautorem. Ponadto



Screen 2.



Screen 3.



Screen 4.

teksty zgłaszają autorzy, którzy do tej pory nie wydawali nic z danym czasopiśmie ani nigdy nie zgłaszali do niego tekstów. W zgłoszeniach podawane są też nowo utworzone, alfanumeryczne adresy e-mail, które nie nawiązują do nazwiska autora i nigdy nie pojawiały się w odniesieniu do tekstów naukowych. Warto też zwrócić uwagę na identyfikatory ORCID, fabryki artykułów stosują tu najczęściej nowo wykreowane identyfikatory, bez szczegółowych danych i afiliacji oraz bez informacji o poprzednich artykułach danego badacza. To skuteczna metoda na ukrycie tożsamości autora, zwłaszcza gdy jego imię i nazwisko są dość popularne.

Podając wymienione wytyczne COPE (<https://publicationethics.org/sites/default/files/paper-mills-cope-stm-research-report.pdf>) i Elsevier (<https://www.elsevier.com/connect/editors-update/paper-mills-see-the-wood-for-the-trees-part-2>) zwracają jednak uwagę na to, że pojedyncze elementy niekoniecznie wskazują na sfabrykowany i sprzedany tekst, a raczej wskazują na to ich kombinacja.

Wątpliwości wydawców budzić powinno dodawanie kolejnych współautorów po zgłoszeniu tekstu, ale przed jego opublikowaniem. To wyraźny sygnał alarmowy, że publikacja może pochodzić z fabryki artykułów, a poszczególne miejsca na liście współautorów zostały wykupione przez zainteresowanych badaczy. W kwestii sprzedaży tekstów najtrudniej wykryć i udowodnić ten proceder, jeśli grupa autorów z jednego wydziału lub jednej placówki badawczej wspólnie kupiła artykuł. Jest bowiem bardziej wiarygodna niż mieszanka osób z różnych specjalności z różnych krajów, która nigdy nic nie publikowała wspólnie. Dlatego w takich przypadkach jest mniejsze prawdopodobieństwo, by wydawca zorientował się, że ma do czynienia z fałszywym tekstem.

Czy jest jakieś rozwiązanie?

Na pewno problem z fabrykami artykułów, generowanymi komputerowo tekstami i zmanipulowanymi danymi jest zbyt rozpowszechniony i poważny, by poradził sobie z nimi pojedynczy wydawca, a nawet skumulowane działania wszystkich zainteresowanych stron mogą nie przynieść spodziewanych efektów. Niemniej istotna jest każda podejmowana akcja i wdrażanie rozwiązań skierowanych przeciwko fabrykom artykułów: współpraca między wydawcami oraz pogłębiona kontrola zgłaszanych prac, wnikliwa analiza zgłaszanych tekstów, dokładne sprawdzanie danych i afiliacji autorów oraz żądanie surowych danych i oryginalnych zdjęć, a także wiarygodny i transparentny proces recenzyjny, zarówno przed, jak i po publikacji (np. zgłaszanie napisanych recenzji w serwisie Publons).

Wydawcy powinni wymagać podawania od autorów służbowych, instytucjonalnych adresów e-mail i identyfikatorów

ORCID, które pozwolą przesledzić pełną historię publikacji danego autora, surowych danych, na których bazują badania, informacji o laboratorium, w którym wykonano doświadczenia i przygotowano grafiki ilustrujące tekst. Cenne są także wszelkie inicjatywy tworzenia narzędzi, które mogłyby wykrywać sfabrykowane artykuły na etapie ich zgłaszania. Fabryki artykułów nie będą mogły działać i zarabiać, gdy czasopisma będą odrzucać wszystkie pochodzące od nich zgłoszenia.

Niezbędna jest też szybka reakcja wydawcy na dowody niezrzetelności naukowców i retrakcja artykułów w potwierdzonych przypadkach, a także szersze informowanie o wycofanych tekstach z konsekwencjami, które byłyby bardziej dotkliwe dla nieuczciwych autorów oraz obowiązkiem dodawania informacji o retrakcji na wszystkich udostępnionych kopiach artykułu. Pozostaje jeszcze problem bardziej systemowy – wymagania wobec naukowców co do liczby publikacji i wyboru odpowiednio prestiżowego czasopisma. Tutaj fabryki artykułów odpowiadają na konkretne zapotrzebowanie środowiska akademickiego i traktowane są przez naukowców jako narzędzie niezbędne do uzyskania awansu, otrzymania grantu czy ewaluacji. Dopóki będzie popyt na ich usługi, nie ma szans, by zniknęły z rynku.

Pesymistyczne prognozy

Naukowcy zajmujący się tematem nie mają jednak dobrych wieści – teksty z fabryk artykułów będą o wiele trudniejsze do wykrycia. Po pierwsze komercyjne firmy, które za nimi stoją, dobrze wiedzą, z jakich narzędzi korzystają naukowcy, aby zidentyfikować sfabrykowane teksty i obrazy. Mogą więc wykorzystywać identyczne narzędzia do sprawdzania tekstu czy porównywania zdjęć, aby sprawić, że tekst przejdzie każdą kontrolę bez uwag. O wiele większym zagrożeniem jest jednak sztuczna inteligencja, wykorzystywana zarówno do tworzenia tekstów, jak i obrazów.

Obecnie każdy może wykorzystać narzędzia zaprzęające do pracy sztuczną inteligencję, aby stworzyć tekst naukowy i żaden system antyplagiatowy tego nie wykryje. Nieraz udowodniano, że tego typu popularne i ogólnodostępne narzędzia (np. ChatGPT) są wykorzystywane przez studentów do pisanie całych prac zaliczeniowych, ale niewykluczone, że są też bazą dla sfabrykowanych tekstów naukowych. Sztuczna inteligencja wykorzystywana jest też do fałszowania zdjęć i wideo. Dużą popularnością cieszy się technika deepfake, w której łączone i nakładane są obrazy w celu manipulowania grafiką lub wideo. W filmach jest to wykorzystywane do zamiany twarzy aktora, ale może być też stosowane w celach propagandowych czy przestępczych.

W nauce sztuczna inteligencja i technika deepfake może być wykorzystywana do fabrykowania wiarygodnie wyglądających,

realistycznych obrazów. Nie da się ich odróżnić od oryginalnych zdjęć i nie mają żadnych cech wskazujących na manipulację obrazów (takich jak zdublowane elementy, wyciszzone tło i in.). Co więcej, badania wskazują, że obrazy są na tyle realistyczne, że większość naukowców nie jest w stanie zidentyfiko-

wać wykreowanych obrazów od tych prawdziwych (<https://doi.org/10.1016/j.patter.2022.100509>). Przykładem mogą być obrazy raka przełyku wygenerowane przez AI (Screen 4).

Jolanta Szczepaniak, redaktor i kierownik zespołu Wydawnictwa Politechniki Łódzkiej

Wywrócić istniejący porządek rzeczy

Zmiany mogą być łagodne albo gwałtowne. Do tych ostatnich z pewnością zaliczają się przełomy, których skutków nie można nie zauważyć. W nauce dokonanie przełomu oznacza konieczność „porzucenia niektórych własnych przekonań ugruntowanych przez wieloletnie przemyślenia, często oparte na interpretacji wyników dotychczasowych badań”, pisze prof. dr hab. Piotr Jaranowski w „Academii” (nr 3/2022), magazynie Polskiej Akademii Nauk. Wiadomo, że przekraczanie granic każdorazowo stanowi ogromne wyzwanie, ale jasne jest również, że bez stawiania kolejnych kroków do przodu, rozwój nie byłby możliwy. Dobrze to widać w dziedzinie medycyny, gdzie progres wynika nie tylko z unowocześniania technik diagnostycznych, ale także z reorientacji ich stosowania. Weźmy przykład tomografii komputerowej. Metoda, która pozwalała, i to w nieinwazyjny sposób, wykryć istniejące nieprawidłowości, dopiero od niedawna zaczęła być wykorzystywana w rozpoznawaniu choroby wieńcowej. Wziąwszy pod uwagę, że w Polsce główną przyczyną zgonów są choroby serca i naczyń, można mieć nadzieję, że nowe podejście pozwoli ocalić życie wielu pacjentów.

Podobnie rzecz ma się ze obszarem odżywiania. Powszechnie wiadomo, że właściwie zbilansowana dieta jest niezwykle istotna z punktu widzenia zachowania zdrowia, ale dopiero nutrigenomika, czyli nauka badająca, w jaki sposób jedzenie wchodzi w kontakt z genami, może istotnie pomóc w eliminowaniu ryzyka wielu chorób, dostarczając wiedzy o tym, co należy jeść, aby transportowane wraz z pożywieniem składniki pokarmowe wpływały w sposób pozytywny na epigenom. Interującym przypadkiem jest także casus inżynierii genetycznej. Wykorzystanie jej we właściwy sposób może w istotny sposób przysłużyć się osobom cierpiącym z powodu skutków wrodzonych chorób neurodegeneracyjnych. W chwili obecnej takim pacjentom pozostaje jedynie leczenie objawowe i rehabilitacja. Punktem zwrotnym w ich życiu byłby z pewnością moment zastosowania metody polegającej na umieszczeniu w organizmie prawidłowej wersji genu albo na zmodyfikowaniu istniejącej nieprawidłowej mutacji.

Rozwój technologiczny oznacza kolejne zdobycze w dziedzinie sieci bezprzewodowych, robotyki i miniaturyzacji. Dzięki wszystkim tym udoskonaleniom powstają realne możliwości leczenia różnych zaburzeń wynikających z uszkodzenia niektórych partii mózgu. Dla pacjentów cierpiących z powodu drżenia samoistnego albo różnego typu nowotworów, neurochirurgia czynnościowa wykorzystująca do operacji takie narzędzia, jak Gamma Knife czy Cyber Knife, może stanowić prawdziwy prze-

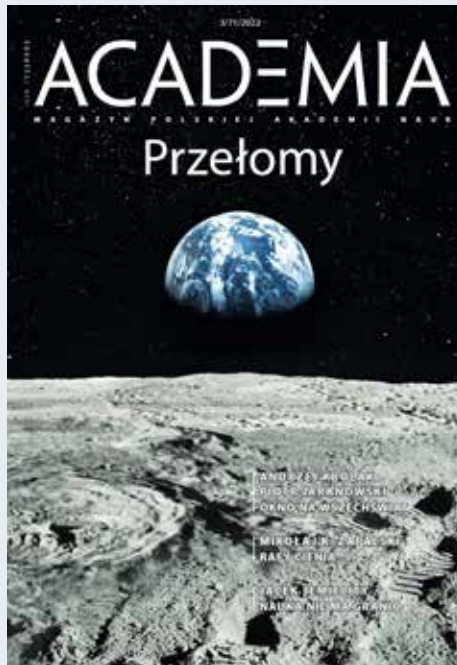
łom w leczeniu. Sporą nadzieję daje także osobom zmagającym się ze schorzeniami psychiatrycznymi. W czasach zachodzących obecnie zmian klimatycznych nie da się uniknąć dokonania przekształceń w sektorze energetycznym. Aby ustrzec się przed ostateczną katastrofą, konieczne jest przestawienie się na odnawialne źródła energii. Niezwykle interesująco jawi się w tym kontekście potencjał perowskitowych ogniw fotowoltaicznych. Dzięki nim pojawia się szansa na tanią i dostępną dla każdego energię. Ich zaletą jest zarówno możliwość drukowania ogniw na niemalże dowolnym podłożu, wydajność działania w sztucznym świetle, jak i łatwa dostępność materiałów służących do ich wytwarzania. Lęk związany ze zmianą w takim samym stopniu dotyka poszczególnych sektorów czy dziedzin, jak i delikatnej tkanki społecznej.

Strach przed nowym i nieznanym od zawsze towarzyszył istniejącym zbiorowościom. Obawa przed pogorszeniem sytuacji wynikającej z modyfikacji istniejącego od dłuższego czasu status quo wyrażała się zazwyczaj w konieczności wykonywania ochronnych gestów czy stawiania obiektów, jakimi na polskiej wsi były np. krzyże, które miały za zadanie uchronić społeczność od wszelkich plag i niebezpieczeństw.

Ale już we współczesnych wspólnotach cyfrowych, bo o takich już można z pewnością mówić, kiedy do sieci jest podłączone 60% populacji świata, wyraźnie widać modyfikację sposobów zaspokajania potrzeb życiowych. Widoczna zmiana kulturowa objęła wiele różnych obszarów, w tym zawodowych, osobistych czy biznesowych. Jeszcze kilka lat temu np. mało kto wyobrażał sobie, że naukę czy pracę można równie skutecznie wykonywać w sposób zdalny, a dzisiaj stanowi to normę. Wkraczając w erę zaawansowanych technologii opartych na algorytmach oraz sztucznej inteligencji nie można zapominać o istniejących zagrożeniach, dlatego trzeba nauczyć się regulować ruch internetowy, w taki sposób, by zapewnić użytkownikom bezpieczeństwo w sieci. Powinno się także zadbać o to, aby pojawiające się rozwiązania były mniej angażujące ludzką psychikę, w przeciwnym razie można się od nich w szybkim tempie uzależnić.

Wychodzenie poza stałe przyzwyczajenia i poza dobrze znany schemat w każdej sytuacji jest tyle intrygujące, co niebezpieczne. Nikt bowiem nie daje gwarancji sukcesu, natomiast koszty trzeba ponosić każdorazowo. Trudno jednak wyobrazić sobie i zaakceptować świat, a zwłaszcza świat nauki, który ugrzązłby w stanie stagnacji.

Aneta Zawadzka



Dariusz Seweryn

Szarża lekkiego brygadiera

czyli epizod z dziejów „wojen o naukę”. Cz. I

Idąc za Hellerowskim przesłaniem, historyk religii musiałby uznać, że tylko wskutek nieporozumienia i ogólnego zamieszania uczniowie Jezusa z Nazaretu nie zorganizowali się w Akademię Jerozolimską, by podjąć metodyczne studia nad „właściwym zrozumieniem kosmicznego porządku”.

Przedstawiciele i przedstawicielki nurtu, od jakiegoś czasu opatrywanego mianem Grievance Studies, ze współczesną fizyką (a także biologią) mają, jak wiadomo, na piętku. Wśród reprezentantów tego nurtu, którzy najwcześniej zwrócili na siebie zło oko strażników naukowej poprawności, znalazła się Sandra Harding, filozofka feministyczno-postkolonialna i konsultantka paru agend ONZ, której przypisano nie całkiem zasłużenie nazwanie traktatu *Principia mathematica* Newtona „podręcznikiem gwałtu”. Było to w najlepszym razie uproszczenie, albowiem inkryminowany passus w zasadzie dotyczył pewnego typu metaforyki stosowanej w pismach szesnasto-, siedemnastowiecznych propagatorów empiryczno-matematycznego przyrodoznawstwa. Ów passus w polskim przekładzie ad hoc prezentuje się następująco:

„Wśród zjawisk, na których skupili się historycy feministyczni, znajdują się metafory gwałtu i tortur w pismach Sir Francisca Bacona i innych (np. Machiavellego) entuzjastów nowej metody naukowej. Tradycyjni historycy i filozofowie twierdzili, że metafory te są nieistotne dla prawdziwego znaczenia i odniesienia koncepcji naukowych w rozumieniu tych, którzy tych metafor używali, jak również w rozumieniu publiczności, dla której pisali. Lecz jeśli idzie o postrzeganie natury jako maszyny, ich analiza przebiega zupełnie inaczej: w tym przypadku przekonują nas, że metafora dostarcza interpretacji matematycznych praw Newtona: kieruje badaczy na owocne sposoby aplikacji jego teorii i sugeruje właściwe metody podejścia oraz rodzaj metafizyki wspierany przez nową teorię. Jeśli jednak mamy wierzyć, że mechanistyczne metafory stanowiły fundamentalny składnik wyjaśnień dostarczanych przez nową naukę, to dlaczego mielibyśmy równocześnie wierzyć, że metafory genderowe takim składnikiem nie są? Konsekwentna analiza musiałaby prowadzić do wniosku, że pojmowanie natury jako kobiety obojętnej na gwałt, a nawet akceptującej go, było równie fundamentalne dla interpretacji tych nowych koncepcji natury i zgodnych z tą koncepcją badań. Można przypuszczać, że również te metafory posiadały owocne pragmatycznie, metodologicznie i metafizycznie konsekwencje dla nauki. Czemu, wobec tego, nazywanie praw Newtona »Newtonowskim podręcznikiem gwałtu« nie jest równie pouczające i uczciwe, jak nazywanie ich »Newtonowską mechaniką«? (S. Harding, *The Science Question in Feminism*, Ithaca 1986).

Była to oczywiście retoryka impulsywna (zgodnie ze stylistycznymi konwencjami grievance studies), a tym samym przeciwnie skuteczna. W istocie metaforyka, jaką obudowywane są teorie naukowe, należy do innego porządku logicznego aniżeli same teorie, wobec czego teza, że taka lub inna metaforyzacja, inspirowana domniemaną recepcją teorii naukowych, rzuca światło na same teorie, jest równie sensowna, jak na przykład mniemanie, jakoby topika laudacyjna w odach pisanych na cześć Newtona rzucała światło na genezę jego metody całkowania. Przytoczony wywód broni się wszelako o tyle przynajmniej, że – co warto sobie uświadamiać – typ metaforyki stosowanej w odniesieniu do czegokolwiek niekoniecznie jest ideologicznie neutralny; z drugiej jednak strony metaforyczne wzorce same z siebie ulegają petryfikacji i w efekcie tracą wszelką wartość ekspresyjną, poznawczą czy choćby asocjacyjną. Proces ten w zakresie nauk o języku nazywamy „leksykalizacją”, w zakresie nauk o literaturze i innych dziedzinach sztuki „konwencjonalizacją”. Toteż historycy literatury nie bulwersują się zanadto „konwencją gwałtu”, której ilustracji dostarczyć może sentymentalna sielanka generała Jakuba Jasińskiego *Chciało się Zosi jagódek...* z takim oto finałem:

„Podług swojego zwyczaju
Zosia gałązkę nagina,
»A tuś mi, miły hultaju!«
Złapana biedna dziewczyna.

Potem jak słusność kazała,
Skarał złodzieja przy szkodzie;
Zosia z początku płakała,
Potem umilkła przy zgodzie”.

Jest to bowiem prezentacja równie pozbawiona pretensji do tłumaczenia empiryczno-społecznej rzeczywistości i równie od niej oddalona, jak oddalone i pozbawione tego rodzaju pretensji są współczesne tzw. komedie romantyczne czy też – na drugim biegunie – filmy o niezniszczalnych, kulooodpornych psychopatach siejących zagładę w jakimś spokojnym miasteczku.

Pojedynek na miny

Istnieją wszakże głębsze przyczyny, dla których próby czy to filozoficznego, czy też socjologicznego pozycjonowania fizyki,

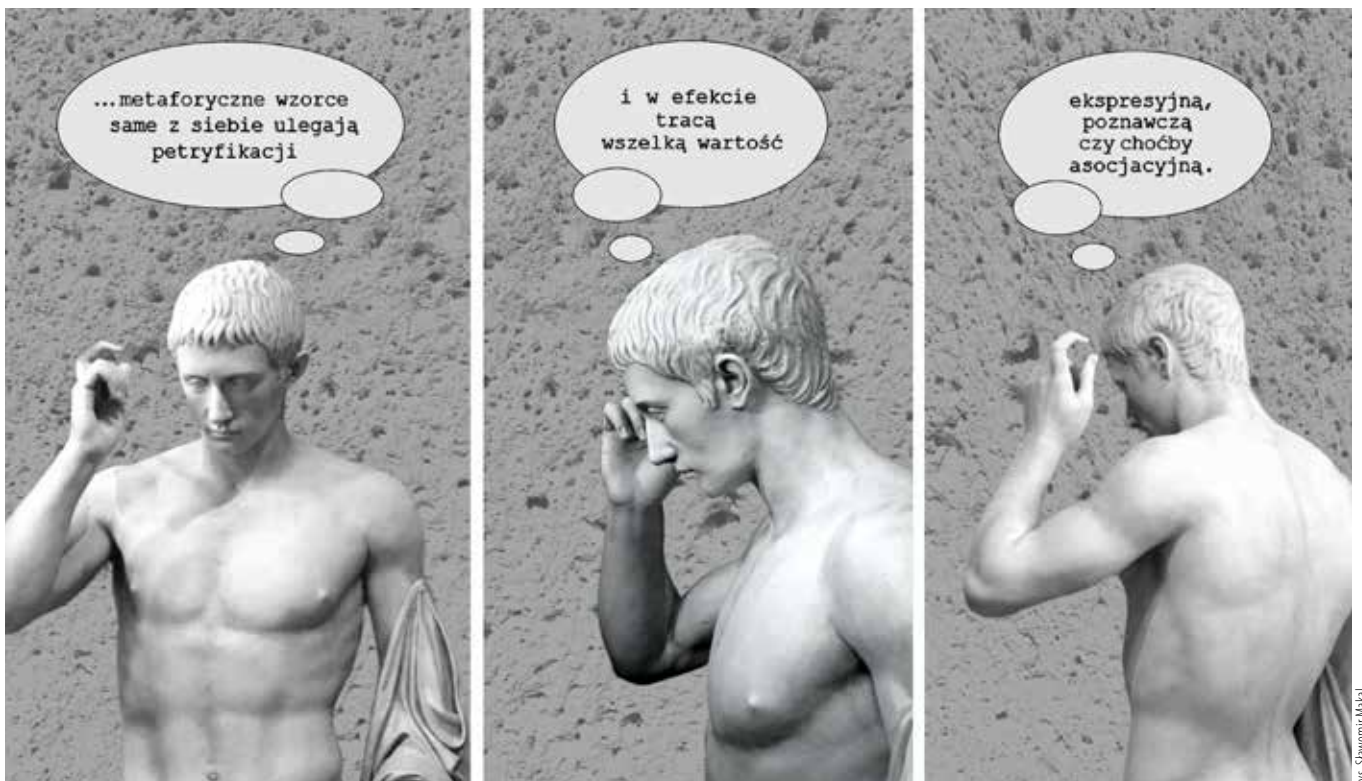
o ile pozostają zakorzenione w heterogenicznych względem zmatematyzowanego przyrodoznawstwa paradygmatach, narażają się na nieuchronne zderzenie z samoświadomością przedstawicieli nauk przyrodniczych. Tylko częściowego wyjaśnienia dostarczają w tej mierze obustronne nadużycia: nieprzemysłane, łagodnie mówiąc, pożyczki terminologiczne, czerpane przez filozofów (czy też filozofujących socjologów bądź socjologizujących semiotyków) z zasobu przyrodoznawstwa z jednej strony, z drugiej – naiwność przedstawicieli dyscyplin matematyczno-przyrodniczych, którzy na pewnego typu wyrażenia reagują jak pies Pawłowa na dzwonek; gdyby standardem wśród tych ostatnich był intelektualny horyzont à la Roger Penrose czy Carlo Rovelli, przynajmniej niektóre spośród tego rodzaju awantur okazałyby się bezprzedmiotowe. Z drugiej strony reakcje ze strony „humanistycznej” na krytykę terminologicznych nadużyć potrafią przybierać formę, która wydaje się już lokować w polu kompetencji psychologii społecznej. Tak więc na przykład Barbara Tuchańska solidarystycznie referowała opinię „socjologa, Andrzeja Rostockiego, który w dyskusji panelowej nad książką Sokala i Bricmonta *Modne bzdury* [*Fashionable Nonsense*] powiedział, że nie żał mu humanistów krytykowanych za »nadużywanie pojęć z zakresu nauk ścisłych«, bo najwyraźniej nie starcza im godności, żeby o kwestiach humanistycznych mówić w terminach nauk humanistycznych, i pokazują niedojrzałość intelektualną, sądząc, że pojęcia nauk ścisłych pomogą im lepiej wyrazić swoje poglądy” (B. Tuchańska, *O Sokalu z Bricmontem, Latourze i o tym, co z tego wynika*, „Nauka” 2006, nr 1). I tak oto, zamiast potencjalnie owocnej, a przynajmniej ciekawej dyskusji na temat granic interdyscyplinarności czy debaty o strukturalnych uwarunkowaniach napięć między światem dyskursów a światem równań sprawę podsumowuje apel o godnościowe wzmożenie, czyli dysputa kończy się Gombrowiczowskim pojedyńkiem na miny – jest to nieomylny symptom, wskazujący iż rzecz dzieje się w Polsce.

Teorie naukowe i obraz świata

Tak jak spadkobiercy filozoficznej hermeneutyki oraz przedstawiciele socjologicznego konstrukttywizmu nie potrafią się nie-

kiedy powstrzymać od dowodzenia, że lepiej od fizyków rozumieją, czym właściwie się zajmuje i czego dotyczy fizyka, tak też Michał Heller, reprezentujący doraźną i nieco ekscentryczną wspólnotę interesów teologii oraz fizyki, lepiej zrozumiał, czym się zajmuje humanistyka, niż to rozumieją ci, którzy się za jej przedstawicieli uważają (i nawet mogą tego dowieść, na przykład wskazując swoje nazwisko w odpowiednim dziale uniwersyteckiej listy płac). Objaśnienie, jaki jest właściwy przedmiot humanistyki, zostało ogłoszone światu słowem drukowanym w postaci książki zatytułowanej *Czy fizyka jest nauką humanistyczną?* Podstawową cechą tej inicjatywy jest jej retrybutywny charakter. Już na tylnej okładce czytamy: „Wśród fizyków krąży powiedzenie, że wszystkie nauki dzielą się na fizykę i zbieranie znaczków”. Autor wszakże, jak przystało na wytrawnego egzegetę, świadom jest różnicy między strukturą powierzchniową a strukturą głęboką wypowiedzi, toteż nie poprzestaje na samym tylko przytoczeniu owej lakonicznej formuły, od razu ujawniając kluczowy problem interpretacyjny: „Czy jest to przejaw ich megalomanii, czy tylko nieco żartobliwe wyrażenie przekonania, że fizyka jest nauką podstawową?”. Choć nie zostało to powiedziane wprost, jako że autor szanuje inteligencję czytelnika, pełna egzegeza tej gnomy, przeprowadzona w tekście książki, odpowiada stwierdzeniu: wszystkie nauki dzielą się na fizykę i zbieranie znaczków, a ponadto teologię.

Prawo teologii, iżby się mienić nauką, jest bowiem – zdaniem Hellera – ograniczone, a jak dobrze pomyśleć, to i warunkowe. Teologia, jak postuluje Heller, nie może zanadto odstawać od ogólnego obrazu świata i zarazem nie może do tego obrazu świata zbyt szczerze przylegać. W związku z tym autor przestrzega: „[...] pamiętając o szybkiej ewolucji nauki i o zmienności naukowego obrazu świata, należy zachować pewien dystans do naukowego obrazu świata. W niektórych nurtach współczesnej teologii amerykańskiej daje się zauważyć przesadne wiązanie teologicznych treści nie tylko z dzisiejszym obrazem świata, lecz także z niektórymi naukowymi teoriami”. „Obraz świata” jawi się w tym dyskursie dość zagadkowo, jako że każdy socjolog czy historyk filozofii mógłby zapewne wygłosić a vista godzinny



Rys. Sławomir Makal

wykład na temat tego pojęcia i jego możliwych znaczeń, zwłaszcza w kontekście terminu „teorie naukowe”. Dość zabawne wrażenie sprawia w tym kontekście fakt, że Heller prezentuje się jako kontynuator wspomnianej inicjatywy Alana Sokala i Jeana Bricmonta, którzy skupili się właśnie na kwestii terminologicznych i pojęciowych nadużyć, tyle że w drugą stronę. Pomijając zatem logion o drzazdze i belce, zauważmy jedynie, że wywód Hellera nie wyjaśnia niestety, w jakim trybie dałoby się ustalić, gdzie się kończy „obraz świata” (cokolwiek miałyby to znaczyć), a gdzie zaczynają „teorie naukowe”, które do „obrazu świata” już nie przynależą. Nie jest też jasne, jak równocześnie „zaakceptować w uprawianiu teologii współczesny obraz świata” i zarazem w uprawianiu teologii się od niego dystansować („mieć go pod kontrolą”, zaleca tajemniczo autor). Teolog, akceptując „obraz świata” i zarazem go nie akceptując, znalazłby się w pozycji nieco diabolicznej – „[...] diabeł, jak z lektury wiem, Jest *séparé de lui-même*” (Cz. Miłosz, *Traktat moralny*).

Może zatem problem dałoby się rozwiązać przynajmniej praktycznie: „Być może przyszłością przynajmniej niektórych gałęzi teologii jest interdyscyplinarna współpraca z innymi naukami. Interdyscyplinarne grupy robocze mogłyby stanowić wyjście z dylematu, polegającego z jednej strony na nieuniknioności wąskiej specjalizacji, a z drugiej strony na konieczności szerszego spojrzenia” (M. Heller, *Czy fizyka...*). Cóż bardziej naturalnego – fizyk wyjaśni teologowi, jak skalibrować aparaturę, teolog wyłoży fizykowi doktrynę św. Augustyna, Księżę zbudzi pocałunkiem Śpiącą Królową, po czym wszyscy usiądą, by przejrzeć równania, podzielić się wrażeniami i ustalić, co z tego wynika.

Jak metafizykę należy uprawiać

Teologia pozostaje zatem w obrębie nauki, choć w jej szarej strefie. Metafizyka natomiast – co to, to już nie. Metafizyka – objaśnia Heller – to w sumie żadna nauka. Owszem, mogłaby się stać nauką, ale to nie takie proste, jak się metafizykom zdawało: „Dzieje myśli ludzkiej wskazują, że bez metafizyki nie sposób się obejść, choć nikt dotychczas nie pokazał, jak metafizykę uprawiać”. Konstatacja ta pojawia się ponownie w nieco odmiennym kontekście (w związku z komentarzami do Strawsona): „Dzieje myśli europejskiej, od jońskich filozofów przyrody po dzień dzisiejszy, wskazują, że bez metafizyki nie sposób się obejść, ale nikt dotychczas w sposób zadowalający – mimo niezliczonych prób – nie pokazał, jak metafizykę należy uprawiać”. A nikt nie pokazał, ponieważ nikt jak dotąd nie zdołał skonstruować odpowiedniego rodzaju algebry, która pozwoliłaby wreszcie uprawiać metafizykę jako porządną naukę, a nie jako nie wiadomo właściwie co. Autor jest jednak umiarkowanym optymistą, sugerując, iż szansa tkwi w rozwoju algebr nieprzemiennej: „Odpowiednio zinterpretowana algebra staje się ontologią fizyki. [...] ontologii tej nie musi się rozumieć jako ontologii »rzeczywistego świata«; wystarczy, jeśli się ją traktuje jako ontologię *zakładaną* [w sensie Quine’owskim – D.S.] przez teorie fizyczne. Być może sens pojęcia »ontologia« w ten sposób uległ zmianie, ale jest to zwyczajny los wszystkich ważnych pojęć”. Do pełni metafizycznej satysfakcji przydałaby się jeszcze „logika rozumowań nieliniowych”, trzeba by ją tylko, z Bożą pomocą, wynaleźć. Krótko mówiąc, metafizyka jako algebraiczna ontologia fizyki rządzona hipotetyczną nieliniową logiką w zupełności by rozumnym ludziom wystarczyła. Zresztą już obecnie „współczesna fizyka spełnia (przynajmniej niektóre) funkcje tradycyjnej ontologii”. Z pozostałymi wątpliwościami (zawsze się znajdują malkontenci) proszę się na razie zgłaszać do teologów.

Fundament tego optymizmu stanowi teza ogólna: „Istnienie fizyki i jej bujny rozwój jest dowodem na to, że świat jest badalny

(daje się badać)”. Jednakże siłę tego argumentu osłabia to, że jego struktura logiczna, mająca znamiona tautologii, pasuje do stosunkowo szerokiej klasy twierdzeń, np.:

- (1) Istnienie „przemysłu spożywczego” jest dowodem na to, że świat jest jadalny (daje się zjadać).
- (2) W świecie istnieją koła, co jest dowodem, że jest przejezdny; istnienie nadmuchiwanym materycy świadczy natomiast, że świat jest przepływalny (da się go przepłynąć).
- (3) Istnienie miesięcznika „Egzorcysta” jest dowodem, że człowiek jest opętywalny (może zostać opętany przez złego ducha). Istnienie natomiast profesjonalnych egzorcystów świadczy niezbicie, że zły duch jest wypędzalny (daje się wypędzać).
- (4) Szeroka recepcja dzieła *Malleus maleficarum* jest dowodem, że można oddziaływać na empiryczne otoczenie za pomocą czarów (w wersji słabszej: można było przynajmniej w XVI i XVII wieku).

W pewnych aspektach historycznym pierwowzorem teologii Hellera staje się jacobiniński kult upersonifikowanej La Raison. Wzbogacony niedwuznacznym wpływem gnostycyzmu: „W literaturze prorockiej nacisk był położony na posłuszeństwo Objawieniu, w apokalipsach na zrozumienie przez Objawienie. Osiągnięcie zbawienia zależy od właściwego zrozumienia kosmicznego porządku” (podkr. – D.S.). Dlatego pomost między kosmologią a teologią jest zupełnie naturalny: „Patrząc na naukę z perspektywy teologicznej, wydaje się, że najwyraźniejszym »śladem stworzenia« (w sensie teologicznym) jest racjonalność świata, czyli ta jego własność, dzięki której świat jest racjonalny. Z teologicznego punktu widzenia należałoby stwierdzić, że stworzenie świata przez Boga było aktem rozumnym” – stwierdza dobitnie autor. Stwórca może wreszcie odetchnąć z ulgą; po całej biegnącej przez stulecia krytyce tego, jak jest świat urządzony i debatach, dlaczego tak źle, po tej fali nieodpowiedzialnych, złośliwych dowcipów (jak w szmoncesie, w którym szewc zapytany, dlaczego potrzebował miesiąca na zrobienie pary butów, choć Bogu wystarczył tydzień na stworzenie świata, odpowiada: proszę spojrzeć na te buty i proszę spojrzeć na ten świat), po całej tej, by odwołać się do współczesnej nowomowy, „fali hejtu” wreszcie ktoś bezstronnie ocenił, zweryfikował i przyjazną ręką przybił nihil obstat.

„Racjonalność jest następstwem stworzenia. Lub nawet mocniej: Bóg jest Racjonalnością” – zwiastuje dobrą (choć nie dla wszystkich) nowinę autor. Posłannictwo przychodzi mu sprawować z tym większą łatwością, że pozostaje imponująco odporny na typologie i fenomenologie współczesnego religioznawstwa, ale przecież religioznawstwo to nie jest prawdziwa nauka, więc kto by się przejmował. Idąc za Hellerowskim przesłaniem, historik religii musiałby uznać, że tylko wskutek nieporozumienia i ogólnego zamieszania uczniowie Jezusa z Nazaretu nie zorganizowali się w Akademię Jerozolimską, by podjąć metodyczne studia nad „właściwym zrozumieniem kosmicznego porządku”. I tu się już robi, z socjologicznego punktu widzenia, naprawdę dziwnie, bo – biorąc w nawias kwestie zaangażowania czy niezaangażowania wyznaniowego – po takim wykładzie podstaw chrześcijańskiej teologii przez katolickiego teologa, nawróconego na „światopogląd naukowy”, niezbędne byłoby przywołanie prac, na przykład, René Girarda czy Leszka Kołakowskiego, żeby przynajmniej w kategoriach typologicznych wytłumaczyć, o co właściwie chodzi z tymi Ewangeliami.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Prof. dr hab. Dariusz Seweryn, Katedra Literatury Oświecenia, Romantyzmu i Krytyki Artystycznej, Wydział Nauk Humanistycznych KUL

Recenzenckie patologie

Nie chcę przesądzać, czy rzeczywiście system recenzencki obniża wydajność naukową. Interesuje mnie poczucie wielu, że z recenzjami „coś jest nie tak”, skoro wiele osób ma przykre doświadczenia. Bazując na tym, proponuję refleksję nad możliwymi drogami usprawnienia systemu i związanymi z tymi zagrożeniami i szansami.

„System recenzji jest zły!”. To opinia, którą często słyszymy z ust koleżanek i kolegów naukowców. Zły, bo recenzje bywają nierzetelne (czasami również w topowych pismach), bo za długo na nie czekamy, w skrajnych przypadkach cały proces może trwać lata, zwłaszcza że w najlepiej ocenianych czasopismach zwykle mamy do czynienia nie z jedną, ale z kilkoma rundami oceny. Wreszcie – nic nam nie płacą, kiedy je przygotowujemy, czy wówczas, kiedy jesteśmy redaktorami. Powodów znajdujemy zresztą więcej, choć przedstawiciele różnych dyscyplin mają różne doświadczenia, a także różną tolerancję na przedłużający się proces recenzencki. Na przykład prowadzący długotrwałe badania są bardziej tolerancyjni wobec spóźnialskich redaktorów i recenzentów. Nie zmienia to faktu, że – ogólnie sprawę ujmując – akademicy nie mają zbyt dobrej opinii o systemie peer-review.

Część z nas wskazuje na problemy systemowe, na przykład związane z kosztami. Badacze i badaczki starają się to nawet szacować, według jednego z badań naukowcy rocznie spędzają łącznie 15 tysięcy lat na recenzowanie pracy innych. Ogrom pracy nie przyspiesza oceniania, co łączy się ze spadającą wydajnością naukową, tym bardziej że cały proces wcale nie zapewnia replikowalności prac, a zatem trudno mówić o kumulowaniu się osiągnięć naukowych. Poza tym recenzje kosztują pieniądze, bo są częścią systemu, w którym uczelnie wydają je na dostęp do czasopism komercyjnych wydawców, mimo że większość badań finansowana jest ze środków publicznych. Dodatkowo różne opcje „accelerated publication” mogą gwarantować przewagę dużych graczy, bo działają na zasadzie „płacisz, możesz liczyć na szybką recenzję”, niezależnie od tego czy publikacja wychodzi w modelu Open Access, czy nie.

Jako naukowcy zdajemy sobie sprawę z owej krytyki. Nie chcę przesądzać, czy rzeczywiście system recenzencki obniża wydajność naukową. Interesuje mnie wspomniane poczucie wielu, że z recenzjami „coś jest nie tak”, skoro wiele osób ma przykre doświadczenia. Bazując na tym, proponuję refleksję nad możliwymi drogami usprawnienia systemu i związanymi z tymi zagrożeniami i szansami. Przy tym odrzucam wszelkie sytuacje patologiczne, którymi nie zajmuję się w tym sensie, że tutaj nie ma czego poprawiać – należy je potępiać i do nich nie dopuszczać. Aberracji niestety jest dużo i na nieszczęście one także wpływają na wspomnianą niechęć do recenzji. Naprawa systemu peer-review polega zatem także na identyfikacji nieprawidłowości, co czynię dalej. Potem proponuję dwie możliwe drogi „naprawy”.

Patologia 1. Falszowanie procesu recenzenckiego

Do najcięższych naruszeń należy wykorzystywanie systemów redaktorskich tak, że autorzy manuskryptu proponują jako recenzenta rzeczywiście istniejącego specjalistę, ale podają jego fałszywy adres e-mail, to znaczy taki, który sami wymyślili. Próbuje „przekonać” redaktorów, że to faktyczny adres, podając imię i nazwisko oraz nawiązując do miejsca pracy potencjalnego recenzenta. Chcą zatem doprowadzić do sytuacji, że to oni sami recenzują własny tekst. Zjawisko to, częstsze w naukach medycznych i ścisłych, obecne jest także w innych obszarach, co ostatnio pokazała zastępca redaktora naczelnego prawniczej „Krytyki Prawa” Małgorzata Skórzewska-Amberg (2022) na przykładzie własnego pisma. Działania takie mogą być wynikiem współpracy autorów z firmami zajmującymi się nieetycznymi działaniami i obiecującymi naukowcom skuteczność publikacyjną. Wylimitowanie tej patologii to w dużej mierze rola redaktorów. To od ich czujności i weryfikacji autorów oraz zgłaszanych przez nich recenzentów może zależeć wykrycie fałszerstwa. Redaktorzy zwykle traktują rekomendacje jedynie jako sposób na powiększanie bazy recenzentów potencjalnie oceniających teksty innych osób niż autorzy. Nie wyklucza to jednak sytuacji, że mało czujny redaktor da się nabrać.

Sami redaktorzy też mogą fałszować procesy recenzenckie, co może wynikać z wątpliwej etycznie „kultury recenzowania”, która każe „lepiej” traktować teksty naukowców o głośnych nazwiskach. Jeśli takie działania zachodzą, należy je uznać za patologiczne i całkowicie odrzucić. Poza tym wątpliwości budzi publikowanie artykułów przez członków redakcji we własnym piśmie – rzecz powszechna w wielu czasopismach polskojęzycznych i ogólnie w wielu obszarach. Wydawcy zwykle nie przekreślają takiej możliwości. Łatwo jednak zrozumieć, dlaczego postrzegać to można jako nieetyczne, ganić i do tego nie dopuszczać. W najgorszym przypadku redakcje powinny jasno informować środowisko – na przykład na stronie internetowej – jaka jest w takiej sytuacji procedura, co dokładnie dzieje się z tekstami zgłaszanymi przez redaktorów, kto się nimi zajmuje i jak wygląda proces recenzencki.

Patologia 2. Praktyki quasi-drapieżne

Praktyki drapieżne, to jest płacenie za artykuły i publikowanie ich z pominięciem rzeczywistych recenzji pomijam – to oczywista patologia. Dużo ostatnio mówi się o praktykach quasi-drapieżnych, szczególnie w kontekście popularnego wśród polskich badaczy wydawnictwa MDPI. Chociaż czaso-

pisma z tej stajni nie są sobie równe pod względem przyjmowanych strategii, to rzeczywiście szereg działań tego wydawcy należy skrytykować. Zastrzeżenia budzą na przykład vouchery obniżające opłaty za publikowanie w MDPI dla najbardziej efektywnych, czyli najwięcej i najszybciej recenzujących naukowców. Negatywnie oceniać można zarzucanie wezwaniom, czasami z tygodniowym lub dziesięciodniowym terminem, czy proponowanie recenzowania w czasopismach spoza obszaru danego naukowca, na przykład medioznawcę czy socjologa zaprasza się do oceniania tekstów w „Molecules” czy „Nutrients”. Tego typu rzeczy zdarzają się wszędzie, problem w tym, że MDPI idzie „na żywioł”.

Patologia 3. Słaba jakość recenzji

Recenzje są nierzetelne, pobieżne i przygotowywane „na odwal”. Na przykład mogą w ogóle nie zawierać oceny badań, być jedynie streszczeniem tekstu, albo może to być ocena niekonkretna, bądź zawierać uwagi personalne czy złośliwości. Przeciętnie przygotowanie starannej recenzji artykułu zajmuje kilka godzin pracy, a nawet cały dzień. Dobry redaktor powinien zatem wykreślać z list recenzentów tych naukowców, którzy ewidentnie nie czytają tekstów, ich recenzje liczą kilka linijek, a rady sprowadzają się do haseł w stylu: „autor jasno formułuje cel, niestety nie do końca go realizuje”. Niedbałość powoduje, że autorom włącza się myślenie, że „recenzje recenzjami, ale i tak wiemy, jak jest”. Stwarza to mechanizm polegający na tym, że po otrzymaniu negatywnej oceny i odrzuceniu manuskryptu wyrzuca się recenzję do kosza i wysyła tekst do kolejnego czasopisma, bo przecież wszyscy naukowcy uczestniczą w wielkiej loterii i może następnym razem trafi się na „lepszego” arbitra. To patologia, która powoduje, że zaczynamy wątpić w sens tego, co robimy. Stąd rola redaktorów, aby dbać o poziom recenzji i ignorować te, które są zdawkowe.

Redaktorzy przyjmują słabe recenzje, bo recenzentów znaleźć jest trudno. Nie powinno to być usprawiedliwieniem, lepiej wprost informować oceniających, czego się od nich wymaga. Recenzenci powinni być zatem proszeni, aby nie oceniać innych, jeśli nie czują się kompetentni w danej problematyce oraz nie będą mogli należycie pochylić się nad tekstem. Warto od nich też wymagać, aby rzeczywiście wskazywali, co i w jaki sposób poprawić, jak inaczej podejść do tematu, w jaki sposób rozszerzyć badania. Muszą być przy tym bardzo precyzyjni, na przykład informować, o który fragment tekstu chodzi, jednym słowem zrobić wszystko, aby ułatwić autorom pracę nad ewentualnymi poprawkami.

Inna sprawa, że czasami jakość publikacji determinuje jakość recenzji, bo trudniej jest recenzować prace o niskim poziomie tak, aby udzielać wskazówek. Dlatego w lepszej sytuacji są redaktorzy pism z niskim odsetkiem sukcesu, prestiżowych, umieszczonych w bazach WoS czy Scopus. Wiele polskojęzycznych czasopism, nawet tych z pokazną liczbą ministerialnych punktów, działa na zasadzie „jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Redakcje nie mogą sobie pozwolić na odrzucanie tekstów przez redaktorów przed recenzjami, tak jak pisma z Impact Factorem, bo nie byłoby czego publikować. W tym kontekście negatywnie należy ocenić manipulowanie ministerialną listą czasopism, tak aby bez podstaw zawyżać punktację polskich czasopism, by „dorównały” tym najlepiej ocenianym globalnie. Wydaje się to kolejnym elementem „psującym” klimat wokół recenzji. Autorzy niższej jakości artykułów otrzymują zdawkowe recenzje i mają poczucie, że jest to rzecz normalna, bo przecież spotykana nawet w przypadku czasopism o wysokiej punktacji ministerialnej.

Opisane aberracje zasługują na potępienie. Jakie są jednak możliwe drogi poprawy systemu peer-review?

Droga 1. System recenzji powinien być bardziej „wymagający”, zarówno dla autorów, jak i recenzentów

Pierwsza droga poprawy systemu polega na uczynieniu go bardziej surowym (niż jest teraz). Ma to być głównie remedium na to, że mimo recenzji cały czas publikowane są prace o miernej jakości czy wręcz opisujące badania obciążone różnymi błędami. Pokazują to projekty z zakresu naukometrii, w których badacze specjalnie umieszczają błędy w tekstach i wysyłają je recenzentom. Na przykład William G. Baxt ze współpracownikami (1998) w tekście *Who Reviews the Reviewers?* pokazał, że recenzenci nie byli w stanie wychwycić dwóch trzecich poważnych niedopatrzeń.

Dowodem na tak rozumianą nieskuteczność systemu peer-review są „afery” dotyczące opublikowanych tekstów zawierających kontrowersyjne czy wręcz błędne konkluzje. Zwykle pod wpływem krytyki badaczy czy medialnego rozgłosu wydawca wycofuje takie artykuły lub w mniejszym bądź większym stopniu je koryguje, czasami przy okazji redaktor naczelny rezygnuje ze swojej funkcji. Jako przykład posłużyć może szereg publikacji wydanych przez wspomniane MDPI. W 2021 roku w „Vaccines” dowodzono „braku jasnych zalet” szczepień na COVID-19, a w 2011 roku w „Nutrients” „puszczono” artykuł o tym, że spożycie słodzonych napojów gazowanych jest bez związku z plagą otyłości w Australii – jak się potem okazało został on napisany na zlecenie lobby producentów tych napojów. Nie tylko MDPI publikuje takie nierzetelne teksty. Głośno przecież było o artykule dowodzącym, że szczepionki wywołują autyzm, opublikowanym w topowym czasopiśmie medycznym „Lancet” i usuniętym dopiero po 12 latach. Tekst ten do tej pory jest „paliwem” dla środowisk antyszczepionkowych. Są to przypadki skrajne, w których niewiarygodność przedstawianych wyników zwraca uwagę społeczności naukowej. Nie wiemy – i trudno to oszacować – ile tak naprawdę publikuje się artykułów z niewykrytymi większymi lub mniejszymi błędami metodologicznymi, teoretycznymi, koncepcyjnymi itd.

Dlaczego recenzenci nie wskazują takich błędów? Jednym z powodów może być nieocenianie danych stojących za artykułem. Tak naprawdę większość czasopism nie wymaga, aby je załączać, składając artykuł. Nawet jeśli są załączone albo upublicznione, nie zostają udostępnione recenzentom, na przykład ze względu na konieczność anonimizacji manuskryptu. Zwykle przyjmuje się, że dane powinno się dostarczyć, jeśli się nas o to poprosi, ale czy rzeczywiście zawsze jesteśmy skłonni, aby to zrobić? Tsuyoshi Miyakawa (2020), redaktor naczelny czasopisma „Molecular Brain” z zaskoczeniem doniósł, że między 2017 a 2020 rokiem spośród 41 złożonych tekstów, wobec których poprosił o dostarczenie surowych danych przed skierowaniem do recenzji, aż 21 zostało przez autorów wycofanych. Udostępnianie danych powinno dotyczyć nie tylko nauk ścisłych, przyrodniczych, medycznych czy społecznych, takich jak socjologia, psychologia czy pedagogika. Artykuły z obszaru humanistyki też związane są z konkretnym procesem badawczym, podczas którego autorzy na przykład pracują na źródłach, a zatem gromadzą dane.

„Zaostrzenie” procesu recenzyjnego może również nastąpić przez upowszechnienie triple-blind review zamiast obecnie najczęściej spotykanego double-blind-review. Nie tylko autorzy i recenzenci nie powinni znać własnej tożsamości, redaktorzy także nie mogą wiedzieć, kim są autorzy. Wstępną obróbką tekstu zajmuje się ktoś z administracji danego wydawnictwa, dostarczając redaktorowi zanonimizowane zgłoszenie. Dopiero na samym końcu ujawniana jest tożsamość autorów. „Zaostrzenie” procesu polegałoby również na zwiększaniu jego trans-

parentności, tj. publikowaniu recenzji tekstów, a nie tylko list recenzentów z danego roku – taki zabieg stosuje na przykład „Nature Communications”. Miałoby to wymóc na recenzentach większą dbałość, zwłaszcza że w skrajnych przypadkach mówi się o ujawnianiu tożsamości recenzentów, co dokładniej omawiam dalej.

Zabiegów czyniących system recenzencki „surowszym” można wskazać więcej, na przykład znane z programów NCN ocenianie danej pracy przez panele eksperckie, podczas których konsultowane są opinie. Droga numer jeden ma jednak zasadniczą wadę. Czyni proces recenzencki jeszcze kosztowniejszym i jeszcze bardziej go wydłuża, choć wcale nie jest to takie pewne, gdyż konieczność poddania się weryfikacji przez dostarczenie

danych może zniechęcać niektórych badaczy do składania artykułów (przynajmniej do wysoko punktowanych czasopism). Istnieją zresztą pomysły „zaostrzenia” procesu mające go przyspieszać. Chodzi o tak zwany cascading peer review polegający na dzieleniu się przez czasopisma recenzjami w przypadku odrzuconych i składanych gdzie indziej tekstów (po to, aby czasopisma zaoszczędziły czas). Jest to jednak problematyczne, ponieważ czasopisma różnią się poziomem recenzji oraz ze względów technicznych. Poza tym autorzy mogą poprawiać manuskrypty i stare recenzje mogą być niezasadne. Być może dlatego jest to praktyka rzadko spotykana, choć istnieją wydawcy w pewnym zakresie ją wdrażający (np. „PLOS”, „Nature”).



Rys. Sławomir Makal

Droga 2. Publikowanie wszystkiego

Jej podstawą jest założenie, że dotychczasowy proces recenzjonki opiera się na złym modelu funkcjonowania nauki. Chodzi o „podejście słabego-ogniwa”, zakładające, że postęp (naukowy, indywidualny, instytucjonalny) zależy od wyłapywania słabej jakości badań i prac, najlepiej w taki sposób, aby ich w ogóle nie upowszechniać. Do tego stopnia, że nic nie szkodzi, jeśli w toku owego wyłapywania przypadnie część dobrych, nowatorskich i niekonwencjonalnych pomysłów. Pojawiać zaczynają się głosy o publikowaniu wszystkiego na zasadzie „dobre pomysły obronią się same”. Jeśli coś jest wartościowe, gwarantuje postęp naukowy, ma wartość praktyczną, zatryumfuje nad słabą nauką, nawet jeśli stanie się to dopiero po pewnym czasie. Opisywane podejście ma sprawić, że dobre pomysły nie przepadną w recenzjach w wyniku „błędów systemu”, poza tym nie wyklucza się z tego systemu nikogo, mali mają takie samo prawo jak duzi, aby wnieść coś istotnego i dokonać przełomu.

Takie są właśnie założenia mechanizmu post-publication peer review. Czasopismo publikuje artykuł bez recenzji po jedynie pobieżnym zatwierdzeniu, że ma do czynienia z tekstem naukowym, po czym wysyła go do recenzji. Oceniający są znani, a ich rekomendacje służą ewentualnemu przygotowaniu kolejnych wersji artykułu. Każda wersja widnieje jako osobna publikacja i powinna być osobno cytowana, podobnie publikowane są wszystkie recenzje. Idea stojąca za takim procesem zakłada, że nie wszystko to, co się publikuje, musi być nowatorskie i oryginalne, wystarczy, że będzie solidne. Dowodzi się, że nie ma zagrożenia publikacją słabych artykułów, bo naukowcy nie będą słabych tekstów składać, obawiając się otwartych recenzji, a nawet jeśli artykuł będzie wadliwy, zostanie jako taki oznaczony. Otwartość recenzji wcale nie powstrzyma oceniających przed surową krytyką, a dodatkowo cały proces będzie niezwykle szybki – tekst pojawia się już w momencie złożenia, co stymuluje dyskusję, a w efekcie efektywność badawczą.

Mimo że istnieją czasopisma (np. „F1000”) stosujące post-publication peer review, nie jest to zbyt popularne i nic nie wskazuje na to, aby się takim stało. Nie do końca bowiem przekonujące są argumenty jego zwolenników. Czy rzeczywiście publikowanie wszystkiego natychmiast i otwarcie będą z korzyścią dla wyłapywania artykułów z przekłamanymi wynikami? Łatwo wyobrazić sobie ogrom tekstów ukazujących się przy dominacji omawianego modelu. Istnienie szeregu topowych czasopism zarządzanych przez specjalistów w swojej dziedzinie, z bardzo surowym systemem recenzjonki, jest jednak lepszym gwarantem jakości. Bo przecież uwaga większości środowiska skupia się właśnie na tych czasopismach i na tekstach w nich publikowanych. Oczywiście być może nie prowadzi to do wyłapania wszystkich błędnych artykułów, ale przynajmniej wykrywa się skrajne przypadki niekompetencji. Czy taka sama sytuacja miałaby miejsce przy kompletnie otwartym systemie post-publication? W moim odczuciu istnieją solidne podstawy, aby w to wątpić. Dodatkowo łatwo wyobrazić sobie chaos, jaki zapanowałby przy ocenie dorobku naukowców. Bardzo trudno byłoby szybko ocenić danego badacza bez gruntownej jakościowej analizy jego prac, jeśli każda miałaby praktycznie identyczny status opublikowanej w pismach, w których wszystko jest publikowane. A przecież takie bardzo dokładne pochylanie się nad publikacjami zwykle nie jest możliwe, a często także niezasadne.

Droga 3. Skupienie się na dobrych praktykach

Jak zatem widać, ani droga pierwsza, ani druga nie rozwiązują sygnalizowanych na początku problemów. Nie znaczy to, że nie powinniśmy z nich czerpać, aby usprawnić proces recen-

zyjny i próbować eliminować jego wady. Uczynienie recenzji surowszymi wydaje się postulatem dobrym, pod warunkiem że autorzy będą mieli furtkę w postaci możliwości publikowania prac przed recenzjami (a więc nawiązanie do drogi drugiej). Tak się już zresztą dzisiaj dzieje w wypadku wypuszczania pre-printów. Wersja tekstu przed recenzją to dobry sposób, aby szybko poinformować społeczność o prowadzonych badaniach, a co za tym idzie, nawiązanie do ideałów post-publication peer review. Jednocześnie mechanizm pre-printów nie jest obciążony wadami tego systemu, bo środowisko wie, że to nie to samo, co już zrecenzowane publikacje. Choć można je cytować, to nie wykazuje się ich w dorobku. Są one właśnie doskonałym sposobem na komunikowanie innym swojej pracy, nawiązywanie współpracy, stymulowanie kreatywności.

Przy wskazywaniu dobrych praktyk warto zwrócić uwagę na sygnalizowaną już ogromną rolę redaktorów, bo to często od nich zależy satysfakcja autorów z przebiegu procesu recenzjonki, nawet jeśli nie zakończy się on dla nich pomyślnie. Wcześniej wskazałem, że redakcja powinna być szczególnie czujna, aby wyłapywać nieuczciwe praktyki. Równie ważna jest dbałość o sprawny przebieg komunikacji. Jeśli autor zaniepokojony tym, co dzieje się z jego tekstem, pisze do redaktora wiadomość z prośbą o informację, warto mu jej udzielić. Dobry redaktor to taki, który zadba o sprawny przebieg komunikacji między autorami a recenzentami. Jeśli redakcja kieruje tekst do dalszej pracy, autorzy powinni mieć możliwość odpowiedzi na recenzje, niezgodzenia się z recenzentami, na przykład przez napisanie listu po poprawkach. Na redaktorze spoczywa obowiązek zapewnienia autora, że widzi nadużycia recenzentów. Powinien na przykład sygnalizować możliwość zlekceważenia różnych uwag, choćby tych, w których recenzent każe cytować własne prace. W naukach medycznych czy ścisłych próbuje się standaryzować recenzje, czyniąc cały proces bardziej obiektywnym. Chodzi o wypracowanie różnych list kontrolnych pozwalających sprawdzać, czy złożony manuskrypt spełnia konkretne wymogi (np. equator-network.org, PRISMA dla przeglądów literatury czy CONSORT dla badań opartych na próbach klinicznych). Zastosowanie konkretnych standardów zawsze wydaje się dobrym pomysłem. Poza tym redaktorzy powinni bezwzględnie reagować, gdy uznają oceny za niekompetentne bądź napisane w złej wierze, zwracając arbitrom uwagę na niegrzeczne sformułowania, a z recenzji usuwać je bądź redagować.

Być może recenzenci powinni być za swoją pracę nagradzani finansowo, choć istnieją badania pokazujące, że wcale nie podnosi to jakości recenzji (Squazzoni et al., 2013). Grozi natomiast patologicznymi sytuacjami masowych recenzji pisanych na szybko i przez akademików nastawionych tylko na taką działalność, niekoniecznie specjalistów w swojej dziedzinie. Być może lepszym pomysłem byłby trening recenzentów, uczenie ich rzetelnego recenzowania. Choć może to także przynosić mierne rezultaty, to jednak oceniający powinni być „nauczeni” reguły: „o konieczności cytowania własnych tekstów poinformuj redakcję nie autora”. Dobrym pomysłem wydaje się natomiast trening samych redaktorów, a także działania mające uświadamiać wagę wspomnianych dobrych praktyk w całym środowisku akademickim. Tutaj liczy się między innymi uświadamianie badaczek i badaczy, że proponowanie czasopismom słabych tekstów z premedytacją i licznie na to, że się „uda”, to zawsze zły pomysł.

Dr hab. Piotr Siuda, profesor w Instytucie Komunikacji Społecznej i Mediów Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Badacz społecznych aspektów technologii informacyjnych. Jest współautorem poradnika „Publikacje naukowe. Praktyczny poradnik dla studentów, doktorantów i nie tylko”.

Drapieźniki w życiu akademickim

Najliczniejszą grupę drapieźników w codziennym życiu akademickim stanowią ci, którzy funkcjonują wprawdzie na lokalnych „podwórkach”, jednak nawet tam potrafią zademonstrować cechy osobnicze i dać się we znaki otoczeniu.

Sporą karierę w środowisku akademickim zrobiło określenie „drapieżne czasopisma”. Rzecz nie w tym, że nie jest ono trafne, lecz w tym, że różnego rodzaju drapieźników w życiu akademickim występuje więcej. Spróbuję wskazać kilka obszarów ich pojawiania się. W każdym z nich stanowią oni środowiskową mniejszość, a niektóre ich rodzaje zdają się być na wymarcu. Jednak dopóki występują, potrafią niezłe utrudnić życie większości.

Cechy drapieźnika

Jeśli ta wypowiedź miałaby charakter naukowy, to powinienem w pierwszej kolejności określić w miarę dokładnie nie tylko obszar występowania takiego drapieźnika, ale także jego cechy charakterystyczne i ewentualnie dodać do tego przekonującą systematykę. Nie pretenduje ona jednak do naukowości. Nie oznacza to, że nie można w niej przywołać kilku cech przypisywanych typowym drapieźnikom. Niektóre z nich są zbieżne z tymi, które charakteryzują akademickiego drapieźnika. Tej zbieżności nie należy jednak traktować dosłownie. A zatem ssaki drapieżne występują na wszystkich kontynentach i cechuje je zarówno zdolność do przetrwania nawet w bardzo trudnych warunkach, jak i pokonania w walce o przetrwanie i zdominowanie słabszych od nich osobników. Jednak już taką cechę jak posiadanie w uzębieniu okazałych łamaczy należy traktować przenośnie, podobnie jak połykanie śliskiego pokarmu bez przeżuwania. Rzecz nie w tym, że akademicki drapieźnik jest ssakiem bezzębnym lub takim, którego uzębienie w wyniku ewolucji utraciło najbardziej przydatną w walce o byt część, lecz w tym, że znajduje się ona raczej w jego duszy, o ile oczywiście coś takiego posiada. Jeśli już jednak posiada, jest to ten rodzaj duszy, który demonstruje obecność w dewizie: dla słabych i nieporadnych zawodowo nie ma, a przynajmniej nie powinno być, miejsca w życiu akademickim. A tym, którzy tego nie chcą lub nie potrafią zrozumieć, akademicki drapieźnik gotów jest pomóc. Pomoc ta może różnie się wyrażać. W każdym jednak przypadku tych, którym została ona udzielona, można nazwać ofiarami drapieźnika.

Drapieźniki w codziennym życiu akademickim

W tym obszarze ich funkcjonowania występują oni nie tylko stosunkowo najczęściej, ale także są najbardziej zróżnicowani.

Zagrożenie, jakie stanowią dla większości, zależy nie tylko od ich cech osobniczych, ale także od miejsca zajmowanego w akademickiej hierarchii. Im drapieźnik stoi w niej wyżej, tym ma większe możliwości grasowania. Najwyżej stoją w niej osoby z tytułami profesorskimi, a w hierarchii administracyjnej rektorzy. Szczególnie groźni mogą być ci, którzy łączą obie hierarchie. Nie twierdzę, że takie połączenie zawsze dodaje drapieźnikowi „skrzydeł”. Zdarza się to bowiem stosunkowo rzadko. Jednak się zdarza i to na niejednej uczelni. Nie będę podawał nazwisk. Powiem jedynie, że jeden z przypadków był stosunkowo niedawno nagłaśniany w mediach: rektor ten uznawał się jednak nie za drapieźnika, lecz za dobrego gospodarza, który robi porządki na uczelni po poprzedniku. Rzecz jasna można dyskutować, czy rektor, który swoje funkcjonowanie zaczyna od wystawienia surowego „rachunku błędów” poprzednikowi, już jest czy też jeszcze nie jest drapieźnikiem.

Drapieźników pojawia się więcej na niższych szczeblach akademickich hierarchii. W czasach tzw. komuny stosunkowo wysoko stały w niej stanowiska partyjne. Do historii przeszła sprawa blokowania na jednej poznańskiej uczelni awansu profesorskiego przez sekretarza uczelnianej organizacji partyjnej (osoby ze stopniem magistra). Jestem przekonany, że nie był to odosobniony przypadek. W okresie pierwszej solidarności pojawili się działacze związkowi, którzy wprawdzie deklaratywnie odcinali się od tzw. komuny, ale na niejednej uczelni ich funkcjonowanie niewiele różniło się od poprzedników. W każdym razie jedni i drudzy kierowali się zasadą: „kto nie jest z nami, jest przeciwko nam”. Nie twierdzę, że stanowili oni większość. Byli jednak mniejszością, która potrafiła realizować zarówno związkowe zadania, jak i pozazwiązkowe aspiracje – na przykład przeforsowanie na kierownicze stanowiska uczelniane swoich kandydatów. Moim zdaniem nie da się obronić twierdzenia, że po przełomie 1989 roku pozbawieni zostali oni najgroźniejszej części „uzębienia”. Co najwyżej zostało ono nieco stępione. Jednak nie na tyle, aby nie mogli blokować decyzji senatów i władz rektorskich wymagających konsultacji z działającymi na uczelni związkami zawodowymi i nie spełniających ich oczekiwań.

Najliczniejszą grupę drapieźników w codziennym życiu akademickim stanowią jednak ci, którzy funkcjonują wpraw-

dzie na lokalnych „podwórkach”, jednak nawet na nich potrafią zademonstrować cechy osobnicze i dać się we znaki otoczeniu. Przez kilka lat byłem członkiem uczelnianej komisji ds. przeciwdziałania dyskryminacji. Rozpatrywaliśmy na niej sprawy, które nawet u jej członków ze sporym akademickim doświadczeniem wywoływały zdumienie. Nie będę wchodził w szczegóły. Powiem jedynie, że często niełatwo było odróżnić akademickiego drapieżnika od jego ofiary. W niejednym przypadku obie strony oczekiwały, że uznane zostaną za ofiarę, a w sytuacji, gdy komisja wskazała tylko jedną z nich, druga strona to kwestionowała. Rozpatrywaliśmy przypadek, w którym ofiarami drapieżnika (osoby ze stopniem magistra i funkcją kierownika podrzędnej jednostki uczelnianej) były osoby spotykające się z jego strony z niesprawiedliwym traktowaniem oraz przemocą słowną (nie do zacytowania). Przed komisją ten drapieżnik zarzekał się na wszystkie świętości, że nic takiego nie miało miejsca, a nawet powołał swoich świadków. Ich zeznaniom komisja nie dała jednak wiary.

Drapieżniki w akademickim ocenianiu

Nie w każdej formie oceniania uczestników życia akademickiego środowiskowy drapieżnik znajduje odpowiednią ofiarę, by zaspokoić swoje potrzeby. Skłonny jestem zaryzykować twier-

dzenie, że stosunkowo najmniej atrakcyjnym obszarem jego występowania jest wynikające z regulacji prawnych ocenianie okresowe pracowników. Na podstawie pełnienia przeze mnie przez osiem lat funkcji dziekana i przewodniczenia w związku z tym komisjom ocen okresowych pracowników akademickich z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że tacy drapieżnicy w tej komisji pojawiali się rzadko. Znacznie częściej były to osoby, które nawet u największych wydziałowych słabeuszy potrafiły znaleźć jakieś pozytywy – jeśli już nie można było ich wskazać w osiągnięciach naukowych czy dydaktycznych, to zawsze pozostawała możliwość usprawiedliwienie słabych wyników problemami osobistymi. Niejednokrotnie spotykało się to z negatywnymi reakcjami wydziałowych drapieżników, którzy twierdzili, że osoby o tak mizernych osiągnięciach powinno się wyrzucić z uczelni na tzw. zbitą twarz, a ich tolerowanie wystawia komisji złe świadectwo.

Szersze pole do działania akademickim drapieżnikom daje ocenianie osiągnięć w procedurach awansowych. Rzecz jasna, o im większą stawkę toczy się batalia, tym bardziej gotowi są oni pokazywać swoją moc. Jest to w jakiejś mierze zrozumiałe. Nie jest bowiem wielką sztuką rozprawienie się z kandydatem na doktora, m.in. dlatego, że taka ofiara często sama nie potrafi się skutecznie bronić, a jej opiekun i promotor nie zawsze gotowy



rys. Sławomir Makal

jest w tym pomóc. Czasami jest jednak tak, że w takiej batalii w mniejszym stopniu chodzi o doktoranta, natomiast w większym o pokazanie „pazurów” promotorowi przez recenzenta. Rzadko kiedy dobrze na tym wychodzi doktorant. Inaczej to wygląda w przypadku kandydata na doktora habilitowanego. Posiada on, a przynajmniej powinien posiadać, większe umiejętności obrony przed oceniającymi go drapieżnikami. W większym też stopniu może liczyć na wsparcie przyjaznego mu otoczenia. Uczestniczyłem w procedurze habilitacyjnej, w której jeden z recenzentów z uporem godnym lepszej sprawy deprecjonował osiągnięcia naukowe habilitanta, a gdy w dyskusji wykazywano, że jego argumenty są słabe, stwierdził, że tak czy inaczej to, co kandydat zaprezentował, odbiega od światowej nauki. Z oczywistych względów rada naukowa nie dyskutowała „światowości” osiągnięć tego recenzenta. Jednak nie oglądając się na jego opinie, nadała stopień doktora habilitowanego. Zdąrza się, że z pozycji agresywnego drapieżnika występuje nie któryś z recenzentów w procedurze habilitacyjnej, lecz osoby będące jedynie członkami komisji. Szczególną agresję wykazują wówczas, gdy w głosowaniu opinii końcowej ich stanowisko nie znajduje uznania. Przewodniczyłem radzie naukowej, na której agresywny członek komisji przedstawił negatywną recenzję (mimo że nie był o to proszony). Zapewne mocno był rozczarowany wynikiem swojego wystąpienia. Jeśli jednak agresor z jakiś względów nie uczestniczy w posiedzeniu rady mającej uprawnienia do nadawania stopnia, to potrafi w niej znaleźć osoby, które go w tej roli chętnie zastąpią. Jeszcze bardziej skomplikowanie wygląda funkcjonowanie drapieżników w procedurach o nadanie tytułu profesora. Wielokrotnie brałem w nich udział jako jeden z opiniodawców. Nie mogę w żadnym razie powiedzieć, że należałem do wydających pozytywne opinie tzw. lekką ręką. Jestem jednak przekonany, że nie należałem również do tych, którzy z reguły wydawali opinie negatywne, a z takimi również miałem do czynienia w tych procedurach. To, że niektóre z ich zastrzeżeń były zasadne, nie oznaczało jeszcze, że zasadna była również skrajnie negatywna ocena końcowa.

Pole do popisywania się swoim „pazurem” środowiskowy drapieżnik znajduje również w recenzowaniu artykułów zgłaszanych do druku w czasopiśmie naukowych. Na temat recenzowania wypowiadałem się szerzej w numerze 11/2021 FA. Od tamtego czasu niewiele się zmieniło na lepsze. Jako redaktor naczelny dwóch takich czasopism (oba znajdują się na ministerialnej liście) nadal zmagam się z napływem tekstów, które ani pod względem formalnym, ani też merytorycznym nie spełniają obowiązujących wymagań. W ich „odsianiu” z reguły konieczne jest odwołanie się do pomocy zewnętrznych recenzentów. Problemem jest nie tyle znalezienie odpowiednich specjalistów, ile nakłonienie ich do podjęcia się obowiązków recenzenta, a jeśli

już się ich podejmują, do napisania recenzji, która świadczy o tym, że artykuł został uważnie przeanalizowany, oraz wskazane zostały w niej zarówno jego mocne, jak i słabe strony. Takich recenzentów nie ma aż tak wielu, aby nie obciążać ciągłymi prośbami stale tych samych osób. Pozostaje zatem zdanie się na tych, którzy są wprawdzie specjalistami w zakresie danej problematyki, ale nie wiadomo, czy zechcą napisać merytoryczną recenzję. Sprawa się komplikuje nie tylko wówczas, gdy recenzent odmówi wykonania zlecenia, ale także wówczas, gdy prześle jednoznacznie negatywną recenzję nie popartą rzeczowymi argumentami. Rzecz jasna, redakcja może ją zignorować. Istnieje jednak spore ryzyko, że zlekceważony opiniodawca upomni się „o swoje”, uogólniając negatywną opinię na całe czasopismo i będzie ją wygłaszał przy różnych okazjach.

Drapieżne czasopisma

W kwestii czasopism powiedziano już tyle, że czuję się zwolniony z obowiązku szerszego przedstawienia tego problemu. Odnoszę jednak wrażenie, że ci, którzy dostrzegają związane z nimi zagrożenia dla nauki, albo czują się bezradni, albo też podejmują kroki jedynie w niewielkim stopniu mogące go rozwiązać. Problem ten nie sprowadza się ani do masowej produkcji „chińszczyzny”, której naukowość budzi poważne wątpliwości, ani też do podtrzymywania przy życiu drapieżnych czasopism publicznymi środkami finansowymi. Zarówno pobierający opłaty, jak wpłacający je nie powinni mieć wątpliwości, że jest to przedsięwzięcie biznesowe, a różnica między nimi polega na tym, że ci pierwsi utrzymują, iż łączy się ono z wysokiego lotu naukowością, natomiast drudzy udają, że w to wierzą; a jeśli nie udają, to albo są naiwni, albo słabo zorientowani. Nie mam pomysłu, jak definitywnie przerwać tę grę pozorów. Mam natomiast pewien pomysł na to, jak ją utrudnić. Moim zdaniem takim utrudnieniem byłoby podniesienie punktacji tym polskim czasopismom, które na liście ministerialnej mają 100 pkt., a podniesienie jej o kolejny próg tym, które obecnie mają 70 pkt, mogłoby sprawić, że drapieżne czasopisma utraciłyby wielu zainteresowanych nimi uczonych. Wykreślenie ich z listy punktowanych czasopism wymaga trudnej do przeprowadzenia procedury uwiarygodnienia formułowanej oceny, natomiast rezygnacja ze sporządzania ministerialnej listy punktowanych czasopism na podstawie obecnie stosowanych wskaźników bibliometrycznych i zastąpienie go systemem ocen zespołów ekspertów obciążone jest dużym ryzykiem pojawienia się w tych zespołach drapieżnych ekspertów, którzy dbaliby przede wszystkim o swoje czasopisma i ewentualnie czasopisma zaprzyjaźnionych osób. Do takich obaw skłaniają dotychczasowe doświadczenia.

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”. Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku. Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł. Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Czytelnia czasopism

Uważajmy na słowa

Mogą zranić, obrazić i skrzywdzić, niezależnie od tego, czy są wypowiedzane intencjonalnie, czy też całkiem bezwiednie. Powtarzane po wielokroć potrafią przyczynić się do utrwalenia szkodliwych stereotypów. O tym, jak wielka moc tkwi w słowach, opowiada pismu Uniwersytetu Opolskiego „Indeks” (nr 9-10/2022), dr hab. Marzena Makuchowska, prof. UO.

Rozmówczyni zwraca uwagę na rolę języka, jako narzędzia gromadzenia i przekazywania wiedzy. Wspomina o mowie nienawiści dyskryminującej różne grupy społeczne, rasy, kobiety czy mniejszości etniczne i wyznaniowe. Wskazuje na problem polegający na tym, „że obecnie w polszczyźnie środki (...) nie tylko ułatwiają formułowanie rasistowskich poglądów, ale i na tym, że powielane niechcący, dla wyrażenia zupełnie innych treści, nawet przez ludzi, którzy nie mają w sobie cienia niechęci dla tej lub jakiegokolwiek innej grupy bliźnich, sączą w umysły toksynę złych skojarzeń, które jakoś kiedyś się odezwą, określą nasze reakcje, uczucia, myślenie (...)”. To nie jest tak, podkreśla, że da się uciec od wzorców wchłoniętych wraz z uczeniem się mowy. Sądy,



które zostają na pewnym etapie zakodowane w mózgu każdej osoby, mogą przejąć władzę nad jej zachowaniem, w efekcie czego będzie ona bezmyślnie powtarzała popularne powiedzonka, które na pozór wydają się śmieszne albo nic nie znaczące, a naprawdę są krzywdzące dla innych. Dlatego tak istotne jest pamiętanie, że po drugiej stronie znajduje się człowiek, którego uczucia można obrazić.

Rozmówczyni zaznacza, że zwracanie uwagi na słowa nie ma nic wspólnego z cenzurowaniem własnych wypowiedzi, ale jest wyłączenie wyrazem empatii i życzliwości wobec każdej jednostki i jej potrzeb. Co ważne, szanowaniu wrażliwości innych osób powinien zawsze towarzyszyć brak obojętności na wszelkie przejawy pojawiającej się w naszym otoczeniu dyskryminacji.

Wyjątkowa chwila

Nie można było sobie wyobrazić lepszego świętowania obchodów dwudziestolecia istnienia Wydziału Transportu i Inżynierii Lotniczej Politechniki Śląskiej niż połączenie zacnego jubileuszu z otwarciem dwóch nowoczesnych pracowni, hamowni podwoziowej i pracowni nowych technologii. Obie jednostki wyposażone zostały w sprzęt, który pozwoli na projektowanie i monitorowanie eksploatacji pojazdów. Ich powstanie



z pewnością przyczyni się do podniesienia jakości kształcenia. Dzięki nim możliwie będzie realizowanie kolejnych PBL (Project-Based Learning). Do tej pory śląska uczelnia przeprowadziła ponad czterysta tego typu nowoczesnych programów edukacyjnych, których istota polega na kształceniu poprzez prowadzenie projektów badawczych.

W planach PŚ jest dalszy rozwój i otwieranie kolejnych innowacyjnych przestrzeni. Na liście znajdziemy pracownię modelarni i pracownię nowoczesnych materiałów kompozytowych w transporcie, jak też otwartą strefę dla studenckich kół naukowych i laboratorium przyszłości transportu z symulatorami ruchu. Te ostatnie urządzenia pozwolą uczelni, wspólnie z miastem Katowice, dokonywać bieżących analiz różnego rodzaju rozwiązań komunikacyjnych. Możliwość zapewnienia posiadane przez symulatory szczegółowe mapy miasta, dzięki którym można będzie monitorować występujące w danym czasie utrudnienia w ruchu. W rezultacie tego rodzaju działań powinno się udać poprawić i usprawnić jakość przemieszczania się po mieście.

Zainteresowanych uzyskaniem większej ilości informacji odsyłamy do lektury „Biuletynu Politechniki Śląskiej” (nr 12/2022).

Niech to będzie ich czas

Na świecie już wiedzą, jak ważną rolę do wypełnienia w obszarze zdrowia mają pielęgniarki badaczki (Clinical Research Nurses). W Stanach Zjednoczonych np. CRN jest uznawana za odrębną specjalizację pielęgniarską. W Polsce, jak zauważa miesięcznik Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego „Gazeta GUMed” (nr 1/2023), naukowy wymiar działalności tej grupy zawodowej bywa niedoceniany w praktyce. W naszym kraju nie funkcjonują bowiem stanowiska kierownicze w naukowych projektach, „które umożliwiałyby zarządzanie procesem translacji wiedzy pomiędzy pielęgniarkami a lekarzami sprawującymi bezpośrednią opiekę nad pacjentem”.



O tym, że warto przejąć inicjatywę mającą na celu wprowadzenie istotnych modyfikacji przekonuje postawa pielęgniarek badaczek z Zakładu Pielęgniarstwa Anestezjologicznego i Intensywnej Opieki

GUMed. To dzięki ich pracy i zaangażowaniu powstały ważne publikacje naukowe oraz opracowane zostały wytyczne mogące stanowić bazę dla placówek medycznych, które zechcą zainicjować wdrożenie procesu zmian istniejących procedur, po to, by finalnie zadbać o poprawę jakości świadczonych usług.

Przyglądając się pozytywnym skutkom działania tej grupy zawodowej, nie można mieć wątpliwości, że nadszedł już czas, aby zacząć dostrzegać pracę pielęgniarek z wyższym stopniem naukowym w środowisku klinicznym. Docelowo chodziłoby o to, aby zbliżyć się do modelu, w którym liczyć się będzie zacieśnianie współpracy w obszarze badań klinicznych między członkami poszczególnych zespołów działających w placówkach ochrony zdrowia, środowiskiem akademickim oraz przemysłem.

Aneta Zawadzka

Systemowe działanie vs. projektowy supermarket?

Uczelnia stała się swoistym „supermarketem” z półkami pełnymi szkoleń dydaktycznych. Mało kto dopasowuje ofertę do rzeczywistych potrzeb nauczyciela akademickiego, mało kto diagnozuje jego zasoby, obszary trudności dydaktycznych, mało kto oferuje systemowe i jednocześnie zindywidualizowane wsparcie.

Dokładnie dziesięć lat temu w rekomendacjach Grupy Wysokiego Szczebla ds. Modernizacji Szkolnictwa Wyższego Komisji Europejskiej pojawił się postulat mówiący o tym, że do roku 2020 wszystkie osoby prowadzące kształcenie studentów powinny odbyć certyfikowane szkolenie pedagogiczne, a doskonalenie w tym obszarze powinno być stałym elementem profesji nauczyciela akademickiego. Rekomendacji tej nie spełniliśmy, ale odpowiedzialnie weszliśmy na drogę wspierania rozwoju kompetencji dydaktycznych kadry akademickiej. Niemal każda uczelnia miała szansę skorzystać z oferty NCBR, by w ramach działającego w latach 2015-2019 programu POWER 3.1 wziąć udział w Programie Rozwoju Kompetencji, a w kolejnych latach w projektach uruchamianych przez Ministerstwo Edukacji i Nauki, jak np. Mistrzowie Dydaktyki czy Doskonałość Dydaktyczna Uczelni. W wielu uczelniach pozyskano fundusze na uruchomienie znakomitych inicjatyw. I za to brawa! Główną wadą projektów jest jednak to, że kiedy się kończą, wygasa źródło finansowania i uczelni najczęściej po prostu nie stać na kontynuowanie podjętych działań. Jednak zarówno brak, jak i nadmiar, szkodzi. Także i w tym przypadku. Uruchamiane przez ostatnią dekadę w poszczególnych uczelniach różnorodne szkolenia dla nauczycieli akademickich, finansowane z co rusz to innych źródeł, innych programów, innych projektów, mogły doprowadzić do pewnego rodzaju przesytu, chaosu i zagubienia samego nauczyciela akademickiego. Uczelnia stała się swoistym „supermarketem” z półkami pełnymi szkoleń dydaktycznych. Mało kto dopasowuje ofertę do rzeczywistych potrzeb nauczyciela akademickiego, mało kto diagnozuje jego zasoby, obszary trudności dydaktycznych, mało kto oferuje systemowe i jednocześnie zindywidualizowane wsparcie. Oparcie działań uczelni na – nazwijmy je – „podejściu projektowym” powoduje, że działa-

nia te stają się najczęściej doraźne, nieuporządkowane, czasem dublujące się lub tworzące luki, na które akurat nie ma źródeł finansowania. Podejście projektowe angażujące wiele różnych podmiotów w jednej uczelni działających w izolacji od siebie, powoduje także rozproszenie informacji, ujawnia niedostatki systemowego charakteru działań. Czy jednak zamiast supermarketu okazynie oferowanych szkoleń możemy zaproponować przemyślany model rozwoju kompetencji nauczyciela akademickiego, oparty na wiedzy i badaniach? A jeśli tak, jaki to może być model?

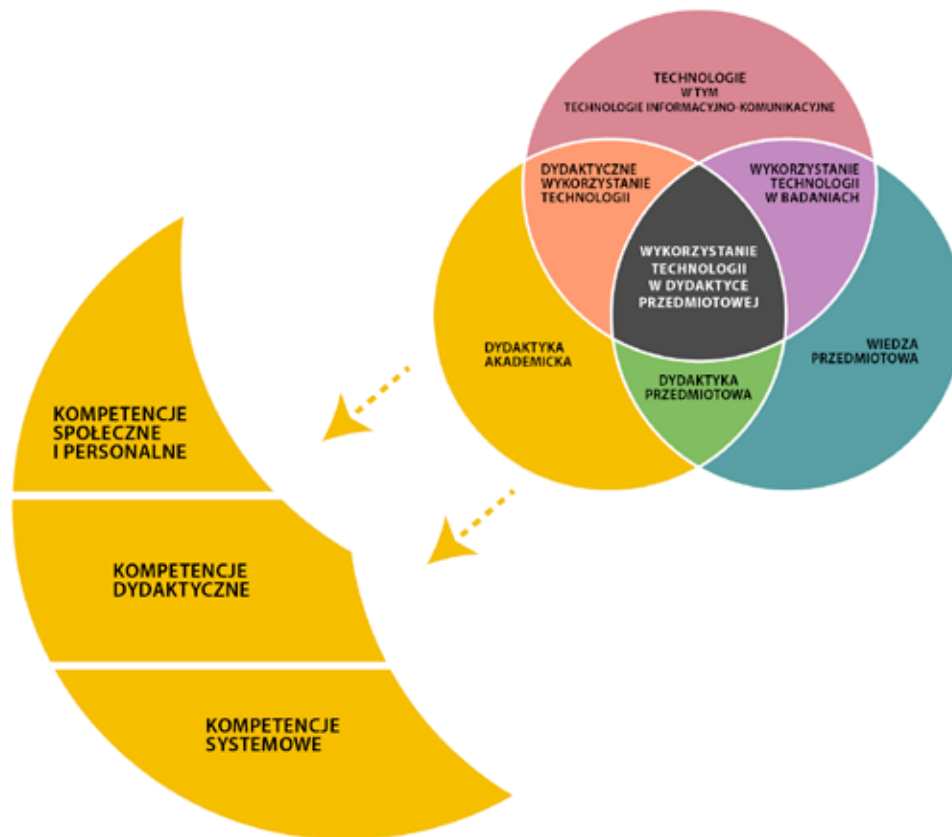
Dwie drogi

Badania teoretyczne i empiryczne w dydaktyce akademickiej, obejmującej swą refleksją także rozwój kompetencji dydaktycznych nauczyciela akademickiego, są dość nowym obszarem eksploracji naukowej. Pokazują jednak wyraźnie, że można wyróżnić przynajmniej dwa podejścia do budowania modeli kompetencji nauczycielskich – wyprowadzanych z teorii lub budowanych na analizie praxis, analizie zadań/wymagań stawianych nauczycielowi. Metaforycznie podejścia te różnią się między sobą tak, jak różni się naturalne drzewo o rozbudowanym systemie korzeniowym od składanej choinki, w której pnium zgodnie z potrzebami i upodobaniami nawiercamy dziurki i wkładamy kolejne gałązki. Budowanie modeli kompetencji opartych na teoriach zakorzenia mocno wyprowadzane kategorie i formuje całe drzewo. Wypracowane modele są trwałe i mają głębokie „życiodajne” uzasadnienia. Druga droga – wyprowadzanie modeli z analizy zadań – może być szybka, ale nie obiecuje uniwersalności i trwałości. Obiecuje za to elastyczność. Pojawia się potrzeba, by nauczyciel posiadał kompetencje cyfrowe, dokładamy gałązkę z kompetencjami cyfrowymi, jeśli potrzeba wygaśnie lub pojawi się inna, gałązki można swo-

bodnie usunąć lub wymienić. Nie mają bowiem trwałego zakorzenienia w teorii.

Przyjrzyjmy się zatem pierwszej drodze. Najbardziej użyteczną teorią do budowania modeli kompetencji jest teoria J. Habermasa, stanowiąca w Polsce podstawę prac R. Kwaśnicy czy A. Męczkowskiej, a pożytkowana także na gruncie niemieckiej dydaktyki akademickiej przez I. Stahr. Nie ma tu oczywiście miejsca na analizę teorii, a każde jej uproszczenie będzie okaleczeniem myśli. Warto jednak zwrócić uwagę, że wyprobowane z teorii społecznej kategorie racjonalności adaptacyjnej i emancypacyjnej oraz działania instrumentalnego i działania komunikacyjnego pozwoliły budowanym modelom nadać wymiar wielopoziomowy. Kompetencje mogą bowiem stanowić nie tylko potencjał adaptacyjny, pozwalający na skuteczne działanie zawodowe, ale i transgresyjny podmiot, będący podstawą rozwoju, porozumiewania się z innymi oraz pełnienia roli zawodowej w sposób świadomy. Bycie nauczycielem akademickim, zdaniem I. Stahr, wymaga nie tylko kompetencji dydaktycznych, metodycznych (specyficznych, związanych z dydaktyką przedmiotu), systemowych (wykorzystywanie systemowych rozwiązań jakie oferuje uczelnia, w tym także posługiwanie się platformami zdalnego nauczania), ale przede wszystkim społecznych (związanych ze sztuką porozumiewania się) oraz osobowych (będących rdzeniem osobistego rozwoju w roli zawodowej, budowania tożsamości zawodowej, formowaniem siebie w roli). W polskiej dydaktyce akademickiej podejście to jest prawie nieobecne zarówno w teoriach, jak i praktykach funkcjonowania uczelni.

Jak pokazują analizy, dominujące w budowaniu modeli kompetencji akademickich jest podejście drugie, czyli analiza praxis, analiza zadań, jakim musi sprostać nauczyciel akademicki. Podejście to pozwoliło na wypracowanie najbardziej znanych w świecie modeli. Przez stulecia wydawało się, że wystarczy być dobrym naukowcem, by skutecznie przekazywać wiedzę studentom. Nie bez znaczenia jest tu użycie pojęcia „przekazywać”. Epoka „przekazywania” jako jedynej drogi nauczania została zanegowana w nowożytniej dydaktyce już ponad sto lat temu. Dydaktyka akademicka jednak pożytkuje tę wiedzę stosunkowo od niedawna. Ciągłe wielu nauczycieli akademickich zaskakują badania udowadniające, że pasywne dzielenie się wiedzą w postaci wykładów nie jest specjalnie skuteczną metodą kształcenia i to zarówno budowania wiedzy studenta, jak i rozwoju jego umiejętności. Dlatego już przeszło trzydzieści lat temu w krajach anglojęzycznych zwrócono uwagę na konieczność wspierania rozwoju nauczycieli w zakresie umiejętności stosowania metod wymagających samodzielnej pracy studentów, organizacji pracy grupowej, projektowania kursów, ich ewaluacji, motywowania studentów etc. Głos zabrali także przedstawiciele dydaktyki przedmiotowych (szczegółowych), związanych z kształceniem danych przedmiotów lub na danym kierunku. W latach 80. L.S. Shulman zasygnalizował potrzebę posiadania przez nauczyciela dodatkowej wiedzy, którą nazwał tzw. Pedagogical Content Knowledge (PCK), a która obejmuje m.in. znajomość metod kształcenia typowych dla danego przedmiotu/kierunku. Powstał w ten sposób model składający się z dwóch obszarów, zazębiających się w dydaktyce



Rys 1. Model kompetencji nauczyciela akademickiego wypracowany na Uniwersytecie Jagiellońskim

Źródło: Opracowanie własne (I. Maciejowska, A. Sajdak-Burska) na podstawie: Mishra, P., & Koehler, M.J. (2006). *Technological Pedagogical Content Knowledge: A Framework for Teacher Knowledge*. Teachers College Record, 108, 1017-1054; Stahr I. (2009). *Academic Staff Development: Entwicklung von Lehrkompetenz*. [in:] *Wander der Lehr- und Lernkulturen*, R. Schneider, B. Szczyrba, U. Welbers, J. Wildt (Hrsg.), W. Bertemann Verlag, Bielefeld, s. 80. Opracowanie graficzne W. Pudło.

szczegółowej kompetencji potrzebnych do odpowiedzi na dwa pytania: czego uczyć? oraz jak uczyć? W 2006 roku do modelu kompetencji PCK kanadyjscy wykładowcy i badacze P. Mishra i M.J. Koehler dodali wiedzę z zakresu technologii, jej stosowania w danej dyscyplinie (np. rejestracja i analiza danych), w ogólnym podejściu do kształcenia (np. komunikacja synchroniczna i asynchroniczna, budowanie elektronicznych narzędzi oceny, projektowanie interaktywnych form zajęć zdalnych) oraz w nauczaniu konkretnego przedmiotu (np. metody wizualizacji treści przedmiotowych, organizacja zdalnych laboratoriów studenckich), tworząc najbardziej upowszechniony w literaturze anglojęzycznej model TPACK. Ma on jednak wiele niedoskonałości, w tym zbytnią ogólnikowość. Precyzyjnie wskazuje trzy zakresy przenikania się wiedzy przedmiotowej (czego uczyć?), pedagogicznej (jak uczyć?) oraz technologicznej (jak wykorzystać do tych procesów nowoczesne technologie?). Milcząco pomija jednak takie pytania jak np.: Jakim jestem nauczycielem? Co to dla mnie oznacza? Co mogę zrobić, by moje bycie nauczycielem przynosiło mi więcej satysfakcji? Co mogę zrobić, by rozwijać siebie i innych?

Własny model

Myśląc na Uniwersytecie Jagiellońskim o zbudowaniu systemowego wsparcia nauczyciela akademickiego, opartego na świadomie przyjętym jego modelu kompetencji, zapytaliśmy inne ośrodki akademickie w Polsce i na świecie o to, jakie modele stosują. Analiza wyników uzyskanych drogą ankiety pokazała, że prawie 50% badanych uniwersytetów w Europie stosuje model PCK lub TPACK. Wśród wyników pojawiły się także wskazania SoTL, tj. naukowe podejście do nauczania i uczenia się (ang. a scholarly approach to teaching and learning) lub EBTL – kształcenie oparte na dowodach, podobnie jak w medycynie (ang. evidence based teaching and learning) oraz DigCompEdu (Europejskie ramy kompetencji cyfrowych dla nauczycieli). W Holandii i Wielkiej Brytanii wskazano na wypracowane na gruncie narodowym autorskie modele. Podejmując pracę nad przygotowaniem systemu certyfikacji kompetencji dydaktycznych nauczycieli akademickich, postanowiliśmy opracować także własny model, który nie tylko operacyjnie połączy podejście teoretyczne i praktyczne – zadaniowe (Rys. 1), ale przede wszystkim będzie odpowiadał naszemu myśleniu o nauczycielu akademickim jako osobie podejmującej świadomą refleksję nad rolą oraz swoim byciem w roli i wspólnie ze studentami.

Funkcjonujący i najbardziej rozpoznawalny w świecie model TPACK twórczo rozwinęliśmy, korzystając z inspiracji niemieckiej propozycji I. Stahr. Model ten po rozbudowaniu jest w naszej opinii najbardziej zaawansowany i holistyczny. Czytelnik z łatwością dotrze do opisu oryginału, warto pokazać jednak nasze rozwinięcie. Część opisaną przez P. Mishre i M.J. Koehlera jako Pedagogical Knowledge (PK) nazwaliśmy „dydaktyką akademicką” i dookreśliśmy jej trzy części:

Kompetencje dydaktyczne – połączyliśmy kompetencje związane z tzw. ogólną dydaktyką akademicką. Ten obszar kompetencji w warstwie instrumentalnej buduje wiedza, umiejętności z zakresu podejścia Student Centered Learning, charakterystyki uczenia się osób dorosłych, konstruowania efektów uczenia się, strategii, metod i technik nauczania-uczenia się, ewaluacji pracy własnej i studenta, stosowania środków kształcenia, aranżacji przestrzeni kształcenia, strategii indywidualnej pracy ze studentami (tutoring akademicki). W warstwie osobowej kompetencje te buduje m.in. akceptacja podejścia SCL w dydaktyce akademickiej, nastawienie na elastyczność, różnorodność i alternatywność w organizowaniu sytuacji uczenia się studentów, na potrzebę

budzenia zainteresowania przedmiotem, na wsparcie studenta w procesie jego studiowania, budowanie przyjaznego środowiska uczenia się, nastawienie na doskonalenie własnego warsztatu dydaktycznego w oparciu o wyniki ewaluacji, na rozwiązywanie problemów i konstruktywne pokonywanie przeszkód, przekonanie o wartości wiedzy dydaktycznej jako podstawie działań dydaktycznych (analogicznie jak w modelu SoTL), nastawienie na innowacyjność w stosowaniu rozwiązań dydaktycznych, samodzielność i autonomia w decyzjach dydaktycznych.

Kompetencje społeczne i personalne nauczyciela akademickiego stanowią podstawę jego umiejętności budowania relacji interpersonalnych ze studentami, ukierunkowanych na procesy rozumienia, porozumienia, zmiany perspektywy poznawczej, prowadzenia grupy (w tym grupy wielokulturowej czy pracy ze studentami o zróżnicowanych potrzebach edukacyjnych), rozwiązywania konfliktów, wykorzystywania elementów mediacji i negocjacji. Kompetencje personalne, osobowe stanowią swego rodzaju „centrum sterowania”. Związane są z postrzeganiem siebie w roli zawodowej, z tożsamością i identyfikacją zawodową. W zależności od sposobu postrzegania świata jako przedmiotu własnego sprawstwa, poddającego się panowaniu i kontroli lub też siebie i świata jako całości domagającej się refleksyjnego stawiania pytań o sens, rozumienie, interpretowanie świata i prawomocność własnych w nim działań każde działanie dydaktyczne może przybierać charakter instrumentalny, techniczny, adaptacyjny lub twórczy, refleksyjny, emancypacyjny.

Kompetencje systemowe, które opierają się na znajomości systemowych warunków procesu nauczania i uczenia się, jakie tworzone są na danej uczelni oraz umiejętności ich wykorzystywania i samodzielnego tworzenia. To dosyć trudny do sprecyzowania rodzaj kompetencji do nauczania, gdyż wyrażać się może zarówno wiedzą na temat przepisów regulujących proces dydaktyczny na uczelni, technicznym opanowaniem systemowych powinności, które przynależą do procesu kształcenia (sylabusy, usos), umiejętnościami budowania modułów kształcenia, programów kształcenia (w obszarze danej dyscypliny i międzykierunkowych, interdyscyplinarnych), jak i umiejętnościami doradztwa studentom w zakresie np. tworzenia indywidualnych planów studiów, ścieżek rozwojowych przy wykorzystaniu zasobów zgromadzonych w ramach systemu.

Jesteśmy w trakcie dookreślania szczegółowych zakresów wszystkich obszarów kompetencji i dokonywania rozstrzygnięć, które z nich stanowią bazę pracy dydaktycznej, czyli są konieczne dla każdego nauczyciela akademickiego, a które pozwolą na budowanie ścieżek rozwoju. Mamy nadzieję, że zbudowany model posłuży nam z jednej strony do uporządkowania bardzo bogatej i niezwykle rozbudowanej oferty kursów i innych aktywności, skierowanych na Uniwersytecie Jagiellońskim do nauczycieli akademickich, z drugiej do wyznaczenia poziomów certyfikacji dydaktycznej na ścieżce rozwoju w tym obszarze. Chcemy uporządkować supermarket, tak by nauczyciel akademicki wybierał świadomie, a podstawą jego wyboru nie było kolorowe opakowanie, lecz staranna analiza potrzeb. Mamy też nadzieję (a ta ponoć umiera ostatnia), że wypracowane efekty pracy całego zespołu pozostaną dłużej na uczelni niż projekt, który szybko przemija.

Dr hab. Anna Sajdak-Burska, prof. UJ, pedagogika, specjalistka z zakresu dydaktyki akademickiej, kierowniczka projektu Doskonałość Dydaktyczna Uczelni w UJ

Dr Iwona Maciejowska, prof. UJ, chemiczka, specjalistka z zakresu dydaktyki chemii, kierowniczka projektu STEM-CPD@EUJ

Rozmowa z dr. Przemysławem Wachowskim, rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi

ŁÓDŹ dawna, ŁÓDŹ nowa

Uczono mnie kontynuacji pewnych tradycji, ale świat się zmienia i trzeba także otwierać się na nowe wyzwania.

Jakie są najważniejsze kierunki rozwoju łódzkiej ASP od czasu upadku przemysłu tekstylnego w Łodzi?

W latach 80., gdy rozpoczynałem studia, tkanina i ubiór były w łódzkiej szkole bardzo istotnymi kierunkami kształcenia. Zresztą do dziś zdecydowanie wyróżniają nas na mapie polskich szkół artystycznych. Podczas ostatniego Young Textile Art Triennale wspominałem uczelnię z czasów studenckich i kolegów zajmujących się tkaniną, którzy zdobywali nagrody w konkursach im. Władysława Strzemińskiego. Nad moim biurkiem w Akademii wisi praca zrealizowana w 1969 roku pod kierunkiem prof. Antoniego Starczewskiego, która oddaje ducha szkoły i jest bardzo reprezentatywna dla twórczości z tego okresu.

Z bezpośrednich relacji kolegów wiem, że gdy mieli do wyboru jako specjalizację ubiór albo tkaninę, chętnie wybierali tę drugą możliwość. Tkanina zdecydowanie bardziej kojarzyła się z działalnością czysto artystyczną, bliską choćby malarstwu. Z kolei absolwenci ubioru przeważnie podejmowali pracę w dużych fabrykach. O, tam za oknem widać budynek dawnych zakładów Feniks, gdzie produkowano pończochy i skarpetki. Dla ówczesnych studentów nie była to zbyt atrakcyjna perspektywa.

Upadek fabryk i masowej produkcji wpłynął na bardziej kreatywne podejście do ubioru?

Pamiętam jak zaraz po maturze zatrudniłem się w elektrociepłowni. Dojeżdżałem na pierwszą zmianę wraz z tłumem tkaczek, które o tej samej porze rozpoczynały pracę w fabrykach. Ówczesna masowa produkcja nie kojarzyła się jednak z polem popisu dla projektantów. Obecnie ten świat zmienił się radykalnie, ubiór stał się atrakcyjniejszy, proprzyszłościowy. Teraz moda to media, popularność, wielki świat i duże pieniądze. To pociąga młodych ludzi.

A tkanina?

Tkanina straciła trochę na znaczeniu. Oczywiście absolutnie nie pod względem artystycznym, tylko popularności wśród kandydatów na studia, którzy obecnie są nastawieni bardzo pragmatycznie i ich wybory wiążą się z wyraźną wizją przyszłości zawodowej.

Oficjalna narracja związana z początkami łódzkiej akademii wskazuje na postać Władysława Strzemińskiego oraz inspiracje Bauhausem. Czy te tropy mają znaczenie w obecnej rzeczywistości?

Gdy byłem dziekanem, przez wiele lat wisiał w moim pokoju plakat prof. Sławomira Iwańskiego z hasłem „Bau-

haus”, ponieważ odczytywałem pewną tęsknotę za tego rodzaju kształceniem, czyli łączeniem rzemiosła ze sztuką, umiejętności praktycznych z polem popisu dla wyobraźni. Kiedyś umiejętności warsztatowe i znajomość technologii były bardzo cenione, przeciętnie artyści dużo więcej wiedzieli na temat technik, którymi się posługują. W pewnym momencie hasło „sztuka” zaczęło interpretować tak, że skoro jesteście artystami, to nie utożsamiajcie nas z rzemiosłem i nie uważajcie za rzemieślników. A jednocześnie w kształceniu artystycznym często powołujemy się na relację mistrz – uczeń, która wywodzi się z kształcenia cechowego. Jest w tym pewien paradoks.

Czasami w imię „nowoczesności” próbuje się odchodzić od takiego modelu kształcenia.

Jednak wracamy i studenci także przekonują się do tego typu edukacji. Uważam za istotne, aby w praktyce poznawali to, czego się uczą w pracowniach. Choć przełożyć malarstwo sztalugowe na jakieś działania praktyczne nie jest tak łatwo jak np. rzeźbę. Rzeźbiarz powinien praktykować u kamieniarza, a np. animacja lalkowa nauczana tylko teoretycznie, bez możliwości zrobienia tej lalki, wyjścia na plan, uczestniczenia w całym procesie realizacyjnym, mija się z celem. Można co prawda zrobić świetną animację posługując się tylko papierem i ołówkiem, ale chyba nie o to chodzi.

Mówiąc o najważniejszych kierunkach rozwoju, nadal podkreślam znaczenie ubioru oraz tkaniny. Zmiany wprowadzane na uczelni były związane nie tylko z przemianami w przemyśle, ale także z tym, co działo się w świecie edukacji. W połowie lat 80., podczas pierwszej rekrutacji na Wydział Wychowania Plastycznego, na 20 miejsc przypadało 300 kandydatów z całej Polski. Wydział utworzono w związku z zapotrzebowaniem na profesjonalnie wykształconych nauczycieli – artystów, którzy mieli prowadzić lekcje wychowania plastycznego w szkołach podstawowych i średnich. Była to wspólna idea, która z założenia miała podnieść społeczną rangę sztuki i twórców. Na początku wydział miał spore powodzenie, pojawiło się wielu świetnych absolwentów. Pisemne prace dyplomowe musiały mieć poziom uniwersytecki i wymagały dużego wysiłku intelektualnego, nikomu nic nie ujmując. Choć większość studentów nie widziała siebie w przyszłości w roli nauczyciela, to życie pokazało, że uprawnienia zawodowe przydały się niejednemu z nich. Jednak na przełomie wieków łączenie studiowania sztuki z elementami studiów pedagogicznych okazało się kiepskim magnesem dla kandydatów.

Z planów szkolnych zaczęły też znikać takie przedmioty jak wychowanie plastyczne czy wychowanie muzyczne.

Pojawiły się także problemy ze standardami kształcenia nauczycieli. Nie dziwię się dyrektorom, którzy mając do wyboru, aby przedmiot „sztuka” prowadzili plastycy lub muzycy, wybierali tych drugich. Muzyk nie dość, że zagra na szkolnej akademii, to jeszcze można go przysposobić, aby zrobił gazetkę ścienną. Sytuacja wydziału poprawiła się, gdy ministerstwo wyszło z propozycją kształcenia specjalistów na potrzeby teatru, filmu czy przemysłu widowiskowego i przeznaczyło na ten cel pewne środki finansowe. Zainicjowało to proces powstania nowych specjalności jak np. techniki teatralne, telewizyjne i filmowe, animacja czy fotografia i multimedia, które z czasem zaczęły przekształcać się w kierunki. Na kierunku animacja rozwinęło się wiele specjalistycznych pracowni, jak Pracownia Animacji Lalkowej, Pracownia Filmu Animowanego, Realizacji Filmowej i Telewizyjnej i inne. Animacja, szczególnie animacja lakowa, stała się dla naszej uczelni czymś tak charakterystycznym jak kiedyś tkanina i ubiór. Nasi absolwenci uczestniczyli w wielu produkcjach filmowych, współpracując m.in. ze studiem Se-ma-for, a później BreakThru Films, gdzie powstał nagrodzony Oscarem *Piotruś i wilk*, współpracowali



też m.in. przy realizacji filmu *Twój Vincent*. Mamy świetnych fachowców, do naszego studia przy ul. Franciszkańskiej zjeżdżają twórcy animacji z całej Europy, a lalki wykonane przez naszych pracowników i absolwentów pojawiają się później w filmach Wesa Andersona czy innych znakomitości. Od chwili powstania nowych specjalności stale współpracujemy z wykładowcami z uczelni filmowych.

Przed laty, jeszcze jako dziekan, rozmawiałem na temat współpracy ze Zbigniewem Żmudzkim, prezesem Se-ma-fora. Przyznał, że nasi studenci bardzo dobrze rysują, ale jak rysują misia, to powinni narysować mu ucho, a nie kilka kresek, które nic nie znaczą dla konstruktora. Okazało się, że problemem mogą być różnice pomiędzy kształceniem artystów a potrzebami rynku.

Udało się znaleźć wyjście?

Tak, ale to była także kwestia przekonania pedagogów. Od lat prowadzona jest dyskusja czy w zakresie rysunku albo malarstwa kształcić wszystkich jednakowo, czy zgodnie ze specjalizacją. Teraz przeważa pogląd, że jeżeli chcemy wykształcić wysokiej klasy specjalistów, to jednak powinniśmy zróżnicować ćwiczenia i wprowadzić inne dla rzeźbiarzy, a inne np. dla animatorów. Jest to trudne, mnie uczyono kontynuacji pewnych tradycji, ale świat się zmienia i trzeba otwierać się na nowe wyzwania. Mamy też kierunek nowe media. Początkowo obawiałem się o rekrutację, gdyż kształcenie wiąże się m.in. z przekazywaniem wiedzy o zaawansowanych technologiach w zakresie interaktywnych mediów cyfrowych, o sztuce algorytmicznej i generatywnej. Jednak taki program nie zniechęcił kandydatów, wręcz przeciwnie.

Ustawa 2.0 zwiększyła kompetencje rektorów. Pan w swoim programie wyborczym stwierdził: „Ponieważ znam z autopsji skomplikowany proces zarządzania uczelnią, wiem, że nie da się nią zarządzać jednoosobowo”. Czy jako rektor wprowadził pan mechanizmy demokratyzujące wspomniany proces?

Pamiętam jak w czasie dyskusji o kompetencjach dziekana jeden z kolegów powiedział, że dziekan nie powinien decydować o tym, jaką śrubkę kupić, żeby naprawić bramę. Nie mam skłonności do decydowania o wszystkim, często mówię pracownikom pełniącym na uczelni różne funkcje: „ja wam ufam, wierzę w wasze kompetencje, zadcycujcie, na pewno zrobicie dobrze, a jak się pomylicie, to was nie zastrzelę”. Oczywiście musi być jakaś kontrola, ale w wielu sprawach, na różnych poziomach można decydować łatwo i szybko, co bardzo usprawnia pracę.

A jak to wygląda od strony formalnej? Ustawa umożliwiła znaczne ograniczenie funkcji dziekanów, a nawet rezygnację z prowadzenia wydziałów.

Znaczącą zmianę struktury przeszliśmy na rok przed wprowadzeniem ustawy, jeszcze zanim powierzono mi funkcję rektora. Obecnie prowadzimy studia na dwóch wydziałach. Faktem jest, że ustawa daje duże możliwości rektorowi, jeśli chodzi o zbudowanie swojego zaplecza i kadry zarządzającej. Statut wprowadza mechanizmy demokratyzujące, gdyż nakłada obowiązek zasięgnięcia opinii senatu i innych gremiów. Na początku mojej kadencji mieliśmy 12 instytutów. Jak to wynika z zapisów statutu, kandydaci na ich dyrektorów wyłaniani są spośród nauczycieli danej jednostki. Zaakceptowałem wszystkich proponowanych kandydatów, chciałem w ten sposób okazać zaufanie, dać do zrozumienia, że liczę się z opinią tych społeczności.

Reforma wynikała między innymi z tego, że – jak słyszałem z różnych relacji – zdarzały się na uczelniach przypadki wyboru dziekana przez społeczność wydziałową w wyraźnej opozycji wobec rektora.



Fot. Archiwum ASP

Historie gier interpersonalnych...

Tak, ale nie tylko. Chodzi przecież o możliwość współpracy, rozwiązywania różnych spraw w dobrze pojętym interesie uczelni. Czasami można mieć do czynienia z hamulcowymi, z opozycją, która nie zawsze musi być konstruktywna. Zgodnie z zasadą „nie, bo nie”. Takie sytuacje zawsze będą istniały, ale tu zmierzam do drugiego mechanizmu, jakim jest możliwość odwołania z funkcji kierowniczej, co nie jest niczym niezwykłym, jeżeli zachodzą poważne powody i weryfikacja działań danego dyrektora jest negatywna. Ale w tym przypadku także może być istotna opinia kolegium. Na demokratyzację procesu zarządzania wpłynęło także zwiększenie liczby prodziekanów do trzech osób w ramach wydziału. Prodziekani mogą odciążać zapracowanych dziekanów, także w procesach decyzyjnych, bo przecież nie ma człowieka, który zna się na wszystkim. Statut zakłada, że wszystkie sprawy ważne dla rozwoju uczelni omawiamy na posiedzeniach Senatu. Opiniowanie tych spraw przez Senat traktuję bardzo poważnie, nie rzucam tylko haseł i nie poddaję ich od razu pod głosowanie. Kolejnym ważnym organem jest Rada Uczelni. Są różne zdania na jej temat, ale my nie możemy narzekać, mamy radę zaangażowaną, złożoną z bardzo kompetentnych osób, jak jej przewodniczący, dr inż. Jacek Michalak, wiceprezes zarządu Grupy Atlas, który jako biznesmen jest biegły także w sprawach finansowych – rozumie co mówi kwestor, co oznacza bilans, co oznacza strata, która nie musi być stratą w sensie ścisłym, a to nie dla wszystkich jest jasne. Uczelnia może być w dobrej kondycji finansowej, a wykazać stratę, jeśli w danej chwili wydaliśmy więcej niż otrzymaliśmy z ministerstwa. Jest też w radzie prawnik, prof. Agata Młynarska-Sobnaczevska, której zdanie jest bardzo ważne, gdy np. w grę wchodzi korekta statutu. Mam poczucie bezpieczeństwa, jeśli mogę wysłuchać opinii tego gremium jeszcze przed postawieniem spraw na Senacie.

„Po niespokojnych latach wprowadzania procesu bolońskiego, Ustawy 2.0, nowego Statutu i struktury Akademia zasługuje na spokój sprzyjający codziennej pracy, twórczości i nauce” – to także cytat z pańskiego programu wyborczego. Czy sytuacja szkolnictwa wyższego w roku akademickim 2022/23 sprzyja spokojnej pracy?

Sama pani dziś widziała, jak to jest z tym spokojem – rady, obrady, spotkania się przedłużają...

Nie miałam na myśli świętego spokoju.

Czasami z takiego pędu coś dobrego wynika i wieczorem można mieć satysfakcję, że tyle spraw udało się załatwić. A jeśli chodzi o sytuację zewnętrzną – trudno o spokój, gdy mamy wojnę na Ukrainie. Jak wiele innych uczelni bardzo zaangażowaliśmy się w pomoc, chociażby przez różne aukcje na rzecz uchodźców. Od początku wojny prowadzimy akcję tkania siatek maskujących, którą zainicjowała dr hab. Izabela Stronias z Instytutu Ubioru. W każdej chwili można przyjść do pracowni i pomóc w tej pracy. Zaopiekowaliśmy się także studentkami z kilku ukraińskich uczelni artystycznych, udostępniłyśmy im miejsca w naszych akademikach, pomagamy w różnych potrzebach. W niektórych przypadkach mają u nas możliwość studiowania równoległego. W czerwcu, podczas obrad Konferencji Rektorów Uczelni Artystycznych, rektorzy uczelni plastycznych spotkali się w krakowskiej ASP z rektorami, którzy mogli dojechać z Ukrainy. Bardzo dziękowali nam za pomoc, ale też otwarcie rozmawialiśmy o różnych problemach. Specyfika naszych uczelni jest nieco inna, czasami nie spełniamy ich oczekiwań albo z kolei nasze wymagania są zbyt duże. Nie o to chodzi, żeby się dopasowywać. Te uczelnie także muszą mieć studentów, bo to jest podstawą ich istnienia. W przypadku przyjęć na polskie akademie wspólnie ustaliliśmy zasady związane z rekomendacją i selekcją kandydatów.

A jak obecna sytuacja gospodarcza wpływa na funkcjonowanie uczelni?

Co tu komentować, subwencja się nie zmienia, podczas gdy inflacja zbliża się do 20%, więc jak zachować spokój i planować dodatni bilans? Wszystkie uczelnie mierzą się z tym problemem i myślę, że nasza sytuacja nie jest jeszcze najgorsza. Planujemy pewne oszczędności, ale nie możemy naruszać tradycji kształcenia i zaprzeczać temu, co uczelnia artystyczna powinna oferować studentom. Najbardziej naturalnym ruchem jest ograniczenie dostępności pomieszczeń w okresie świątecznym, jednak nie chciałbym na dłużej zamykać uczelni przed studentami, gdyż trudno byłoby zachować poziom kształcenia czy doprowadzić do realizacji dyplomów. Są plany związane z obniżeniem temperatury pomieszczeń w późniejszych godzinach i w weekendy. Jednak prowadzimy wtedy bardzo atrakcyjne studia podyplomowe z kwalifikacjami cząstkowymi i musimy

zachować komfort studiowania. Podobnie jak inne uczelnie próbujemy wykorzystać doświadczenia związane z kształceniem on-line. Część wykładów bez szkody dla studentów można przeprowadzić w ten sposób.

Jakie ma pan refleksje związane z ostatnią ewaluacją?

Mocno się do niej przykładaliśmy. Ewaluacja jest elementem bardzo integrującym społeczność uczelnianą, do wielu dotarło, że są częścią większej całości, że działania każdego z nas mają przełożenie na sytuację całej uczelni, że mamy wspólny cel. Dostaliśmy ocenę A, a więc doskonale – prawdziwe święto i brokat, tylko gdzie te pieniądze? Jak utrzymać wysoką motywację zaangażowanych pracowników? Wspomnę jeszcze, że pomimo konkurencyjności związanej m.in. z ewaluacją, atmosfera spotkań Konferencji Rektorów Uczelni Artystycznych jest bardzo dobra. Mam wrażenie, że się lubimy, mamy świadomość, że – mówiąc kolokwialnie – jedziemy na tym samym wózku. Daje się zauważyć, że ostatnimi laty pozycja KRUA wzrosła, także dlatego, że udało się opracować przepisy ewaluacyjne dostosowane choć w pewnym stopniu do wymogów szkolnictwa artystycznego. Uczestniczyłem kiedyś we wprowadzaniu reform systemu bolońskiego, jeździłem na seminaria i spotkania, gdzie była najczęściej mowa o wszystkim, tylko nie o sztuce. Niedopasowanie sztuki do biurokratycznych ram jest widoczne od zawsze. Te wszystkie ECTS-y, z góry założone efekty kształcenia czy konieczność ścisłej weryfikacji kompetencji społecznych np. studentów malarstwa...

Prowadzi pan Pracownię Plastyki i Teorii Koloru, która programowo odwołuje się do koncepcji linearnego rozwoju sztuki sformułowanej przez Władysława Strzemińskiego. W jaki sposób realizuje ją pan w pracy ze studentami?

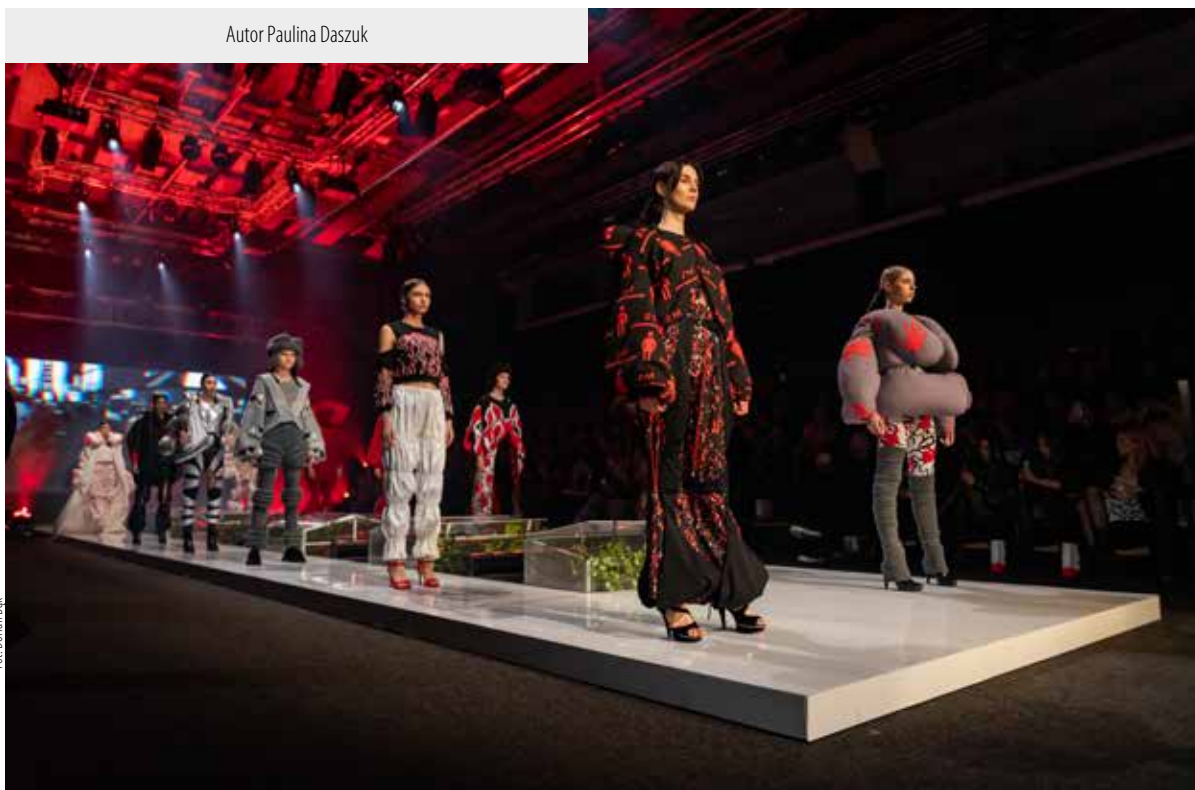
Uśmiech pojawia mi się na twarzy, gdy wspomina pani o Pracowni Plastyki i Teorii Koloru oraz o koncepcji Strzemińskiego, bo nasz program został w zasadzie napisany przez mojego byłego szefa, prof. Włodzimierza Stelmaszczyka, z którym wiele lat prowadziliśmy pracownię. Cieszę się, że mogę kontynuować i rozwijać jego program. W ogóle to miałem wielkie szczęście do szefów. Pierwszy z nich to prof. Jacek Bigoszewski, zmarły w 1997 roku, mój promotor, mentor i wspaiała postać w historii akademii. Bardzo skrupulatny, zawsze

miał perfekcyjnie opracowany program i starannie opisane zestawy ćwiczeń. Piękne czasy studiów, spędzaliśmy całe dni w pracowniach, bo przedmiotów artystycznych było więcej niż obecnie.

Programy kształcenia na kierunkach artystycznych określane były dosyć swobodnie.

To były czasy standardów programowych, ale wychodzono poza nie, zakładając, że więcej godzin uprawiania sztuki nie zaszkodzi. Przepisy określały pewne minimum, które zawsze przekraczaliśmy, aby dać studentom czas na dobre zapoznanie się z warsztatem. Kolejnym moim przełożonym był prof. Tadeusz Wolański, chodząca historia szkoły i w jakimś sensie przeciwnieństwo Jacka Bigoszewskiego, uważał bowiem, że nawet najlepiej skonstruowany program nie da tyle co ciekawość świata, chęć zostania artystą, kontakt studenta z autorytetami. Potem pracowałem ze wspomnianym już prof. Stelmaszczykiem, ostatnim asystentem prof. Romana Modzelewskiego. Program, który napisał, wiązał się z doświadczeniami wyniesionymi ze współpracy z Modzelewskim. Koncepcja linearnego rozwoju sztuki wiąże się z różnymi fazami rozwoju gospodarczego, z rozwojem techniki, odkryciami geograficznymi itd. oraz świadomością towarzyszącą ludziom tamtych czasów. Według mnie jest to pretekst do studiowania historii sztuki w kontekście rozwoju cywilizacji. Podam pewien przykład – jeśli mówimy o widzeniu światłocieniowym, o walorze, hierarchizacji kontrastów, przerwaniu konturu zewnętrznego, to wprowadzamy pojęcia związane z odkryciami malarstwa barokowego. Możemy prowadzić ćwiczenia odwołujące się do malarstwa epoki baroku w dwóch fazach: pierwsza w technice wodnej – światłocieniowa, druga w technice olejnej – laserunkowa. Studenci zapoznają się z nowymi pojęciami tak poprzez lekturę jak i omawianie ćwiczeń. Pamiętam fascynację Strzemińskim i jego *Teorią widzenia*, opisem autoportretu Rembrandta z Saskią, definiowaniem obrazu, obojętnie co by przedstawiał, jako układu plam, jako szyfru, którym posługuje się artysta, kierując wzrokiem widza. Równie wielkim odkryciem dla mnie, młodego człowieka, było to, że perspektywa linearna zbieżna nie jest naturalnym sposobem widzenia, tylko pewną metodą na inwentaryzującą przestrzeń albo odkrycie „niepoprawności” rysunku Cézanne’a zawartej w jego obrazach.

Autor Paulina Daszuk





Autor Edyta Róża Gierach

Te odkrycia okazały się przydatne dla studenta malarstwa?

Tak, zacząłem tę wiedzę odnosić do rzeczywistości, układałem sobie różne sytuacje, prowadziłem na własny użytek działalność naukową, aby potwierdzić to, co Cézanne napisał i co opisywał Strzemiński. Obecnie ćwiczenia w pracowni traktuję jako pretekst do rozmów na wiele tematów związanych ze sztuką i nie tylko. Czasami jest to okazja do wygłoszenia jakiegoś wykładu. Kiedyś podstawową formą pomocy dydaktycznej była książka, dziś nie mam złudzeń – studenci do biblioteki nie chodzą, nie czytają. W tej sytuacji okazuje się, że znakomitą pomocą może być Internet, bo nawet w telefonie bardzo szybko można znaleźć konkretne nazwiska, przykłady, przekonać do czegoś młodych ludzi. Pamiętam jak Jacek Bigoszewski w latach 90. mówił studentom: „W przypadku sztuki współczesnej nie ma w tym nic dziwnego, gdybyście malując jakieś abstrakcyjne kompozycje, dowiedzieli się, że ktoś w Brazylii robi w tym czasie to samo”. Dziś, gdy wszyscy zamieszczają swoje prace w Internecie, mamy na to dowód, a studenci często dziwią się, bo nagle znajdują pracę podobną do tej, którą namalowali.

Pojawia się też problem nie zawsze uświadomionych inspiracji.

Ale też dzięki Internetowi, gdy podejmujemy w pracowni jakiś temat, mamy natychmiastową ilustrację. I jeszcze te reakcje studentów: ojej, rzeczywiście!, które wskazują na ich zainteresowanie i chęć zgłębienia problemu.

Istotne jest, że w malarstwie nie chodzi o natychmiastowy efekt. Gdy pierwszy raz wszedłem do pracowni, to chciałem malować obraz tak, żeby pan profesor powiedział, że jest bardzo ładny i postawił piątkę. Ale nie w tym rzecz. Najtrudniej przekonać studentów, żeby zwracali uwagę na wszystko, co dzieje się po drodze, na pewien proces, z którego można wyciągnąć wniosek. Często na przykład obraz traci świeżość, gdy jest zbyt dużo poprawek. Jako nauczyciel czuję, czy student wkłada w swoją pracę serce i emocje. Tu nie ma prostego przyrostu: na dziesięć obrazów siedem może być dramatycznie złych, dwa przyzwoite i jeden – no powiedzmy, a jedenasty może okazać się fenomenalny. Najpierw schody, schody, schody, a potem już z góry.

Staram się to studentom tłumaczyć. W tej dziedzinie nie ma żadnej gwarancji sukcesu, choć zdarza mi się przeżywać pozytywne zaskoczenia. Podam przykład. Jednym z ćwiczeń pracownianych jest pastisz. Podaję definicję, rozmawiam, indywidualnie uzgadniamy format i technikę. Jeden ze studentów wybrał Piotra Potworowskiego, co mnie ucieszyło, bo lubię to malarstwo. Na kolejnych zajęciach student ma już czasopismo z artykułami o Potworowskim, jakąś książkę, mało tego, informuje mnie, że właśnie wrócił z Wrocławia, gdzie pojechał, żeby zobaczyć obrazy Potworowskiego. Jezu! O mało się nie przewróciłem. Jestem wzruszony i każdemu, komu mogę, opowiadam o tym, bo w dzisiejszych czasach to jest poświęcenie. Mam w pracowni studentów z różnych specjalności, ale ta osoba na pewno będzie dobrym malarzem.

A czy znajduje pan jeszcze czas na własną twórczość?

To jest moja największa tęsknota, którą pewnie dzielę z innymi rektorami czy osobami pełniącymi stanowiska na uczelniach artystycznych. Niestety nie można robić wielu rzeczy naraz dobrze. Każda twórczość wymaga skupienia, nie da się na dłuższą metę zajmować malarstwem od godz. 16.00, po powrocie z pracy, do 17.30, kiedy trzeba zająć się dokumentami. To tak nie działa. Ja muszę wejść w ten świat, który powstaje w mojej głowie i stworzyć sobie sporo pretekstów pobudzających moją wyobraźnię. Tym pretekstem jest rozpoczęcie kilku czy kilkunastu obrazów. Nauczyłem się nie skupiać na jednej pracy, bo wówczas pracuje się zbyt szybko, wychodzi źle i jest powód do frustracji. Jeżeli mam sporo prac zaczętych, łatwiej dojść do nich nawet na chwilę. Zawsze malowałem długo, co jest uwarunkowane wielowarstwową techniką, którą się posługuję. Czasami dochodziłem do takiego etapu, że nie wiedziałem co dalej. Obraz musi wówczas stać sobie, odczekać miesiąc, dwa, czasem rok i nagle, w jednej chwili, już wiem, co robić. Trudno osiągnąć taki stan, gdy wykonuje się pracę urzędniczą, a jednak, choć czasy są trudne, nie żałuję, że zostałem rektorem.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Opowieści z pogranicza

Zgoda na umieszczenie na łamach periodyku naukowego artykułu bez poprawek redaktora-lingwisty oznaczałaby działanie na szkodę nie tylko czasopisma, ale przede wszystkim samych autorów, gdyż ich tekst zniknąłby z danej bazy razem z czasopismem, w którym został opublikowany.

Gdyby miał kiedyś powstać film o pracy redaktora publikacji naukowych – zwłaszcza anglojęzycznych czasopism – tytuł można by zapożyczyć z popularnego w latach sześćdziesiątych i wznowionego trzydzieści lat później amerykańskiego serialu science fiction *The Outer Limits* (w Polsce pokazywanego jako *Poza granicami*). Nie chodzi tu o granice ludzkiego pojęcia, cykl „Publikuj lub giń” nie służy temu, abym poprzez ironizowanie dawał wyraz swoim zawodowym frustracjom. Autorzy w kontaktach z redakcją najczęściej całkowicie nieświadomie i w dobrej wierze przekraczają granice tego, co możliwe. Błędne przekonania nie biorą się u nich znikąd, rynek czasopism naukowych jest tak bogaty, że nie ma chyba praktyk całkowicie niespotykanych. Spełnienie niektórych oczekiwań jest nierealne ze względów technicznych, w innych przypadkach kolidowałyby to z profesjonalizmem w pracy redaktora lub mogło obniżyć poziom językowy czasopisma. Warto podkreślić jedno: jeśli redaktor odmawia spełnienia jakiejś prośby, jego wyjaśnienia należy traktować jako prawdę, a nie zasłonę dymną dla złej woli lub lenistwa. W czasopiśmie naukowym przygotowywanym według międzynarodowych standardów i z zastosowaniem wypracowanych w branży dobrych praktyk od życzliwości i dobrej woli redaktora zależy stosunkowo niewiele. I taka jest właśnie idea, aby możliwie zredukować uznaniowość, aby zabieganie o czyjąś życzliwość czy prośnienie nie było konieczne.

Dla mnie samego oczywiste jest przychylenie się do prośby, jeśli tylko nie stoi to w sprzeczności z obowiązującymi regułami. Objawia się to głównie przesuwaniem terminów nadesłania prac, poprawek lub recenzji, ale także szukaniem rozwiązań, gdy problem jest mniej standardowy. Granicę życzliwości wyznacza – oprócz polityki wydawniczej czasopisma i etyki zawodowej – przede wszystkim obciążenie pracą po stronie redaktora. Są sytuacje, w których pójsście autorowi na rękę byłoby teoretycznie możliwe, ale gdy przez moje ręce przechodzi miesięcznie kilkadziesiąt artykułów, traktowanie twórców, np. co trzeciego z nich, wyjątkowo spowodowałyby, że moją pracę szybko ogarnąłby chaos. Z punktu widzenia autora jego sytuacja zawsze jest wyjątkowa, z perspektywy redaktora wyjątków faktycznie domagających się specjalnego potraktowania jest niewiele, gdyż niemożliwe do spełnienia oczekiwania badaczy zgłaszających

artykuły do czasopism naukowych można podzielić na kilka ogólnych kategorii.

Pokaż mi swoje piśmiennictwo, a powiem ci, kim jesteś

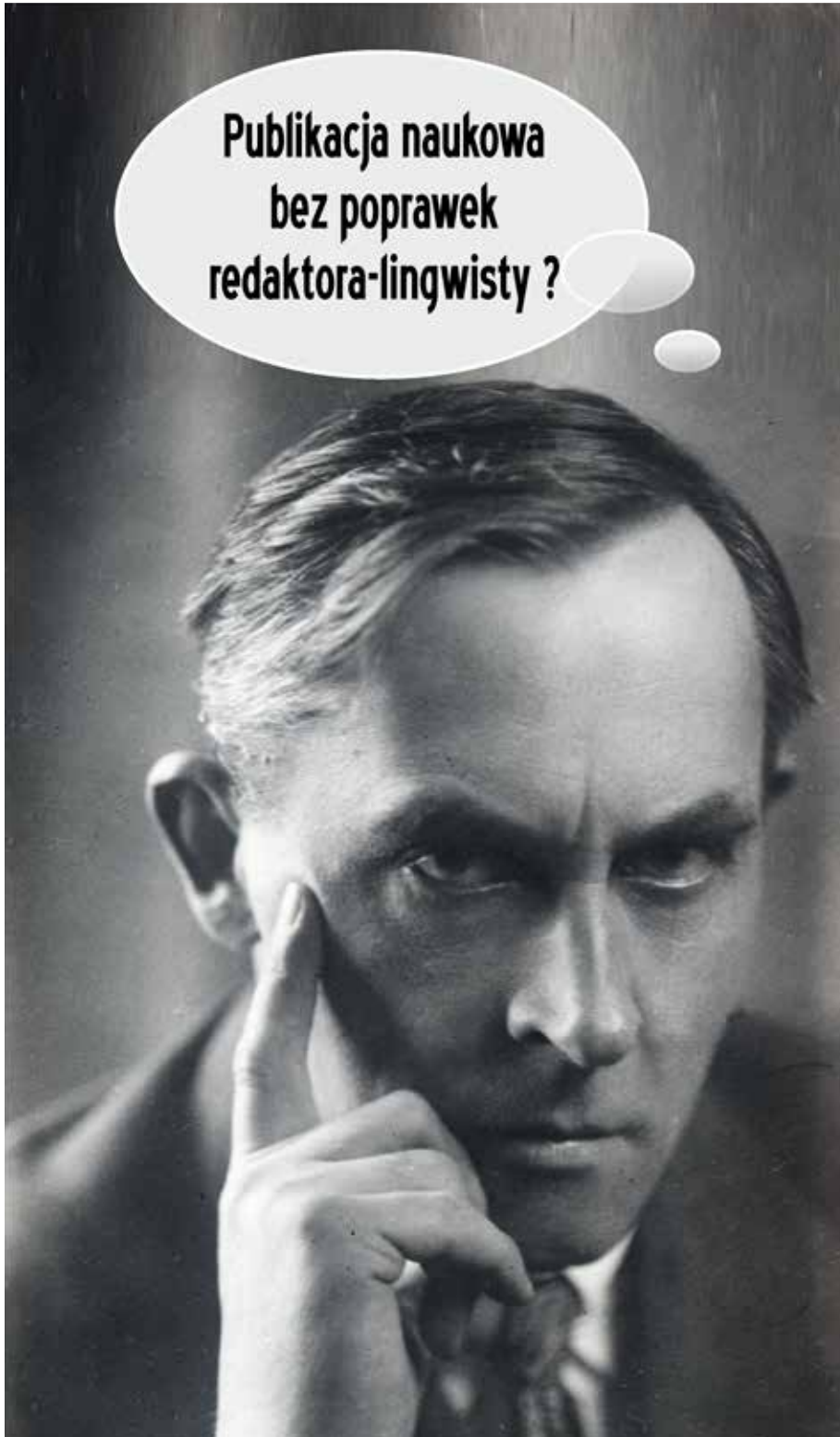
Istnieją dwa najpopularniejsze sposoby odsyłania w tekście do innych publikacji: system tradycyjny i harwardzki. W tym drugim trudniej o błąd, gdyż kolejność powoływania poszczególnych pozycji z listy piśmiennictwa w artykule nie znajduje odzwierciedlenia w kolejności tych samych pozycji na liście, na tej ostatniej są one ułożone alfabetycznie, ewentualne powtórzenia są zatem łatwe do wykrycia. Wiele czasopism stosuje jednak system tradycyjny, czyli numery w tekście (w indeksie górnym lub w nawiasach) odsyłające do listy ułożonej w tej samej kolejności, co powołania w tekście. W tej metodzie obowiązują trzy żelazne zasady. Po pierwsze, każda pozycja może pojawiać się na liście tylko raz, jeśli jest powoływana w tekście kilka razy, za każdym razem odsyła do niej ten sam numer. Po drugie, kolejność pojawiania się poszczególnych numerów w tekście musi odpowiadać naturalnemu porządkowi liczb, możliwe są powtórzenia, ale nie dowolność. Może być zatem tak, że powoływane są pozycje od 1 do 10, a potem 6, 3 i 1, ale pozycja 31 nie może się pojawić, zanim choć raz nie zostaną powołane pozycje od 1 do 30. Po trzecie, w numeracji powołań w manuskrypcie nie może być żadnych luk, trzeba powołać wszystkie pozycje z listy, jeśli nie w samym tekście, to przynajmniej w tabelach lub podpisach do rycin. Również w systemie harwardzkim trzeba powołać wszystkie pozycje z listy, tym różni się lista piśmiennictwa od bibliografii załącznikowej, która może zawierać także, głównie lub nawet wyłącznie publikacje niewzmiankowane w tekście. Stykałem się już jednak z autorami, którzy nie rozumieli, dlaczego pozycje na liście piśmiennictwa nie mogą się powtarzać, wspominali w tekście (a jeszcze częściej w tabelach) pozycje nieujęte na liście, albo też powoływali pozycje z listy w losowej kolejności lub z lukami i nie widzieli w tym żadnego problemu.

Nie tak się umawialiśmy

Długo zastanawiałem się, jaka jest najdziwniejsza sytuacja, z jaką zetknąłem się w kontaktach z autorami. Zdarzają się prośby mocno nietypowe, ale to zazwyczaj jednorazowe sytuacje, podobne nigdy już się nie powtarzają, nie ma zatem sensu ani ich opisywać, ani wyciągać na ich podstawie żadnych ogólnych

niejszych wniosków. Jest jednak podejście, które powtórzyło się już kilka razy i nie przestaje mnie zadziwiać. Zdarzają się bowiem badacze, którzy po otrzymaniu zredagowanego i złożonego artykułu do korekty autorskiej, czyli tzw. galley profa, zwanego też szczotką, stwierdzali, że tekst został zmieniony i przysyłałi ponownie plik w Wordzie z żądaniem złożenia go w tej postaci. Po krótkiej wymianie korespondencji okazuje się, że byli przekonani, że wersja zaakceptowana do publikacji przez recenzentów była już wersją ostateczną, w której nic się nie zmieni i która przejdzie już tylko przez skład. Wyglądało na to, że byli nieświadomi, iż w profesjonalnie pro-

wadzonych czasopismach naukowych przeprowadza się także redakcję językową (a przynajmniej powinno tak być), i to rzecz jasna po zakończeniu recenzji, gdyż redagowane są tylko teksty przyjęte do publikacji. Recenzenci nie sprawdzają zazwyczaj szaty językowej, gdyż nie należy to do ich obowiązków. Artykuł może być napisany angielszczyzną rojącą się od błędów i nieporadnych konstrukcji, ale jeśli jest merytorycznie poprawny i spójny (scientifically sound), nie wzbudzi zastrzeżeń recenzentów. Może się nawet zdarzyć, że przez recenzję przejdzie artykuł, którego struktura nie spełnia standardów danego czasopisma. Liczące się na rynku tytuły współpracują nierzadko z setkami



lub nawet tysiącami peer reviewers i nierealnym jest, żeby każdy z tych specjalistów znał wytyczne każdego czasopisma, dla którego recenzuje. Szanujące się czasopismo naukowe nie może jednak opublikować manuskryptu w takiej formie, dlatego wkacza redaktor i zarówno usuwa usterki językowe, jak i strukturalne (częstym błędem są np. rezultaty opisywane już w ramach wskazania celów badawczych danego studium). Następnie zaś przesyła złożony artykuł do autorów nie w celu jego akceptacji, ale ustosunkowania się przez badaczy do jego pytań i wątpliwości oraz skontrolowania, czy wprowadzone zmiany nie zniekształcają treści tekstu. Autorzy mogą i powinni prostować ewentualne przeinaczenia, mają też prawo nie zgadzać się na niektóre poprawki i jeśli umieją uargumentować taką niezgodę, redaktor nie powinien się z nimi spierać. Niemożliwe jest jednak odrzucenie poprawek en bloc i powrót do tekstu sprzed poprawek językowych. Pisałem już o tym, ale warto wspominać o tym regularnie: redakcja językowa to nie wymysł żyjących w swoim świecie filologów, ale wymóg większości liczących się baz publikacji naukowych, z bazami Scopus i Web of Science na czele. Zgoda na umieszczenie na łamach periodyku naukowego artykułu bez poprawek redaktora-lingwisty oznaczałaby działanie na szkodę nie tylko czasopisma, ale przede wszystkim samych autorów, gdyż ich tekst zniknąłby z danej bazy razem z czasopismem, w którym został opublikowany.

Primus inter pares

Jeśli artykuł ma kilku autorów, ich status jest różny. Tradycyjnie wyróżnia się pierwszego i korespondencyjnego autora (może to być, ale nie musi ta sama osoba), czasem znaczenie ma też to, kto jest ostatnim autorem. Najważniejsze to zdawać sobie sprawę, że podobnie jak np. prezydent RP, są to urzędy jednoosobowe. W znanych mi czasopismach naukowych nie jest możliwe, aby było dwóch pierwszych lub dwóch korespondencyjnych autorów, na pierwszej lub ostatniej stronie artykułu jako adres kontaktowy może figurować e-mail tylko jednej osoby. Nieraz zdarza się jednak, iż autorzy stwierdzają, że tekst ma dwóch pierwszych autorów (co-first authors) lub dwóch autorów do korespondencji (co-corresponding authors). Rozumiem, że jest to istotne dla rozliczania grantów i ewaluacji dorobku naukowego, bycie pierwszym lub korespondencyjnym autorem często jest w takich sytuacjach wyżej punktowane. Niestety nie jest to argument za obejściem reguł, gdyż jeśli dwóch pierwszych autorów, to dlaczego nie trzech lub więcej? Czasem jest to ograniczenie czysto techniczne, systemy informatyczne używane do zarządzania manuskryptami w wielu redakcjach zazwyczaj nie dają możliwości przypisania roli pierwszego oraz korespondencyjnego autora więcej niż jednej osobie, a jeśli chce się panować nad dużą liczbą redagowanych i publikowanych tekstów, dane w systemie muszą odzwierciedlać stan faktyczny. Umawianie się z autorami na przeróbki nieujęte w systemie grozi szybkim popadnięciem w chaos i błędy.

Niewidzialna ręka

Na koniec chciałbym podjąć nieco ryzykowny temat i wspomnieć o pewnej ogólnej postawie, którą obserwuję niestety u autorów coraz częściej, a która klóci się dla mnie – będą to mocne słowa – z istotą bycia naukowcem, badaczem, odkrywcą. Rdzeniem tego etosu wydaje mi się szukanie rozwiązań, zarówno problemów badawczych, jak i trudności napotykanych po drodze. Tymczasem regularnie stykam się z autorami, którzy napotkawszy na jakąś trudność w złożeniu artykułu do czasopisma lub w przerabianiu go według uwag recenzentów, redaktorów statystycznych czy redaktorów, nawet nie próbują znaleźć rozwiązania problemu, tylko poprzestają na dwóch czynnościach: 1) piszą do redakcji z prośbą lub żądaniem rozwiązania

danej trudności przez redaktorów; 2) oczekują, że wobec napotkania danej trudności zostaną potraktowani ulgowo i zwolnieni z określonego wymogu. Ujmę to tak: pomaganie komuś i wyřeczanie kogoś, czyli wykonywanie jego obowiązków za niego, to dwie różne rzeczy. Wielu trudności redaktorzy za autorów nie pokonają, a wielu innych nie powinni pokonywać, gdyż leży to po stronie autorów. Nauczenie się radzenia sobie z nimi leży właśnie w interesie tych autorów, gdyż te same problemy będą powracać przy zgłaszaniu kolejnych artykułów w innych czasopismach.

Ekstremalne przykłady takich sytuacji to oczekiwanie, że pracownicy redakcji będą za autorów przerabiać artykuł w celu obniżenia współczynnika podobieństwa do opublikowanych już tekstów lub że będą rysować za nich wykresy i grafy. Odmianą takiego podejścia jest, w przypadku zgłaszania przez redaktora językowego wątpliwości co do zrozumiałości niektórych zdań w artykule, omawianie tematyki kwestionowanych fragmentów zamiast przeformulowywania ich i oczekiwanie, że na podstawie tych wyjaśnień redaktor sam przerobi tekst. Jednak redaktorzy językowi nie są specjalistami w danej dziedzinie nauki i takie próby doprowadzą co najwyżej do wytworzenia kolejnych błędów. Najczęściej natomiast przywoływana tu postawa (Dear Editor, could you please assist?) objawia się przy trudnościach natury informatycznej. Zdarza się, że na moje biurko trafiają artykuły niespełniające nawet podstawowych wymogów zawartych w instrukcji dla autorów umieszczonej na stronie WWW czasopisma. Gdy zwracam na to uwagę autorom, ci z rozbijającą szczerością odpowiadają, że na ich komputerze strona się nie otwiera, nie są zatem świadomi, że w ogóle jest jakaś instrukcja. Mam świadomość, że w różnych rejonach świata stosowane są różne narzędzia informatyczne (przeglądarki, systemy operacyjne, zabezpieczenia antywirusowe i inne) i że chyba tylko strony takie jak Facebook czy Wikipedia otwierają się wszędzie i na każdym sprzęcie. Jednak obowiązkiem autora jest znać wymogi danego czasopisma, a problemów z dostępem do strony WWW czy systemu zgłaszania manuskryptów nie rozwiąże za niego zdalnie redaktor, gdyż jest to całkowicie poza jego możliwościami.

Jeśli autorowi zależy na nadesłaniu artykułu do danego czasopisma, powinien tak długo szukać rozwiązania, aż je znajdzie (inne oprogramowanie, inny komputer, konsultacja z fachowcem z obszaru IT). Pomijam tu półśrodki w postaci wysłania instrukcji w formie pliku PDF, zawarte w niej linki nadal nie będą działać na komputerze autora, jeśli nie działa na nim główna strona WWW czasopisma. Improvizowane alternatywne rozwiązania tworzą tylko kolejne błędy i problemy, i to często w postępie wręcz geometrycznym. Jeśli zatem redaktor odmawia w takiej sytuacji i wskazuje, że piłeczka jest po stronie autorów, nie wynika to z niezyczliwości czy nieużycia, ale ze świadomości, że trudności pojawiających się na tak bazowym poziomie nie da się ominąć, a pomoc ze strony redakcji jest niemożliwa.

Zadaniem redaktora jest pomagać autorom, ci ostatni jednak muszą dać sobie pomóc. Jeśli nie przyjmują do wiadomości obowiązujących w ogóle przy publikowaniu naukowym lub w danym czasopiśmie reguł, względnie oczekują, że wystarczy poprosić o pomoc i biernie czekać, nie pozwalają na rozwiązanie problemu i ostatecznie sami ponoszą odpowiedzialność za odrzucenie manuskryptu lub jego utknięcie w fazie redakcji (tzw. editorial hell). Nie chodzi tu o wskazywanie winnych, ale o działanie we własnym interesie ze świadomością podziału zadań: autor dąży do poznania prawdy naukowej, redaktor umożliwia zaprezentowanie jej w szacie językowej i edytorskiej licującej ze znaczeniem prezentowanych odkryć i koncepcji.

Monika Krakowska

Epistemiczne bańki informacyjne

Obserwuje się wytwarzanie nieprzepuszczalnych dla innych konstruktów, takich jak bańki informacyjne, bańki epistemiczne, bańki filtrujące, komory echa, kokony, zjawiska algorytmizacji czy też gatekeepingu, które izolują jednostkę w normatywnym świecie informacyjnym wśród nieakceptowalnych poznawczo poglądów i opinii oraz ograniczają procesy informacyjne.

Zjawisko epistemicznej bańki informacyjnej, stanowiącej pewien obszar, płaszczyznę, tło lub kontekst, w którym funkcjonuje zarówno sama jednostka, jak i całe społeczności, dotyczy samoistnego formowania (się) lub świadomego kształtowania (się) zamkniętej lub niedomkniętej przestrzeni informacyjnej. Propozycja nowej koncepcji została opracowana na potrzeby teoretycznych i empirycznych dociekań w obszarze zachowań informacyjnych, co być może umożliwi poszerzenie sposobu opisu, doprecyzowania oraz charakteryzowania różnorodnych czynników, sytuacji i zjawisk, które wzajemnie wpływają na wieloaspektowe aktywności człowieka, których podejmuje się w relacji do informacji. W obliczu intensywnego rozwoju nowych form komunikacji i informacji, inteligentnych technologii, upowszechnienia się mediów społecznościowych, a nawet coraz większej immersji człowieka w cyberprzestrzeni fundamentalne staje się rozpoznanie uwarunkowań kształtujących ludzką sprawczość informacyjną, ale też zwrócenie uwagi na przyczyny generowania wielu niekorzystnych zjawisk charakteryzujących cywilizację informacyjną, jak np. chaos i przeciążenie informacyjne, manipulowanie i dezinformowanie, kreujące postprawdę i kulturę fake newsów, funkcjonowanie baniek filtrujących lub wytwarzanie baniek informacyjnych.

Zachowania informacyjne człowieka

Punktem wyjścia do zrozumienia czym jest zjawisko epistemicznej bańki informacyjnej, stały się zróżnicowane interakcje człowieka z informacją, jego nieustanne odbieranie informacji poprzez zmysły, odkrywanie informacji, doświadczanie jej, praktykowanie informacji i kształtowanie nawyków informacyjnych, aktywne i świadome lub niezamierzone, intuicyjne, czasem bierne pozyskiwanie oraz napotykanie jej, przetwarzanie, a także wielorakie jej wykorzystywanie stanowiące. Te różnorodne procesy i relacje człowieka w stosunku do informacji są określane jako zachowania informacyjne, które według Toma Wilsona, głównego teoretyka informatologii, stają się w rzeczywistości życiem człowieka, który bez informacji nie jest w stanie przeżyć. To również, zdaniem Amandy Spink, badającej ewolucyjny wymiar zachowań informacyjnych, unikalna cecha róż-

nicująca ludzki gatunek, która pozwoliła na jego przetrwanie i ekspansję. Rozważania dotyczące ludzkich zachowań informacyjnych (ang. human information behaviour), które można zdefiniować dość schematycznie jako wielowymiarowe kontinuum różnorodnych ludzkich aktywności w relacji do informacji, stanowią nie tylko subdyscyplinę informatologii, ale są także jednym z najintensywniej rozwijających się, ugruntowanych oraz integralnych obszarów jej badań o charakterze interdyscyplinarnym i dotyczących różnych grup i środowisk społecznych, w różnych kontekstach, dziedzinach życia i nauki, jak i odmiennych czynników warunkujących aktywności informacyjne. Heterogeniczne podejście i rozmaite perspektywy tych analiz, uwzględniające perspektywę konstruktywistyczną, społeczno-poznawczą, uwypuklającą rolę doświadczenia, krystalizowane w ujęciu kognitywno-afektywnym, badające rolę emocji, motywacji, procesów poznawczych i przetwarzania informacji oraz tworzenia nowej wiedzy, jak i prowadzone w wymiarze ucieleśnionym, który dotyczy codziennego, rutynowego i ukształtowanego poprzez empirię praktykowania działań informacyjnych w środowiskach profesjonalnych, ale też poza miejscem pracy, w tzw. trzecich miejscach, aktywności podejmowanych w czasie wolnym, poprzez zainteresowania lub hobby coraz częściej skoncentrowane były przede wszystkim na człowieku. Odejście w informatologii od czysto empirycznego analizowania procesów informacyjnych i ujęcie ich w perspektywie wręcz antropogenicznej pozwoliło na holistyczne spojrzenie na eksploracyjny charakter relacji człowieka z informacją. Zarówno paradygmat: 1) poznawczy, uwzględniający to w jaki sposób człowiek podejmuje się procesów na poziomie umysłu i mózgu, na przykład w jaki sposób podejmuje się reagowania i co o tym decyduje, 2) behawioralny, skupiony wokół wewnętrznych procesów psychicznych, podobnie jak 3) afektywny, który dotyczy emocjonalnego reagowania na informację w przestrzeni informacyjnej, tego, co jednostka odczuwa i w jaki sposób, genezy motywacji do podejmowania się zachowań informacyjnych, a także 4) konstrukcjonistyczny, skupiony wokół różnorodnych, wzajemnych relacji człowieka, jako istoty społecznej z informacją i zbiorowością, wszystkie te podejścia uwzględniają szereg

nie tylko koncepcji, hipotez i ram badawczych, ale też schematów i modeli zachowań informacyjnych. Z racji interdyscyplinarności nauki o zachowaniach informacyjnych człowieka są to często koncepcje i poglądy zapożyczone z innych dyscyplin, np. filozofii, socjologii, psychologii, kognitywistyki, biologii, których to teorie i stanowiska stanowią podłoże do wypracowania ram teoretycznych.

Z uwagi na interdyscyplinarny charakter badań nad zachowaniami informacyjnymi, uwzględniający ich dynamikę, ale i niestacyną naturę, liczne czynniki wpływające na permanentne rozwijanie aktywności warunkujące współzależności człowieka z informacją, istnieje szereg koncepcji, modeli, schematów, jak i podejść do informacyjnej sprawczości człowieka. Bazują one na wypracowanych już teoriach, uwzględniają także różne determinanty, jak uświadomione lub nie potrzeby informacyjne, bariery informacyjne, habitus i cechy osobowości jednostki, jej reaktywność emocjonalną, mechanizmy motywacji i samoregulacji, kreowane reprezentacje umysłowe (modele mentalne), a także normy społeczne, generowane poglądy w grupie społecznej, obowiązujące standardy i wzory zachowań, które generują społeczne uczenie się (zgodnie

z teorią Alberta Bandury). To interdyscyplinarne podejście jest konieczne dla zrozumienia wielowymiarowości i specyfiki tego, w jaki sposób ludzie podejmują działania związane z doświadczaniem świata, jego rozumieniem, z poszukiwaniem sposobów na nadawanie mu sensu i funkcjonowanie w nim. Zintegrowanie różnych koncepcji i paradygmatów pozwala na gruntowne i pogłębione zrozumienie wielu zjawisk badanych przez informatologię, synergię w gruntownym rozpoznaniu często bardzo skomplikowanych i wielopłaszczyznowych problemów dotyczących zachowań informacyjnych człowieka, może wpłynąć na spójność, zharmonizowanie różnych podejść do procesów informacyjnych, podejmowanych odmiennych aktywności przez ludzi o cechach heterogenicznych, jak również na jakość badań.

Kontekst i przestrzeń zachowań informacyjnych

Kluczowe w badaniach zachowań informacyjnych stało się podejście do wielokierunkowych i wielopoziomowych aktywności w relacji do artefaktów informacyjnych, zasobów, źródeł, kanałów i systemów informacyjnych związanych ze sposobami m.in. rejestrowania, pozyskiwania, wyszukiwania, interpreto-

Źródło: pixabay



wania, zarządzania informacją, jej wykorzystywania i przekazywania, skoncentrowane na człowieku, który zawsze funkcjonuje w jakimś kontekście (ang. person-in context). Kontekst wielowymiarowy i posiadający mnogość atrybutów może być rozumiany jako sytuacja postrzegana w wymiarze czasowym, pojmowana jako zarejestrowany przez człowieka moment w przestrzeni czasu; stanowiąca pewną kompilację ludzi, miejsca i zdarzenia. Kontekst to także przestrzeń informacyjna, środowisko, infosfera, inforóżnorodność – zarówno fizyczna, jak i niematerialna – przestrzeni. W relacji do zachowań informacyjnych może stanowić zespół współlistniejących czynników powiązanych z czymś, określający coś, co otacza i nadaje znaczenie. To zbiór faktów lub okoliczności dotyczących sytuacji lub wydarzenia, ich otoczenia. Ponadto może być działaniem ze względu na to, że jest aktywnie tworzony, ustanawiany w trakcie podejmowanych aktywnie zachowań informacyjnych. W informatologii kontekst, jako koncept ściśle ze sobą powiązany i wzajemnie przenikający się, stosowany jest często w sensie formalnym i dotyczy środowiska zawodowego, badawczego, profesjonalnego, ale też służy do opisywania otoczenia w odniesieniu do życia codziennego i podejmowanych w nim zachowań informacyjnych, w środowisku rodzinnym, poza pracą, podczas realizowania hobby. Rozumiany jako środowisko informacyjne, stanowi rezerwar jednostkowych i zbiorowych zachowań informacyjnych, gdzie znajduje się zbiór rzeczy, czynników i atrybutów pozostających w semantycznej i pragmatycznej, operacyjnej relacji. Do określenia otwartego lub zamkniętego obszaru, miejsca, przestrzeni, w której człowiek podejmuje się zachowań informacyjnych, stosuje się różne pojęcia i charakteryzuje poprzez koncepcje, które są swoistymi metaforykami przestrzennymi. Wszelkiego rodzaju metafory, które według Georga Lakoffa i Marka Johnsona są integralną częścią procesów myślenia i działania, powstają naturalnie z doświadczenia somatycznego, kognitywnego, afektywnego i kulturowego. Nic zatem niestosownego w kreowaniu perspektyw przestrzennych, za pomocą których badacz jest w stanie odkryć specyfikę zachowań informacyjnych związanych ze specyficznymi, fizycznymi i abstrakcyjnymi środowiskami. Człowiek posiada i funkcjonuje w przestrzeniach zachowań informacyjnych, narzuconych mu przez naturalne środowisko lub uwarunkowania kulturowo-społeczne, ekonomiczne lub polityczne, jak i kreowanych indywidualnie lub przez kolektyw. Zalicza się do nich: a) infosferę ukształtowaną przez elementy środowiska przyrodniczego, informacyjnego i społecznego; b) środowiska informacyjne, będące otoczeniem, ale też sumą osób, instytucji, organizacji i systemów podejmujących się procesów informacyjnych, przyjmujące również formę ograniczonego i spersonalizowanego obszaru zasobów informacyjnych, artefaktów, podmiotów, narzędzi, które wpływają na zachowania informacyjne, są pozyskiwane, wykorzystywane, a nawet unikane; c) przestrzenie informacyjne, które postrzegane są jako trójwymiarowe środowisko, w którym człowiek porusza się po ścieżkach informacyjnych, krajobrazach informacyjnych i miejscach informacyjnych; to przestrzeń poniekąd zamknięta, skonstruowana ze znanych zasobów informacji, tworząca jednolite pole do gromadzenia, poszukiwania i wykorzystywania informacji; d) światy informacyjne, w których zachowania informacyjne kształtowane są przez społeczne relacje i subiektywnie kształtowane przestrzenie informacyjne, generowane są przez narzucone normy i schematy małych światów (grup społecznych), ale też peryferyczne środowisko określające tożsamość narodową, kształtowane przez sferę publiczną, media, technologię, kulturę, politykę; e) horyzonty informacyjne będące wyimaginowanym (mapowanym w umyśle) polem, na którym człowiek pozycjonuje zasoby informacyjne od najmniej do naj-

bardziej znaczących, jak i przestrzenią, w której kontekst, sieci społeczne, stanowiące wzorce połączeń, relacji i konsekwencji różnych interakcji oraz sytuacja stanowią sferę, w której podejmowane są działania i realizowane są zachowania informacyjne; f) jak i wiele mniejszych lub bardziej specyficznych, spersonalizowanych metaforycznych geografii koncepcyjnych, jak indywidualna przestrzeń informacyjna, synergicznie powstające tymczasowe miejsca informacyjne, będące triadą wymiarów w społeczno-afektywnym ujęciu uwzględniającym rolę miejsca, ludzi i informacji w kontaktach interpersonalnych.

Człowiek nie funkcjonuje w jednorodnym środowisku, z jednej strony stara się sprostać dynamice rozwoju infosfery, nowych form komunikacji i informacji, z drugiej – próbuje w sobie znany i zrozumiały sposób zrozumieć zawiloci wielu przestrzeni i środowisk informacyjnych, w których realizuje zachowania informacyjne, doświadcza informacji lub ją praktykuje. W dodatku różnorodne ujęcie, perspektywy badawcze wymuszają włączenie w analizowanie zachowań informacyjnych nie tylko specyfiki sytuacji, w której w określonym czasie i przestrzeni znajduje się jednostka, ale także uwzględnienie cech środowiska, społeczności i ogólnego tła, w którym dzieje się sprawczość informacyjna, zarówno na poziomie uświadomionym, jak i nieintencjonalnym, przypadkowym lub uzależnionym od narzuconych norm. Te wszystkie koncepcje tworzą ramy zachowań informacyjnych, nadając im specyficzny i zróżnicowany wymiar.

Nowe zjawiska formujące oraz generowane przez jednostkowe i kolektywne zachowania informacyjne

Poszukiwanie sensu życia i sposobów na jego świadome doświadczanie, celowe zachowania informacyjne, jak i nieintencjonalne sposoby pozyskiwania informacji wykształcają społeczną potrzebę ograniczania środowiska informacyjnego, poszukiwania relacji i wykształcania procesów, które pozwalają na podołanie wymaganiom stale rozwijającej się infosfery, intuicyjne ograniczanie bodźców, których jednostka nie jest w stanie przetwarzać przez cały czas. Jedną z takich przestrzeni może stać się epistemiczna bańka informacyjna, jak i inne konstrukty zamkniętych przestrzeni informacyjnych. Człowiek jest w podobny sposób wytworem systemu społecznego, jak i jego determinantą tworzącą określone środowisko społeczne. Istotne staje się uchwycenie kluczowych zjawisk, które konstytuują specyficzne, hermetyczne poznawczo otoczenie informacyjne człowieka, w którym charakterystyczne stają się kognitywne i eksploracyjne epizody zamykania się ludzi w relacji do informacji. Coraz częściej obserwuje się wytwarzanie nieprzepuszczalnych dla innych konstruktów, takich jak bańki informacyjne, bańki epistemiczne, bańki filtrujące, komory echa, kokony, zjawiska algorytmizacji czy też gatekeepingu, które izolują jednostkę w normatywnym świecie informacyjnym wśród nieakceptowalnych poznawczo poglądów i opinii oraz ograniczają procesy informacyjne. To w pewnym sensie nie tylko wynik poznawczych ograniczeń samej jednostki lub całej zbiorowości, która kreuje i funkcjonuje w epistemicznej bańce informacyjnej, ale również efektem wielu zjawisk o właściwościach afektywnych (jak np. dążenie do osiągnięcia dobrostanu emocjonalnego lub obawa przed negatywnymi skutkami podejmowanych aktywności informacyjnych), społecznych (które dotyczą m.in. panujących norm i reguł, kultury epistemicznej, pozycjonowania społecznego), behawioralnych. Formowanie się zamkniętych przestrzeni informacyjnych, wynikających z działań mechanizmów algorytmów, ale także odnoszących się do indywidualnych umiejętności i uwarunkowań poznawczych, afektywnych

oraz społecznych relacji wynikających z funkcjonowania jednostki w grupie jest już zjawiskiem nieodwołalnie związanym z infosferą. Ekspansja informacji, nowych technologii i form komunikacji wykształca naturalne formy ochrony i ewolucyjnie ukształtowane reakcje, jak choćby ucieczkę przed nadmiarem informacji i możliwością jej pozyskiwania. Co istotne, bańki filtrujące lub informacyjne, komory echa, podobnie jak konceptualne geografie informacyjne mogą się wzajemnie przenikać, zmieniać, immersyjnie wnikać w siebie, powodując zmiany w zachowaniach informacyjnych członków zbiorowości, mogą wpływać na relacje społeczne lub wchłaniać się w strukturę przyjmującej przestrzeni.

Idea epistemicznej bańki informacyjnej [w badaniu zachowań informacyjnych]

Epistemiczna bańka informacyjna nie jest oczywiście konstruktorem trwałą, a z racji swojej poznawczej cechy warunkuje doświadczanie informacji, jej praktykowanie i podejmowanie wielu zachowań informacyjnych podczas permanentnego nadawania sensu rzeczywistości przez jednostkę. Człowiek, jako biologiczny gatunek *homo sapiens*, którego nadrzędną właściwością jest rozumowanie, stale, nawet funkcjonując w zamkniętej przestrzeni informacyjnej, dokonuje prób rozumienia świata i kształtuje wiedzę. Epistemiczny wymiar bańki, która może być wytworzona lub narzucona człowiekowi, dociekanie przez poznanie, nadaje jej kluczowy wymiar i znaczenie w pozyskiwaniu i przetwarzaniu bodźców i informacji oraz kreowaniu nowej wiedzy za pomocą ludzkich aktywności wewnętrznych i zewnętrznych, poprzez każdorazowe epistemiczne poznanie. Ponadto ta specyficzna przestrzeń informacyjna ma cechy tożsamości osobistej, można ją rozpatrywać trojako. Po pierwsze, można ją analizować poprzez jednostkowe zachowania informacyjne i atrybuty konstytuujące ją. Po drugie, potencjalne staje się eksplorowanie jej poprzez indywidualnie tworzony konstrukt, który konstytuowany jest w szerszej perspektywie – społecznej, kolektywnie wytwarzanej epistemicznej bańce informacyjnej. Każda subiektywnie ukształtowana epistemiczna bańka informacyjna może stanowić strukturę społecznej zamkniętej przestrzeni informacyjnej, zbudowanej z wielu podobnych konstruktów. Po trzecie, można ją rozumieć i badać jako zjawisko charakterystyczne dla całej społeczności, ogólne. Możliwe jest zatem diagnozowanie epistemicznej bańki informacyjnej poprzez szeroką perspektywę konstruktów zbudowanego z normatywnych cech i uwarunkowań, kontekstu i przestrzeni informacyjnej, w której funkcjonuje cała społeczność, kultura społeczna lub epistemiczna, cała domena (dziedzina).

Epistemiczna bańka informacyjna konsoliduje cechy, atrybuty niejednorodnych, heterogenicznych zachowań informacyjnych, wskazuje na ich wielowymiarowość i wieloaspektowość, specyfikę zachowań informacyjnych, które mogą być świadome lub nieświadomione, celowe lub nieintencjonalne, przypadkowo podejmowane, związane z każdym sensomotorycznym, fizjologicznym, kognitywnym i afektywnym doznaniem, doświadczaniem informacji i jej aktywnym praktykowaniem, co dotyczy szeregu różnorodnych aktywności i sprawczości człowieka w odniesieniu do informacji. Konceptcja może

być traktowana jako preludium do nowego, bardziej komplementarnego rozpatrywania obszaru zachowań informacyjnych człowieka. Teoretyczne ujęcie zjawiska i konceptu może okazać się szczególnie przydatne do teoretycznego i empirycznego badania różnych aspektów dynamicznie ewoluujących aktywności informacyjnych, funkcjonujących w szerokim kontekście przestrzeni informacyjnej. Przykładowo umożliwi analizę sposobów podejmowania zachowań informacyjnych poprzez epistemiczne bańki informacyjne, sposobów podejmowania decyzji o zainicjowaniu określonych aktywności informacyjnych i analizowania uwarunkowań wpływających na konstytuowanie się, formowanie się tych mniej lub bardziej zamkniętych przestrzeni informacyjnych. Znajomość uwarunkowań i cech takich specyficznych przestrzeni informacyjnych pozwoli na badania określonych epistemicznych bańek informacyjnych tworzonych indywidualnie, jednostkowo, ale też w grupach (np. studentów, naukowców, grupach zawodowych, różnych grupach społecznych), poszukiwania zależności i atrybutów kształtowania się tych konstruktów w danym kontekście, sytuacji, a także wpływu kultury epistemicznej, domen na formowanie się tego typu zjawisk. W świetle dynamiki transformacji cyfrowej i rozwoju nowych technologii kluczowa stanie się identyfikacja atrybutów i uwarunkowań tworzenia się epistemicznych bańek informacyjnych w kontekście zachowań informacyjnych w środowisku cyfrowym (w tym mediów społecznościowych). Wreszcie ciekawe wydaje się diagnozowanie eksplorowania sposobów rozszereżnienia, niwelowania epistemicznej bańki informacyjnej poprzez określone zachowania informacyjne, wpływu kognitywnych i afektywnych uwarunkowań i procesów na podejmowanie aktywności poznawczych wewnątrz nowego konstruktów.

Podobnie jak stale ewoluujące środowisko naturalne, przestrzeń informacyjna, dynamicznie zmieniające się zachowania informacyjne, a także rozwijająca się poznawczo jednostka, również epistemiczne bańki informacyjne mogą ulegać stałym przekształceniom i zmianom w zależności od kontekstu, w którym się konstytuują lub zanikają. Propozycja oryginalnego konceptu zaproponowanego w książce jest tylko wprowadzeniem do szeroko zakrojonych, także w zespołach interdyscyplinarnych, informatologicznych badań, które pozwolą na rozwój teoretyczny i pragmatyczny nauki o informacji. W dalszym ciągu istnieje konieczność rozważenia i przystąpienia do intensywnych i holistycznych eksploracji w obszarze zachowań informacyjnych, permanentnie przeobrażających się pod wpływem zmieniającego się środowiska informacyjnego, kontekstu i samego człowieka.

Tekst powstał na kanwie książki *Zachowania informacyjne człowieka w kontekście epistemicznej bańki informacyjnej. Propozycja nowej koncepcji*, Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2022.

Dr Monika Krakowska, adiunkt w Instytucie Studiów Informacyjnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalista w zakresie informatologii, zajmuje się interdyscyplinarnymi badaniami nad zachowaniami informacyjnymi człowieka, ich modelowaniem i eksplorowaniem w różnorodnych środowiskach informacyjnych.

Marcin Jarząbek

Jak badać wojnę?

Refleksje po 24 lutego 2022 r.

Poważny, akademicki namysł nad bezpieczeństwem jest bardzo potrzebny. Z drugiej strony pojawia się pytanie, czemu i komu ten namysł ma służyć? W mojej opinii brak nam wciąż szerszej obecności w debacie publicznej eksperckiego, krytycznego podejścia do polityk publicznych w zakresie wojskowości i obronności.

Po równo 40 latach od opuszczenia Krakowa na stałe Joseph Conrad postanowił odwiedzić miasto swojej młodości, pokazać je żonie i synom oraz spotkać się z dawno niewidzianą rodziną. W podróż Conradowie wyruszyli z Londynu przez Hamburg (z przerwą na wizytę w tamtejszym zoo) i Berlin, by razem z Otolią i Józefem Retingerami dotrzeć do Krakowa 28 lipca 1914 r., czyli dokładnie w dniu wypowiedzenia wojny Serbii przez Austro-Węgry. W ciągu kilku kolejnych dni cała Europa stanęła w ogniu, krakowski Grand Hotel, w którym zamieszkał pisarz, zarekwirowano na potrzeby wojska, a on sam jako obywatel wrogiego państwa powinien był właściwie zostać na czas wojny internowany. Uratowała go przed tym kuzynka Aniela Zagórska: Conradowie 2 sierpnia zamieszkali w jej zakopiańskiej willi Konstantynówka. Na jakiś czas Zakopane było schronieniem w miarę bezpiecznym, lecz niepozbanionym wad: robiło się coraz zimniej, a Conrad z rodziną nie miał ani ciepłych ubrań, ani pieniędzy na powrót. Wreszcie po wielu gorączkowych staraniach, z pomocą wpływowych lub bogatych znajomych, w październiku, z przystankami w Krakowie i Wiedniu, angielski pisarz dostał się do Mediolanu (Włochy w 1914 r. były jeszcze państwem neutralnym), a z Włoch na początku listopada z powrotem do Anglii. „Rozpoczęta z mieszanymi uczuciami podróż do Polski, a jednocześnie w przeszłość, okazała się kosztowna emocjonalnie i finansowo i omal nie zakończyła się katastrofą” (John Stape, *Joseph Conrad*, przeł. Jacek Chmielewski, Warszawa 2009).

Ktoś pomyślałby, że wyjazd pod koniec lipca 1914 r. z Anglii do Austrii nie najlepiej świadczy o zdolności rozumienia rzeczywistości politycznej, w końcu Europa żyła w napięciu od chwili zabójstwa Franciszka Ferdynanda miesiąc wcześniej. Conrad tłumaczył się potem, że był tak zajęty kończeniem powieści (która ukaże się w 1915 r. pod tytułem *Zwycięstwo*), że w ogóle nie czytał gazet. Retinger jednak, który towarzyszył Conradowi w podróży (więcej – usilnie namawiał do wyjazdu), uchodził za osobę świetnie zorientowaną w polityce międzynarodowej. Mimo to żaden z nich nie brał poważnie możliwości wybuchu wielkiej wojny. Zdarzało się to nawet osobom zawodowo zajmującym się wojną – serbskiego szefa sztabu Radomira Putnika dzień 28 lipca 1914 r. zastał na kuracji w austriackim Bad Gleichenberg, czyli na terenie państwa, które właśnie wypowiedziało Serbii wojnę.

Tego typu przykłady można by mnożyć. Eksperci, osoby inteligentne i znające ludzką naturę tak dobrze jak Joseph Conrad, mogą w sprawach wojny mylić się i dawać zaskoczyć nie mniej niż inni. Chodzi nie tylko o proste stwierdzenie, że przyszłość jest w ogóle niezdeterminowana (otwarta), a wojna trudna do wyobrażenia dla ludzi żyjących w pokoju. Nadzieja na lepsze ma sama w sobie wielką moc sprawczą, ale czasem jest bardziej zwodnicza i zamienia się w „myślenie życzeniowe” – kardynalną wadę tak polityków, jak i analityków czy w ogóle naukowców. Łatwo mi to odnieść do siebie. Jeszcze 23 lutego chciałem wierzyć, że nie dojdzie do pełnoskalowej agresji Rosji, choć setki sygnałów świadczyły przeciwko tej wierze. Dopiero mając świadomość tego typu ograniczeń, możemy się poważnie zastanawiać, co nauka powiedzieć może o wojnie. I co do tej wiedzy wnosi nasze doświadczenie od końca lutego tego roku.

Specjaliści od wojny

Szukając odpowiedzi na pytania, jak rosyjska pełnoskalowa agresja na Ukrainę zmieniła perspektywy badania wojny jako takiej, jakie wyzwania postawiła i jak im można sprostać, od razu zaznaczę, że nie mam złotej recepty, a jedynie kilka obserwacji głównie z obszaru nauk społecznych i humanistyki. Na marginesie zostawiam też rozważania o tym, co jest przedmiotem zainteresowania nauk o obronności, a więc wojenną strategię i taktykę, organizację wojska, rozwój uzbrojenia itp. Wojna jest zbyt poważną rzeczą, by zostawiać ją samym wojskowym – to zdanie jest tyleż prawdą, co truizmem, bo refleksja nad wojną dawno już wyszła poza mury uczelni wojskowych. O wojnie piszą dziś antropolodzy, archeolodzy, biolodzy, geografowie, historycy, socjolodzy, politolodzy, psychologowie... Coraz częściej odczuwamy, że wychodzenie poza metody i perspektywę jednej dyscypliny jest właściwie niezbędne, by ująć złożoność wojen. Niech przykładem będzie choćby to, skąd w ogóle wzięły się wojny – badacze w tej kwestii dzielą się, umownie rzecz biorąc, na „hobbesistów” i „rousseauistów”. Ci pierwsi widzą ją u samego początku gatunku ludzkiego. Jak ujął to jeden z nich: „Człowiek jest produktem trwającej miliony lat ewolucji całego naszego rodzaju. Jako społeczne naczelną jesteśmy ksenofobiczni i gwałtowni, podobnie jak nasi najbliżsi kuzyni – szympansy” (David Livingstone Smith, *Najbardziej niebez-*

pieczne ze zwierząt. *Natura ludzka i przyczyny wojen*). Ci drudzy z kolei wskazują, że wojny rozpoczęły się dopiero wraz z rewolucją neolityczną (innymi słowy: są częścią naszej kultury, a nie natury), gdy osiągnęliśmy odpowiedni poziom organizacji społecznej oraz zaczęliśmy walczyć o terytorium. Przyjęcie jednego lub drugiego poglądu zasadniczo zmienia to, jak podchodzimy do wojny i sposobów jej zapobiegania. Tymczasem o tym, kto może mieć rację w tym sporze, rozstrzygają drobne interpretacje archeologicznych artefaktów, obserwacje naszych człekokształtnych kuzynów, badania nad istniejącymi jeszcze społecznościami zbieracko-koczowniczymi czy wreszcie studia nad genomem człowieka sprzed wielu tysięcy lat (a więc to, za co Svante Pääbo otrzymał ostatnio nagrodę Nobla) – i to wszystko łącznie.

Inny przykład to kwestia „wojen klimatycznych”, a więc konfliktów, których przyczyną jest katastrofa klimatyczna i jej skutki. Niemiecki psycholog społeczny Harald Welzer, który najpierw zajmował się II wojną światową (dynamiką grupową wśród członków Einsatzgruppen oraz pamięcią wojny w społeczeństwie niemieckim), napisał później książkę *Wojny klimatyczne. Za co będziemy się zabijać w XXI wieku* o konfliktach, które rodzą się na naszych oczach. Jego ujęcie pokazuje, że do ich zrozumienia potrzebujemy klimatologii, demografii, ekonomii, antropologii i politologii jednocześnie. Rosyjska blokada ukraińskiego handlu zbożem i niszczenie banków nasion, wizja głodu w Afryce tym spowodowana to niestety bieżąca ilustracja takiej złożonej wojenno-klimatycznej sytuacji (inna sprawa, że wojna na Ukrainie uświadomiła nam, że w XXI wieku ludzie mogą się też zabijać ze znanych od dawna powodów, jak choćby rosyjski imperializm).

Takie kompleksowe ujęcie jest też charakterystyczną cechą war studies – rozwijanych od lat w Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych studiów nad wojną, które choć wyrosły z angielskiej tradycji historii wojskowości, to jednak dalece wychodzą poza proste analizy taktyki i parametrów uzbrojenia. Ośrodki takie jak Michael Howard Centre for the History of War na King's College w Londynie lub Centre for War Studies na uniwersytecie w Birmingham są tego dobrym przykładem. Choć są to perspektywy głęboko zakorzenione w historii, to jednak analizujące bieżące i publicznie dostępne dane. O tym, jak to ważne, przekonujemy się co dzień, śledząc raporty i mapy amerykańskiego think-tanku Institute for the Study of War, pokazujące na bieżąco i komentujące zmiany na froncie ukraińsko-rosyjskim. Ta założona w 2007 r. niepartijna organizacja stawia sobie za cel rozumienie wojen i konfliktów wykorzystując „wiarygodne badania, oparte na danych analizy oraz innowacyjną edukację” (ze strony internetowej ISW). Popularność jej analiz wśród dziennikarzy wskazuje, że dobrze realizuje swój cel. Przy okazji, co niestety nietypowe w polskich warunkach, ale wyraźnie działa gdzie indziej: na jedenaście osób kierujących Instytutem sześć (łącznie z Kimberly Kagan, założycielką i szefową think-tanku) to kobiety.

Wojna na Ukrainie uświadomiła nam nie tylko to, że studia nad wojną coraz wyraźniej przesuwają się z historii w teraźniejszość, ale i to, że konsekwencją tego przesunięcia jest sięganie po dane wcześniej niewykorzystywane lub niedostępne. Mamy oto dostęp do wielkiej ilości danych cyfrowych, które możemy obrabiać i wizualizować za pomocą narzędzi Big Data i Geograficznych Systemów Informacyjnych. Wiele tych danych, mimo wojskowych ograniczeń, jest dostępne publicznie. Wielu z nas ma pewnie w pamięci informację z ostatnich dwu, trzech nocy poprzedzających 24 lutego, gdy mapy Google'a pokazywały ciemnoczerwonym kolorem „zakorkowane” drogi dojazdowe do granicy z Ukrainą po rosyjskiej stronie – tak wielu rosyjskich żołnierzy i kierowców wojskowych pojazdów miało

wtedy telefony z nawigacją. Setki zdjęć i filmików dostępnych codziennie na prywatnych kontach w portalach społecznościowych, zdjęcia satelitarne oraz inne rodzaje Crowdsourced data – to wszystko jest materiał, który można i trzeba wykorzystywać.

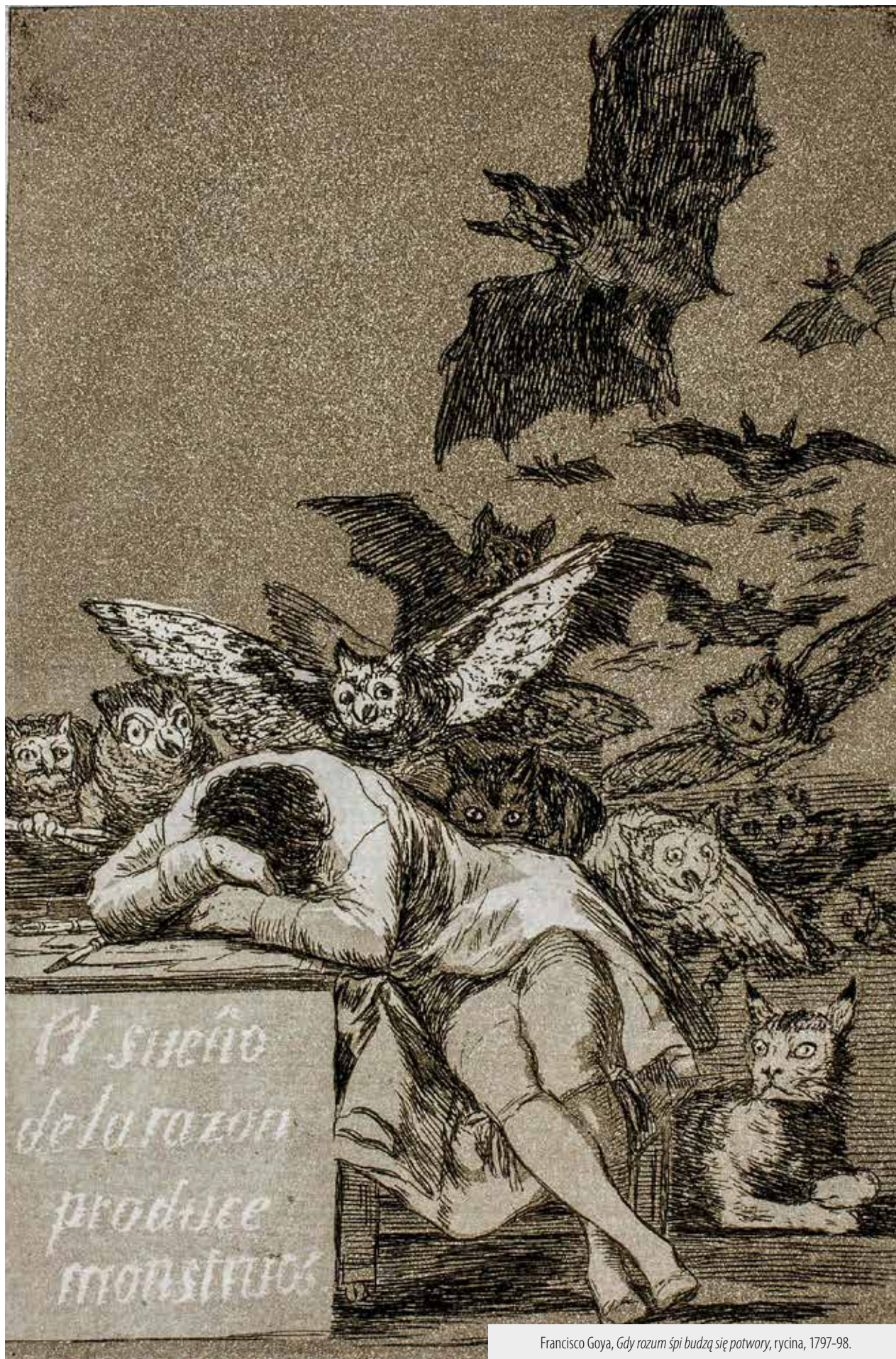
W Polsce nie mamy war studies, lecz ich funkcjonalnym odpowiednikiem starają się być nauki o bezpieczeństwie. To kwestia na odrębną dyskusję, warto tylko zaznaczyć, że próby wybicia się polemologii jako odrębnej dyscypliny badającej wojnę i łączącej ujęcie militarne z kontekstem społecznym skończyły się bez spektakularnych sukcesów. Wydarzenia tego roku są swoistym stress-testem dla tej stosunkowo nowej dyscypliny. Z jednej strony widać wyraźnie, że poważny, akademicki namysł nad bezpieczeństwem jest bardzo potrzebny. Z drugiej zaś pojawia się pytanie, czemu i komu ten namysł ma służyć? W mojej opinii brak nam wciąż szerszej obecności w debacie publicznej eksperckiego krytycznego podejścia do polityk publicznych w zakresie wojskowości i obronności. W obliczu olbrzymich wydatków na obronność z publicznych pieniędzy – już poniesionych i tych planowanych – jako społeczeństwo nie bardzo potrafimy określić choćby ich zasadność czy efektywność (czy ktoś z nas wie, jak dużo powinno się płacić np. za jeden myśliwiec lub czołg?). Wiemy przecież, że w grę wchodzi wielkie pieniądze, silny lobbings polityczny i gospodarczy czy interesy środowiskowe oraz że skutki dziś podjętych decyzji odczuwać będziemy przez dekady, bo nie da się ot tak, po prostu np. zmienić systemu obrony przeciwlotniczej (który Polska posiada póki co w szczątkowej formie). Tym bardziej więc potrzebny jest cywilny, ekspercki głos reprezentujący społeczne interesy i pojmujący bezpieczeństwo szerzej niż tylko militarne. Brak nam – poza niewielkimi środowiskami badaczy migracji – dyskusji na temat choćby polityk migracyjnych i integracyjnych. Rzeczywistość nas zaskakuje i działamy – lepiej lub gorzej – reaktywnie, zamiast wypracowywać rozwiązania problemów, które mogą nadejść.

Rzeczywistość i dyskurs

Poważna obywatelska dyskusja nad bezpieczeństwem jest potrzebna, bo jak się przekonaliśmy, skutki wojny, nawet tej za granicą, odczuwamy wszyscy. Nie chodzi mi wcale o obawy, że „Putin zaatakuje Polskę” (uważam szerzenie tego typu poglądów za nieodpowiedzialne i szkodliwe), lecz o naszą krótko- i długofalową codzienność. Po latach zainteresowania raczej dyskursem o wojnie niż samą rzeczywistością przekonaliśmy się (a nieporównywalnie boleśniej przekonali się Ukraińcy), że za dyskursem idzie czasem zupełnie nietekstowa rzeczywistość.

Nie oznacza to jednak, że dyskurs przestaje być ważny. Kto śledził rosyjskie media w ostatnich latach, nawet pobieżnie, wie, że grunt pod rosyjską agresję i zbrodnie został solidnie przygotowany przez odczłowieczanie, pogardzanie, budowanie poczucia niechęci i wrogości wśród Rosjan wobec Ukrainy i Ukraińców. W tym wypadku sprawdziło się niestety twierdzenie, że w dyskursie ćwiczone i osvajane może być to, co potem staje się rzeczywistością.

Dyskusje, także na poziomie międzynarodowym, o sensie i zakresie wojskowego wspierania walczącej Ukrainy uświadomiły nam też, jak ważne jest posiadanie odpowiednich pojęć, by o tym mówić. Czy dozbieranie Ukrainy może zwiększyć czy raczej zmniejszyć liczbę potencjalnych ofiar? Czy możemy w tym przypadku mówić o wojnie sprawiedliwej i czy w ogóle ta stara filozoficzna kategoria ma wciąż sens? Czy polskie środowisko akademickie powinno w obliczu wojny szeroko otwierać się na studentów i studentki z Ukrainy, czy raczej wspierać ukraińskie uczelnie, które często stoją w obliczu bezprecedensowego „drenażu mózgów”, spowodowanego wyjazdami studentów i wykładowców (o tej ostatniej kwestii mówi np. raport



Francisco Goya, *Gdy rozum śpi budzą się potwory*, rycina, 1797-98.

W poszukiwaniu akademickiej tożsamości. Perspektywa ukraińska przygotowany przez Biuro Rzecznika Praw i Wartości Akademickich Uniwersytetu Jagiellońskiego)? Bez odpowiedniego języka trudno się w ogóle z tymi problemami mierzyć.

Dwa horyzonty badań

Wyzwania badawcze spowodowane wojną na Ukrainie można więc w dużym uproszczeniu podzielić na dwie kategorie: bieżące (krótkookresowe) oraz perspektywiczne (długoterminowe). Pierwsze dotyczą tej konkretnie wojny i jej bezpośrednich skutków. Poza wnioskami ważnymi dla samego sposobu prowadzenia wojny, np. obrony przed silniejszym przeciwnikiem czy efektywności różnych rodzajów uzbrojenia (mam nadzieję, że na wojskowych uczelniach jest to już temat seminariów, wykładów czy konferencji), są jeszcze kwestie zupełnie cywilne, choćby takie jak kwestie radzenia sobie z wojennymi traumami. Już teraz widać coraz większe zapotrzebowanie na psychotraumatologów gotowych do pracy z ofiarami wojny. Szerszy problem to badanie doświadczenia ukraińskich uchodźczyń i uchodźców przebywających w Polsce. Realizowanych jest w tej chwili przynajmniej kilka projektów dotyczących tego tematu, które uzyskały wsparcie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, np. projekt „24.02.2022, 5 rano: Świadczenia wojny” koordynowany przez Instytut Filozofii i Socjologii PAN, w ramach którego nagrywane są wywiady z przebywającymi w Polsce Ukrainkami i Ukraińcami. Choć są to wywiady jakościowe (a więc nieroszące sobie pretensji do statystycznej reprezentatywności), to już ich pierwsze wyniki pokazują choćby, jak bardzo różnią się uchodźcy mieszkający w dużych miastach od tych, którzy trafili do mniejszych, prowincjonalnych miejscowości. Z pewnością kolejne badania tego typu powinny dalej uzyskiwać dofinansowanie w ramach programów badawczych FNP, NCBR lub NCN.

Dlaczego tego typu inicjatywy badawcze są ważne? Po pierwsze dlatego, że dokumentują hic et nunc dynamicznie zmieniającą się rzeczywistość, ale po drugie (i zapewne ważniejsze), że mogą stanowić podstawę do rozwoju polityk integracyjnych. Nie ma bowiem wątpliwości, że mimo ciągłych ruchów migracyjnych większość mieszkających dziś w Polsce obywateli Ukrainy już tu zostanie. Przygotowany jeszcze w 2020 r. raport Julii Lashchuk i Mikołaja Pawłaka *Dostęp do rynku pracy, ale nie do państwa: Sytuacja pracowników migrujących w Polsce* lub podobny raport PARP z 2021 r. pokazywały, że sporo mamy do zrobienia i wydaje się, że w perspektywie najbliższych lat i dekad problem będzie nadal obecny. W tym kontekście żałować można, że nie

wykorzystano okazji nadawania numerów PESEL do zebrania kilku podstawowych danych demograficznych (np. wykształcenie, zawód, stan cywilny itp.) na temat całej populacji ukraińskich uchodźców (ten pomysł zawdzięczam prof. Dariuszowi Stoli). Taki zbiór danych byłby nie do przecenienia dla przyszłych polityk opartych na danych (data-based policies).

W dłuższej perspektywie (choć oczywiście kwestie migracyjne to również perspektywa przynajmniej dwu, trzech pokoleń) pomyśleć warto o stworzeniu instytucji porównywalnych z think tankami w rodzaju ISW: eksperckich, niezależnych (a więc niepodlegających temu czy innemu resortowi, lecz funkcjonujących w akademickich ramach instytucjonalnych lub jako NGO). Ich cel powinien być inny niż tylko produkowanie bieżących analiz działań wojennych. Potrzebujemy instytucji w dobrym sensie tego słowa interdyscyplinarnych i o globalnym obszarze zainteresowania (czy np. wojna w Syrii i to, co robili tam Rosjanie, nie jest dla państw Europy bolesną nau(cz)ką?). Chodziłoby o instytucję (lub może kilka instytucji, grup badawczych), które zajmowałyby się nie tyle wojną, ile szerzej – zagrożeniami dla pokoju. To, że takich badań nie da się robić w obrębie jednej dyscypliny ani tylko w oparciu o krajowe zasoby, to rzecz oczywista, więc do interdyscyplinarności dodałbym jeszcze dobre osadzenie w międzynarodowej nauce, np. w europejskiej przestrzeni badawczej.

Koniec końców akademickie zainteresowanie konfliktami zbrojnymi powinno pomóc społeczeństwom i państwom unikać ich lub przynajmniej zmniejszyć skalę ich występowania. Nawet autor przekonany o tym, że „natura wyposażyla nas w biologiczny, wrodzony potencjał, który wiedzie nas ku wojnie, a taki potencjał jest niczym ściśnięta sprężyna – tylko czeka na odpowiedni moment, by wyzwolić swoją moc” (D.L. Smith, *Najbardziej niebezpieczne ze zwierząt*), przyznaje, że „możemy mieć nadzieję na to, że kiedyś nienawiść do wojny stanie się silniejsza od radości, jaką z niej czerpiemy. By tak się stało, musimy przede wszystkim demaskować iluzje i samooszukiwanie, które likwidują traumę, jaką wywołuje zabicie drugiego człowieka”. Unikając naiwnego optymizmu oraz myślenia życzeniowego, możemy potraktować badanie wojen i konfliktów zbrojnych tak samo, jak medycyna traktuje badanie ciągle mutującego wirusa groźnej choroby – chcemy je lepiej poznać nie po to, by je podziwiać, lecz by umiejętnie sobie z nimi radzić.

Dr Marcin Jarzabek, Katedra Antropologii Historycznej i Teorii Historii, Instytut Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”. Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku. Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł; prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł. Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Olga Smalej-Kołodziej

Kultura bezdzietności – gdzie są te dzieci?

Warto się zastanowić nad tym, jakie są wartości współczynników urodzeń i przyczyny zmian zachowań prokreacyjnych jednostek, jakie mogą być konsekwencje opisywanych zmian demograficznych oraz co w ogóle Polacy sądzą o osobach, które rezygnują z posiadania potomstwa.

Tematyka związana z dzietnością wydaje się w ostatnich latach szczególnie interesująca i popularna w różnych grupach społecznych (zarówno wśród naukowców, polityków, dziennikarzy, jak i pozostałych obywateli). Dyskurs publiczny obfituje w hasła, takie jak niż demograficzny, polityka prorodzinna, kryzys dzietności czy inne podobne. W miesiącach wakacyjnych 2022 roku w całej Polsce zobaczyć można było billboardy ze zmiennym pytaniem „Gdzie są te dzieci?”, a czołowa partia polityczna swoją przewagę buduje na bazie programu dotującego narodziny i wychowanie potomstwa. Jednak w codziennym funkcjonowaniu zwykle nie zastanawiamy się nad tym, jakie wartości faktycznie osiągają wskaźniki urodzeń, na ile poważnym problemem jest utrzymujący się w długim okresie niż demograficzny i jakie konsekwencje niesie ze sobą.

Niskie wartości wskaźników urodzeń są charakterystyczne dla większości państw Europy. Mimo iż każdy kraj cechuje się własnymi uwarunkowaniami osiąganych wartości, to sytuacja ta powiązana jest ze zmianami praktyk prokreacyjnych jednostek, u podłoża których leży wiele aspektów o zróżnicowanym charakterze: społeczno-kulturowym, gospodarczym, a przede wszystkim jednostkowym. Warto zaznaczyć, iż współcześnie zakres posiadanej i potencjalnej kontroli urodzeń jednostki, z uwagi na dostępność skutecznych metod kontroli zachowań reprodukcyjnych, jest znacząco większy niż w przeszłości. Zauważalne w ostatnich dekadach są zatem takie procesy, jak zmniejszanie liczby urodzeń, odkładanie decyzji prokreacyjnych w cyklu życia jednostki, a także wzrost liczebności osób bezdzietnych. Co więcej, zauważa się coraz częstszy wybór życia bez dzieci, który nie odnosi się już tylko do pojedynczych przypadków, ale staje się coraz bardziej widoczny w społeczeństwie.

Warto zatem zastanowić się nad tym, jakie są wartości współczynników urodzeń i przyczyny zmian zachowań prokreacyjnych jednostek, jakie mogą być konsekwencje opisywanych zmian demograficznych oraz co w ogóle Polacy sądzą o osobach, które rezygnują z posiadania potomstwa.

Ile mamy dzieci, ile mają inni i jak to się zmieniło

Jednym ze współczynników stosowanych do określania poziomu dzietności, dokonywania porównań międzypań-

stwowych czy też obserwacji trendów czasowych jest współczynnik TFR (*Total Fertility Rate*) oznaczający średnią liczbę żywo urodzonych dzieci przypadających na jedną kobietę w wieku rozrodczym. Przyjmuje się, że wartość tego współczynnika na poziomie 2,10 – 2,15 charakteryzuje tzw. prostą zastępowalność pokoleń. Natomiast wartości poniżej 1,5 oznaczają niską dzietność, a te poniżej 1,3 bardzo niską dzietność. Wartości tego współczynnika utrzymujące się w dłuższym okresie na niskim poziomie prowadzą do bezpowrotnych zmian w strukturze wieku ludności danego obszaru geograficznego. Jak wskazują oficjalne statystyki, niemal we wszystkich krajach OECD wartości współczynnika TFR są niższe niż te potrzebne do prostej zastępowalności pokoleń. Średnia dzietność w krajach OECD od 1970 roku spadła z poziomu 2,8 do poziomu 1,6 odnotowanego w roku 2019. Sytuacja w Europie wydaje się jeszcze gorsza, ponieważ poziom dzietności Europejczyków jest zdecydowanie niższy niż mieszkańców pozostałych części świata. Dla porównania, w Stanach Zjednoczonych TFR wynosi 1,73, w Afryce Południowej 2,4, w Afryce Subsaharyjskiej przekracza 4, niemal we wszystkich krajach Ameryki Południowej przekracza wartość 2, w krajach arabskich przekracza 3, podczas gdy w Europie osiąga średnią wartość na poziomie 1,53. To właśnie migracje w dużej mierze odpowiadają za obecne wartości liczby ludności zamieszkującej Europę.

Jak natomiast wygląda sytuacja w Polsce? Otóż od końca lat 80. współczynnik dzietności w kraju utrzymuje się na poziomie uniemożliwiającym prostą zastępowalność pokoleń, a od początku XXI wieku zaczął osiągać skrajnie niskie wartości, tj. poniżej 1,4. W latach 2002–2006 wartości te klasyfikowały Polskę jako kraj o skrajnie niskiej dzietności; najniższą wartość współczynnika (1,22) wykazano w roku 2003. W kolejnych latach sytuacja nie uległa znaczącej poprawie. W 2015 roku Polska zajęła drugie miejsce od końca w Europie pod względem wartości współczynnika TFR. Zatem na tle Europy pozostaje krajem o niskiej dzietności. A jeśli przyjmiemy, że Europa jest jednym z obszarów o najniższej notowanej dzietności, to okazuje się, że Polska jest jednym z krajów o najniższych wartościach wskaźników urodzeń na świecie.

Przyczyny spadku urodzeń, czyli odpowiedź na pytanie, gdzie są te dzieci?

Istnieje wiele przyczyn leżących u podłoża przemian dzietności warunkujących zmniejszanie wartości wskaźników urodzeń. Do przyczyn tych zalicza się między innymi związane ze zmianami praktyk w obrębie życia małżeńsko-rodzinnego i ról płciowych. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu takie zachowania jak rozwody, brak potomstwa czy posiadanie dzieci bez ślubu były głośno potępiane przez otoczenie społeczne: znajomych, sąsiadów czy rodzinę. Obecnie mamy do czynienia z postępującą liberalizacją społecznych norm obyczajowych, a wiele osób realizuje tzw. alternatywne formy życia małżeńsko-rodzinnego, np. single czy LAT (Living apart together). Zauważalny jest spadek stabilności związków, co odzwierciedlają choćby rosnące wartości statystyk dotyczących rozwodów, zmniejszająca się liczba zawieranych małżeństw czy wzrastająca orzekanych separacji. Mamy do czynienia z wydłużeniem okresu młodości poprzedzającej moment założenia rodziny, wydłużonym okresem edukacji oraz realizacją innych aspiracji życiowych. Zmiany praktyk okołorodzinnych wpływają na poziom dzietności jednostek. Spadek skłonności prokreacyjnych powodowany jest również przemianami o charakterze aksjonormatywnym, polegającymi na zwiększeniu znaczenia tzw. wartości postmaterialistycznych, do których należą między innymi dążenie do samorealizacji, indywidualizm oraz ukierunkowanie na zmiany. Spadek skłonności prokreacyjnych wynika również z aktywizacji zawodowej kobiet, zmiany ról i obowiązków oraz rozwoju skutecznych mechanizmów kontroli urodzeń. Brane są pod uwagę wysokie koszty alternatywne urodzenia dziecka (zmniejszenie konkurencyjności kobiety na rynku pracy, straty w dochodach), nierówny podział obowiązków w gospodarstwie domowym, emancypacja kobiet oraz rozwój kultury konsumpcyjnej. Do przyczyn rezygna-

cji z planów prokreacyjnych oraz zmniejszenia liczby posiadanych dzieci często zalicza się także te o charakterze ekonomicznym: wysokie koszty wychowania dzieci, niepewną przyszłość wynikającą z niestabilności gospodarczej, złe warunki mieszkaniowe (np. trudności w dostępie do własnych mieszkań), trudności w godzeniu pracy z rodzicielstwem oraz zagrożenie utratą pracy. Na decyzje prokreacyjne wpływ mogą mieć nie tylko stabilność zatrudnienia czy warunki pracy, ale również osiągnięte dochody. Z analizy budżetów gospodarstw domowych jasno wynika, że liczba dzieci w rodzinie wpływa na dochód przypadający na jedną jednostkę. Szacunki wskazują, iż pojawienie się kolejnych dzieci w rodzinie obniża jej dochód rozporządzalny na osobę nawet o około kilkadziesiąt procent.

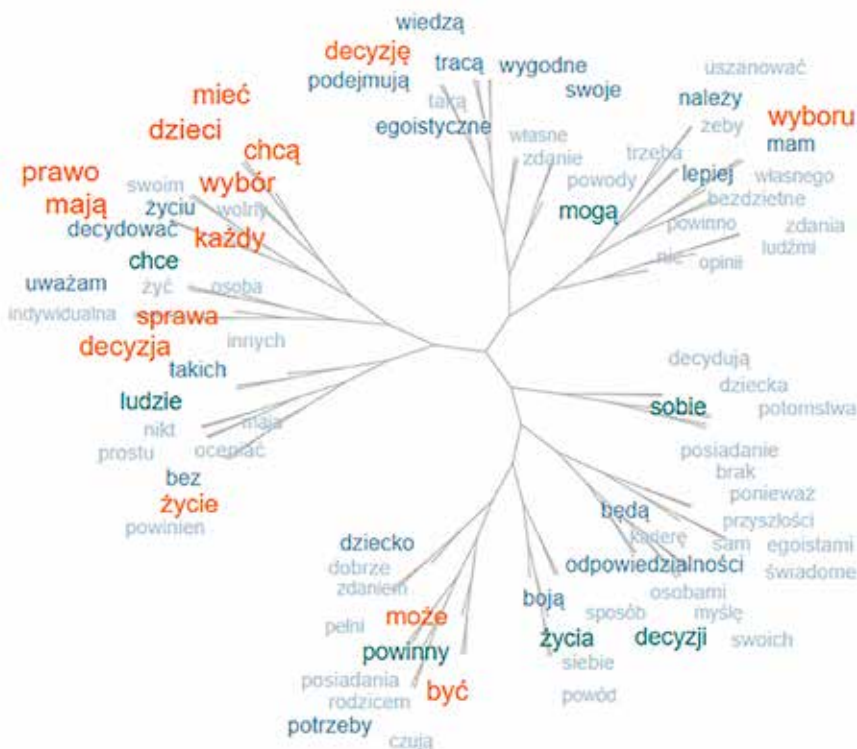
Współczesne tempo funkcjonowania, realizacja kariery zawodowej i konsumpcyjny styl życia stoją jakby w opozycji do stabilnego życia rodzinnego i wychowywania gromadki dzieci. Całość tych procesów prowadzi do zmniejszania liczby posiadanych potomstwa, odkładania decyzji prokreacyjnych w cyklu życia jednostek, a także w niektórych przypadkach do całkowitej rezygnacji z posiadania dzieci.

Bezdzietność z wyboru – czym jest i jak ją postrzegamy?

Skrajnym przykładem realizowanego obecnie modelu zachowań alternatywnych wobec życia małżeńsko-rodzinnego jest celowe i trwałe zaniechanie posiadania dzieci zwane „bezdzietnością intencjonalną”. Badacze zjawiska bezdzietności wskazują, iż wybór życia bez dzieci odnosi się już nie tylko do pojedynczych przypadków, obserwuje się rozwój tego modelu zachowań. Analizując decyzje dotyczące nieposiadania dzieci, wyróżnić można dwa dominujące podejścia. Pierwsze łączy się z celową, jednoznaczną i trwałą decyzją o nieposiadaniu potomstwa, a drugie raczej z procesem podejmowania tej decyzji niż z powzięciem zamiaru i jego realizacją. Badacze zjawiska

bezdzietności dużo częściej wskazują na proces podejmowania decyzji o życiu bez dziecka niż na jednorazową, stanowczą deklarację. Proces ten trwa w cyklu życia jednostek i najczęściej stanowi rezultat licznych przemyśleń, niepewności, niewykorzystanych okazji czy splotu okoliczności życiowych, które w konsekwencji prowadzą do życia bez dzieci. Poza tym zauważa się zmienność postanowień w czasie, wraz ze zmianą okoliczności i sytuacji życiowych. Można również powiedzieć, iż decyzja o bezdzietności może być zarówno decyzją aktywną (czyli podjętą świadomie), jak i pasywną (czyli na przykład wynikającą z sytuacji życiowej).

Podstawowym rozróżnieniem pojęciowym bezdzietności jest wyróżnienie bezdzietności mimowolnej oraz bezdzietności z wyboru.



Rys. 1. Drzewo słów skonstruowane na podstawie wypowiedzi własnych badanych, dotyczących opinii o osobach bezdzietnych z wyboru

Niektórzy analitycy zjawiska wskazują, iż bezdzietność mimowolna to bezdzietność sensu stricto, natomiast bezdzietność z wyboru rozumieć należy jako rezygnację z dziecka. W analizach dotyczących zjawiska bezdzietności z wyboru wielu autorów wskazuje na kluczowe znaczenie procesu długoterminowego lub też bezterminowego i wielokrotnego odkładania decyzji o dziecku jako podstawy wzrostu liczebności osób bezdzietnych. Intencjonalna bezdzietność jest zjawiskiem wewnątrznie zróżnicowanym, motywacje podjęcia decyzji o nieposiadaniu dzieci różnią się w poszczególnych przypadkach. Najogólniej można powiedzieć, że do przyczyn pozostawiania bezdzietnym zaliczyć należy cały konglomerat czynników: brak partnera, wpływ pracy zawodowej, obawę, że wszelkie obowiązki wychowawcze spadną jedynie na kobietę, obawę przed pogorszeniem relacji w związku, strach przed ciążą i porodem oraz zmianami, jakie zachodzą w ciele kobiety, brak potrzeby emocjonalnej bycia rodzicem oraz strach przed posiadaniem dziecka i konsekwencjami z tym związanymi, wpływ zdrowia, negatywne nastawienie do stałych związków, wygodę, wysokie koszty utrzymania dziecka, złą politykę państwa, altruistyczne nastawienie do świata i przyrody, traumatyzujące doświadczenia dzieciństwa, czynniki materialne, np. brak mieszkania oraz nonkonformizm.

W postrzeganiu zjawiska bezdzietności z wyboru z biegiem lat następują znaczące zmiany, wyraźnie idące ku bardziej pozytywnej percepcji. Można powiedzieć, że współcześnie obowiązek posiadania dzieci zaczyna ustępować miejsca dobrowolności. Badania analizujące postawy Polaków wykonane w 2018 roku na próbie 1096 respondentów pokazały, iż 81,1% osób wskazało na deklarację akceptacji bezdzietności celowej, 10,2% osób odpowiedziało, iż nie akceptuje takiej postawy. Natomiast 8,8% badanych nie miało zdania w tej kwestii. Jednak niemal jedna trzecia badanych wskazuje, iż bezdzietni z wyboru powinni ponownie przemyśleć swoją decyzję o nieposiadaniu dzieci. Podczas realizacji badania poruszono także kwestię związaną z opinią respondentów dotyczącą tzw. podatku od bezdzietności. Jak się okazało, respondenci w zdecydowanej większości sprzeciwiają się wprowadzeniu takiej formy opodatkowania. 77,4% badanych wskazało, iż osoby, które nie posiadają dzieci, nie powinny płacić dodatkowego podatku. 7,8% badanych chciałoby wprowadzenia podatku od bezdzietności, a 14,9% wskazuje, iż trudno jest się im jednoznacznie ustosunkować do opisywanej kwestii.

W badaniu analizowane były także otwarte wypowiedzi badanych o osobach bezdzietnych z wyboru, z których wynika, iż po pierwsze jest to „ich decyzja/życie/sprawa”, na co wskazało 21,8% badanych, po drugie, iż mają prawo do realizowania takiej formy życia, co wskazało 8% badanych, po trzecie wyrażano przekonanie, iż należy akceptować decyzję osób wybierających bezdzietność – 5,3% respondentów. Przykładowe wypowiedzi badanych są następujące: K163 (jest to kod respondenta – litera oznacza płeć, liczba numer respondenta) pisze: „Mają różne powody, by tak postanowić. Trudno jest kategoryzować, ale jeśli tak czynią, trzeba uszanować ich decyzję”. Z kolei M450 uważa, że: „Własne szczęście realizuje się tak, jak każdy sobie zaplanuje. Jeżeli drogą do szczęścia ma być bezdzietność, to każdy ma wolny wybór”. I K345: „Každy ma prawo decydować o swoim życiu, nie każdy ma ochotę brać na swoje



barki odpowiedzialność, z jaką wiąże się posiadanie dzieci”. Jednak dość często w opiniach badanych bezdzietni z wyboru jawią się również jako skupieni na sobie/egoistyczni – 5,5% badanych wskazało na tego rodzaju odczucia oraz przedkładające nad posiadanie potomstwa inne wartości, takie jak kariera, praca, pieniądze, na co wskazuje również około 5% badanych. Przykładem może być respondent M561: „Są to osoby zbyt leniwe i egoistyczne, aby podjąć trud wychowania dzieci”.

Na podstawie wypowiedzi otwartych stworzone zostało drzewo składające się ze słów najczęściej pojawiających się w wypowiedziach badanych oraz uwzględniające relacje między słowami.

Analizując drzewo słów, można zauważyć, jakie opinie o osobach bezdzietnych z wyboru dominują w wypowiedziach badanych Polaków.

Konsekwencje niskiej dzietności, czyli do czego prowadzi niż demograficzny?

Zwiększająca się liczba osób rezygnujących z posiadania potomstwa oraz odkładających decyzje prokreacyjne oddziałuje na sytuację demograficzną, a w konsekwencji na inne obszary funkcjonowania człowieka, gdyż parametry demograficzne danego kraju warunkują szanse rozwoju i konkurencyjności gospodarki, sferę zachowań społecznych czy działań politycznych. Potencjał ludności danego obszaru warunkuje przyszłe zasoby kapitału ludzkiego, który to z kolei warunkuje wszelkie inne formy kapitału odpowiadające za wieloaspektowy rozwój.

Utrzymywanie się w długim okresie niskiej dzietności w społeczeństwach prowadzi do nieodwracalnych zmian w strukturze wiekowej ludności, a następnie do ubytku ludności, co niesie za sobą liczne wyzwania społeczne oraz gospodarcze w krajach dotkniętych tym zjawiskiem. Znamienne jest tu zwłaszcza utrzymywanie się niskiej płodności przy jednoczesnym stałym wydłużaniu się cyklu życia jednostek, ponieważ prowadzi do zachwiania równowagi w strukturze demograficznej między grupami osób w wieku przedprodukcyjnym, produkcyjnym i poprodukcyjnym. Obecne zmiany dzietności mają bezpośredni wpływ na zmianę struktury społecznej. Prognozy dla Polski wskazują, że między rokiem 2013 a rokiem 2060 zmniejszy się grupa osób w wieku do 14 lat o 1,5% oraz o 16,4% grupa wiekowa 15–64 lata, wzrośnie natomiast udział grupy wiekowej osób starszych (65+) o 18,5%. Już w najbliższych latach przewidyje się, że wskaźnik „obciążenia osobami starszymi” w Polsce wzrośnie z 21,9 do 35 osób. Natomiast wskaźnik potencjalnego wsparcia, który w 2010 roku wynosił 5, już w najbliższej przyszłości spadnie poniżej 4, a w roku 2060 może wynieść nawet 1,5. Zmiany demograficzne będą stanowiły ogromne wyzwanie w wielu podstawowych sferach życia społeczeństw: społecznej, gospodarczej, politycznej. Niebagatelne skutki przyniesie to również opiece zdrowotnej czy życiu osobistemu jednostek.

Artykuł prezentuje zawartość monografii *Kultura bezdzietności. Niska dzietność i bezdzietność z wyboru w perspektywie społeczno-ekonomicznej*, Wydawnictwo UMCS.

Dr Olga Smalej-Kołodziej, Wydział Ekonomiczny Uniwersytetu Marii-Curie Skłodowskiej w Lublinie. Jej zainteresowania naukowe związane są z obszarem nauk społecznych. Bada rynek i opinie, realizuje przedsięwzięcia jakościowe i ilościowe.

Czego nie wiemy o Koperniku?

Mało prawdopodobne, by Kopernik zwierzał się wujowi ze swoich astronomicznych zainteresowań, gdyż ten by ich raczej nie poparł. W *De revolutionibus orbium coelestium* (1542) opisuje obserwacje poczynione w Bolonii, Rzymie, Krakowie, ale żadnej w Lidzbarku.

Wydaje się, że o Koperniku wszystko wiadomo. Jednak jeśli się dokładniej zastanowić, posługujemy się samymi ogólnikami w rodzaju: „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię”, był Polakiem, astronomem itp. Co stwierdzenia te oznaczały w odniesieniu do realiów XV i XVI wieku? Co można stwierdzić o Koperniku z całą pewnością, a czego nie wiemy wcale? Co jest domysłem, a co legendą?

Kopernik Starszy

O ojcu Kopernika wiemy niewiele. Tyle, ile pozostało w dokumentach źródłowych, a jedyne ślady mamy w księgach handlowych. I tak np. w 1447 roku „Niclos Koppernik von Crocaw” sprzedał miedź innemu kupcowi w Gdańsku. Stąd wiemy, że ojciec Kopernika miał na imię tak samo jak syn i pochodził z Krakowa. Prawdopodobnie był pierwszym kupcem w rodzinie, a przodkowie zajmowali się rzemiosłem. Np. w 1375 roku żył w Krakowie Mikołaj Kopernik, który był płatnerzem. Dwa dziesięcia lat wcześniej inny Mikołaj pracował jako kamieniarz. Tego właśnie uważa się za pradiadka astronoma, a płatnerza za jego dziadka, choć to można stwierdzić jedynie z pewną dozą prawdopodobieństwa, ale nie potwierdzić. Nie ma wspomnień, badań genetycznych czy innych źródeł.

Nie do końca jest też jasne pochodzenie nazwiska. Być może „Kopernik” jest przydomkiem, gdyż „kopper” oznacza miedź, a tym właśnie metalem handlował ojciec astronoma. Jeżeli „Kopernik” było tylko nazwiskiem i nie miało nic wspólnego z pracą ojca astronoma, trzeba przyznać, że byłby to dość niezwykły zbieg okoliczności. Na Śląsku jest też wieś Koperniki, gdzie funkcjonował kościół pod wezwaniem św. Mikołaja. Tradycyjnie więc dzieciom, które urodziły się w tej parafii, nadawano imię patrona świątyni. To jest także podejrzenie zbieżne z historią rodzinną Kopernika, gdyż pokolenia mężczyzn noszą to samo imię, ale znów jest to tylko kolejna hipoteza. Nie wiadomo więc ostatecznie, skąd pochodzi ród Kopernika, czy z Krakowa, czy ze Śląska, czy jeszcze z innego miejsca. Dodatkowo sprawę komplikuje fakt, że nazwisko zapisywano w różny sposób (Kopernik, Koppirnik, Coppornik, Kopirnik, Kappirnic itp.). Są też pokrewne wersje, jak Czeppernick czy Kopersmed,

które również mogą uchodzić za wersję tego samego nazwiska czy przydomka.

Możliwe, że Kopernik starszy był nie tylko prostym handlarzem miedzią. W księgach rady miasta Gdańska znajduje się zapis, że Mikołaj Kopernik starszy odebrał 350 zł dukatów dla ówczesnego kardynała z Krakowa, czyli Zbigniewa Oleśnickiego. Można więc podejrzewać, choć na pewno tego nie wiadomo, że spełniał funkcję agenta wywiadu polskiego w wojnie trzynastoletniej z Zakonem Krzyżackim. Jeśli Kopernik starszy wypełniał zadania dyplomatyczne, to jego znaczenie było większe niż to, które wynikało z pracy zarobkowej. To wyjaśniałoby też, dlaczego udało mu się zdobyć żonę pochodzącą z jednej z najznamienitszych rodzin w Toruniu.

Do momentu ślubu z Barbarą Watenrode Kopernik starszy nie miał żadnego majątku. Potem figurował jako właściciel kamienicy przy ul. św. Anny (obecnie ul. Kopernika), winnicy w miejscowości Clostirchen (obecnie dzielnica Torunia – Kaszczorek) oraz połowy kamienicy przy głównym rynku (obecnie dom towarowy przy Starym Rynku). Od 1465 roku Kopernik starszy był też ławnikiem miejskim, co oznaczało znaczny awans na drabinie społecznej.

Nie wiadomo dokładnie, w którym budynku mieszkała rodzina Koperników ani w której nieruchomości przyszli na świat przyszły astronom i jego rodzeństwo. Przyjmuje się, że siedzibą rodzinną był dom przy ulicy św. Anny. Budynek został sprzedany w 1480 roku, a Kopernik starszy zmarł trzy lata później. Rodzina ubożała i wyprzedawała majątek, co oznacza, że handel miedzią nie był zbyt intratny albo napotkali oni na jakieś niespodziewane trudności. Mówi się o dużej nieudanej transakcji, być może o zatopieniu barki z towarami Koperników, ale znów są to tylko hipotezy.

Mikołaj Kopernik zaczął studia stosunkowo późno, bo jako osiemnastolatek. Zazwyczaj zaczynało się je o dwa, trzy lata wcześniej. Według dat wynikałoby, że chodził do szkoły parafialnej przez dziesięć lat, co jest mało prawdopodobne. Być może uczył się dalej w Chełmnie lub we Włocławku, ale na to znowu nie ma źródeł pisanych. Być może był służącym Filipa Kallimacha (1437-1496), wykształconego Włocha, który był w Polsce

i był doradcą Jagiellonów. Wiadomo, że Kallimach miał służącego Mikołaja, którym teoretycznie mógł być chłopiec z Torunia. Towarzyszył mu w wielu podróżach po Europie. To by też wyjaśniało, skąd Kopernik znał tyle języków. Podróżując, mógł je doskonalić.

Wpływowy wuj i tajemniczy brat

Wiemy, że Mikołaj (astronom) miał brata Andrzeja. Nie wiemy jednak, czy był on młodszy, czy starszy. Obu Koperników wuj, biskup Łukasz Watzenrode (1447–1512), wspierał i wysłał na studia, najpierw na Uniwersytet Krakowski, potem do Włoch – do Bolonii. Obaj trafili na uczelnię w 1491 roku, ale nie wiemy, jakimi byli studentami i czy te nauki w ogóle jakimś formalnym tytułem ukończyli. Nie wiemy też, czy Mikołaj Kopernik miał więcej rodzeństwa. Historycy uważają, że miał jeszcze co najmniej dwie siostry (Barbarę i Katarzynę). Jeżeli w swoim życiu nie odgrywało się żadnej roli – nie chodziło się do szkoły, nie należało do żadnej instytucji, nie wchodziło się w związek małżeński czy nie było się stroną w procesie sądowym – to po prostu nie było takiego człowieka w żadnym rejestrze. Dlatego też nie wiadomo, czy Kopernikowie nie mieli więcej dzieci, które np. zmarły w dzieciństwie. Praktycznie nic nie wiadomo o matce Kopernika Barbarze Watzenrodównie, choć o samej jej rodzinie już tak. Ród Watzenrode należał do patrycjuszy Torunia. Był skoligacony z innymi toruńskimi zamożnymi rodzinami. Matka Kopernika wyszła za mąż za Mikołaja starszego ok. 1460 roku. Miała siostrę Krystynę, która wyszła za mąż za rajcę Tilemana von Allena, oraz brata Łukasza Watzenrode młodszego, który został biskupem warmińskim.

Żeby rządzić na Warmii, Watzenrode musiał mieć większość głosów w kapitule, w skład której wchodziło kilkunastu kanoników. Nie było możliwości, żeby obsadzić ją własnymi synami – wszak Watzenrode był duchownym – ale siostrzeńcy (bo przyjaciel surowy Watzenrode raczej nie miał wielu) równie dobrze mogli spełnić tę samą funkcję. Dlatego Watzenrode inwestował w edukację Koperników. W zamian oczekiwał posłuszeństwa, a kiedy siostrzeńcy coś mu zawinili, groził nawet, że ich ekskomunikuje. To akurat zachowało się w źródłach.

Czy Kopernik był Polakiem?

Nie wiadomo, gdzie urodził się Kopernik ani dokładnie kiedy. Zakłada się, że data urodzin astronoma to 19 lutego 1473 roku, choć informacja ta pochodzi z horoskopu sporządzonego w 1540 roku przez Junctinusa, a więc niemal 70 lat później. Mogła być równie dobrze „wyciągnięta z kapelusza”. Nie wiadomo też, skąd wzięły się zainteresowania astronomiczne Kopernika. Jeśli obserwować jego ścieżkę edukacyjną i pełnione funkcje, to Kopernik był duchownym, politykiem, ekonomistą, zajmował się sztuką wojenną, medycyną, hellenistyką, prawem kanonicznym i kartografią. O systematycznych naukach astronomii – poza epizodem bolońskim – brak informacji.

Nie wiadomo także, jak wyglądał Kopernik. Liczne obrazy i pomniki nawiązują w istocie do jedynego portretu, który zaginęła. Jedna z bardziej znanych podobizn, namalowana przez Jana Matejkę, powstała w latach 70. XIX wieku i była inspirowana innymi dziełami i wyobraźnią samego malarza, ale nie opierała się na faktach. Zatem nie możemy mieć pewności, że Mikołaj Kopernik był szczupły, miał wydatny nos i ciemne półdługie włosy.

Czy Kopernikowie byli Polakami? Na pewno nie we współczesnym sensie. Jako mieszkańcy Torunia najprawdopodobniej mówili odmianą języka niemieckiego, podobnie jak Watzenrodowie. „Opłacało” im się należeć do wielkiego Królestwa Polskiego zbudowanego przez Jagiellonów, żyć w uprzywilejowanym mieście handlowym i korzystać z prawa składu.

Kopernikowie byli więc poddanymi polskiego króla z wyboru i podejmowali działania go wspierające, co czyni z nich Polaków, choć etnicznie pewnie nimi nie byli.

Sam Kopernik, kiedy był już kanonikiem warmińskim, miał sporo kontaktów z ludnością posługującą się językiem polskim. Podczas osadzania polskich chłopów na ziemiach kapituły warmińskiej zapisywał ich imiona i choć robił to po łacinie, odtwarzał właściwie ich brzmienie. Być może mówił trochę po polsku. Wiemy, że nie korzystał z pomocy tłumaczy.

Białe plamy w ścieżce edukacyjnej

Kopernik rozpoczął edukację w szkole parafialnej przy katedrze świętych Janów. Placówka reprezentowała stosunkowo wysoki poziom nauczania i byli tam nauczyciele, którzy mieli pojęcie o astronomii. Jednak nie ma źródeł potwierdzających, że Mikołaj Kopernik dokonywał jakichkolwiek obserwacji w Toruniu. W Krakowie, w okresie studiów Kopernika, na Uniwersytecie Jagiellońskim istniała katedra astronomii, a sama uczelnia była w światowej czołówce, jeśli chodzi o nauki ścisłe. Nie ma jednak dowodów, żeby Kopernik dokonywał jakichkolwiek obserwacji astronomicznych także w Krakowie. Pierwsza udokumentowana obserwacja miała miejsce dopiero w Bolonii w 1497 roku i było to zaćmienie Aldebarana przed Księżycem. Bez fachowego przygotowania nie da się jednak dokonać takiej obserwacji, zakłada się więc, że Kopernik musiał gdzieś taką wiedzę zdobyć. Może właśnie w Krakowie lub w Toruniu.

W 1495 roku Kopernikowie zostali wezwani na Warmię, by objąć swoje miejsca w kapitule. Nie ukończyli więc studiów w Krakowie, a rok później Mikołaj Kopernik rozpoczął edukację w Bolonii. Dlaczego tam? Najprawdopodobniej dlatego, że kilkadziesiąt lat wcześniej studiował tam wuj Łukasz Watzenrode. Być może dlatego też, że Kopernik miał do załatwienia we Włoszech jakieś polityczne zadania dla swojego zwierzchnika i krewniaka. Nie wiadomo, czy cały czas towarzyszył mu brat Andrzej. Nie wiadomo też, czego dokładnie uczył się tam Kopernik. Wiemy tylko, że na studiach przez dwa lata był asystentem włoskiego profesora Domenico Marii Novary (1454–1504). Po Bolonii Kopernik pobierał nauki w Padwie i Ferrarze, gdzie w 1503 roku obronił wreszcie tytuł doktora. Dlaczego tam? Zupełnie nie wiadomo. Być może dlatego, że opłaty za wystawienie dyplomu były tam niższe, a nie znając nikogo, nie musiał organizować bankietu dla przyjaciół i wykładowców. Są to jednak jedynie domysły.

Nie wiadomo także, czy w Bolonii Mikołaj Kopernik był bakałarzem, czy magistrem, czy w ogóle miał jakiś tytuł. Na pewno studiował prawo i filozofię (w Bolonii i Padwie). Wiadomo, że zapisał się też na studia medyczne w Padwie, bo prosił o zgodę kapituły warmińskiej. Żeby uzyskać doktorat z prawa kanonicznego w Ferrarze, musiał mieć udokumentowane liczne lata nauki. Być może uzyskał jakieś dyplomy w Bolonii i Padwie, ale nie dotrwały do późniejszych czasów, a sam uczony się nimi nie chwalił. W studiach towarzyszył mu brat Andrzej (na pewno w Krakowie i przez pewien czas w Bolonii). Nie ma jednak dowodów, żeby jakkolwiek uczelnię ukończył, choć studiował ponad dziesięć lat. Nie cieszył się dobrą opinią wśród rodziny i znajomych, a w późniejszych latach życia zapadł na „tajemniczą chorobę” (najprawdopodobniej trąd).

Po studiach Kopernik udał się do swojego wuja do zamku biskupów warmińskich, który był ulokowany w Lidzbarku Warmińskim. Pełnił oficjalnie funkcję osobistego sekretarza i lekarza Watzenrodego. Mało prawdopodobne, by Kopernik zwierzał się wujowi ze swoich astronomicznych zainteresowań, gdyż ten by ich raczej nie poparł. W *De revolutionibus orbium coelestium* (1542) opisuje obserwacje poczynione w Bolonii, Rzymie, Krakowie, ale żadnej w Lidzbarku. Pod koniec życia wuj Kopernika

miał coraz więcej wrogów. Nawet sam astronom przestał stawać po stronie wuja, gdyż jego polityka konfliktowała z Warmią ze wszystkimi – z Krakowem, Gdańskiem, o Krzyżakach nie wspominając. W tym czasie Kopernik najprawdopodobniej pracował nad tekstem *Nicolai Copernici de hypothesisibus motuum coelestium a se constitutis commentariulus* (w tłumaczeniu: „Mały komentarzyk Mikołaja Kopernika na temat hipotetycznych ruchów ciał niebieskich”), w którym zawarł główne tezy swojej przyszłej teorii. Najprawdopodobniej ta praca powstawała w ukryciu przed wujem.

Choć wiele osób uważa, że Kopernik był księdzem, nigdy nie przyjął on wyższych święceń kapłańskich. Jedną z hipotez jest taka, że bardzo nie chciał zostać biskupem po Łukaszu Watzenrode czy biskupem w ogóle. Inna jest taka, że był niezbyt wierzący i nie chciał spełniać funkcji przypisanych duchownemu. Po trzecie, mówi się, że Kopernik żył z kobietą, niejaką Anną Schilling, co także dowodzi tego, że nie po drodze było mu z rygorami nakładanymi na duchownych. Wygląda na to, choć pewności nie ma, że związek tych dwojga trwał ponad dziesięć lat, do śmierci astronoma, i był solą w oku innych kanoników i biskupa warmińskiego.

Skąd się wzięła teoria heliocentryczna?

Kopernik widział siebie jako matematyka, nie astronoma. Podobnie określał się Ptolemeusz, którego dzieła torunianin z pewnością znał. Do sformułowania teorii heliocentrycznej – zdaniem samego astronoma – zainspirowali go starożytni Grecy i Rzymianie: Cyceon, Niketas, Plutarch, Filoos, Herakliusz z Pontu. Zdaniem Wojciecha Orlińskiego, autora wydanej w 2022 roku książki *Kopernik. Rewolucje*, jest to raczej tylko deklaracja, której celem było odsunięcie od siebie zarzutu o herezję. Być może inspiracją były także niektóre arabskie księgi, ale w ówczesnych warunkach politycznych odwołania do świata islamu nie były mile widziane.

W pierwszej dekadzie XVI wieku Kopernik przeniósł się do Fromborka, gdzie rezydowali kanonicy kapituły warmińskiej. W teorii powinno być ich szesnastu, w praktyce w mieście przebywało ich około dziesięciu. Na dokumentach Kopernik podpisuje się jako piąty, co mniej więcej odzwierciedlało jego miejsce w hierarchii tego organu. Astronom nie był w prezydium kapituły, ale bywał np. jej kanclerzem, czyli najbliższym współpracownikiem kustosa. Był więc „pierwszym wśród ostatnich”, co mogło mu odpowiadać, ponieważ mógł



Jan Matejko, *Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem*, olej na płótnie, 1873

się poświęcać innym zadaniom. Najprawdopodobniej we Fromborku Kopernik dokonał szeregu obserwacji astronomicznych, takich jak zaćmienie księżyca z 1511 roku czy koniunkcja Marsa z gwiazdą Alfa Librae z 1512. Do tego potrzebował tzw. pavementum, czyli wypoziomowanej powierzchni. Nie mógł więc dokonywać obserwacji z wież zamku we Fromborku, jak sugeruje obraz Matejki, bo trudno byłoby mu tam zanosić i ustawić przyrządy do pomiarów oraz znaleźć wystarczająco dużo wypoziomowanej powierzchni. Choć faktycznie był właścicielem jednej z zamkowych wież, raczej nie prowadził tam obserwacji, realizował jedynie obowiązek kanonika, który polegał na posiadaniu nieruchomości w obrębie kurii wewnętrznej. Było to podyktowane względami bezpieczeństwa. W przypadku oblężenia zamku Kopernik miał gdzie mieszkać. Bardziej prawdopodobne, że swoje stanowisko obserwacyjne, a więc wspomniane pavementum, umieścił gdzieś w kurii zewnętrznej, poza murami obronnymi.

Kopernik kontynuował obserwacje we Fromborku i Olsztynie. W *De revolutionibus* pisze, że prowadził systematyczne badania nieba do 1529 roku. Najważniejsze jest w tej pracy przedstawienie modelu matematycznego, który pozwala na ustalenie położenia różnych ciał niebieskich. Każdy może wykorzystać model kopernikański i wyliczyć, gdzie będzie się znajdowała interesująca go gwiazda. Kiedy Kopernik wziął się za testowanie własnego modelu, miał już około pięćdziesięciu lat. Potem na jakieś dziesięć lat swoje ustalenia odłożył na półkę i zwlekał z ich ogłoszeniem. Najprawdopodobniej był świadomy, jakie konsekwencje może mieć dla niego druk tej pracy.

Od manuskryptu do druku

Ostatnie lata astronoma nie były najłatwiejsze. Jego wysoka pozycja w kapitule uległa zachwianiu. Nowy biskup warmiński nie był już dla niego życzliwy, podobnie jak część kanoników, którzy pisali na niego donosy, głównie dotyczące życia prywatnego. Kopernik był odsuwany od bieżącej polityki. Jego postulaty naprawy pieniądza zignorowano. Wobec kolegów prowadzono postępowania związane z niemoralnym prowadzeniem się i posiadaniem ksiąg heretyckich, tj. protestanckich (casus kanonika Aleksandra Scultetiego, zm. 1564). Zaczynały się niebezpieczne czasy, gdy za odmienne zdanie można było trafić do więzienia albo nawet stracić życie.

Do publikacji *De revolutionibus* zachęcił Kopernika Reticus, czyli Georg Joachim de Perris (1514–1574). Reticus to przydomek, który znaczy tyle co „Austriak”. Był to młody matematyk z Norymbergi, który dowiedział się o Koperniku od swojego mistrza Johanna Schönera. Prawdopodobnie obaj zapoznali się wcześniej z *Commentariolus*em i było im wiadome, że powstała pełniejsza wersja rozprawy. Druga hipoteza jest bardziej skomplikowana i przewiduje udział w niej biskupa chełmińskiego, który był przyjacielem astronoma. Retyk odbył długą wyprawę w głąb Warmii w 1539 roku. Kopernik nie mógł przyjąć go u siebie, gdyż protestanckim heretykiem nie można było przebywać na terenie dominium warmińskiego, nie wolno też było udzielać im schronienia. Dlatego najprawdopodobniej obaj panowie spotkali się w Lubawie u wspomnianego przyjaciela Kopernika – biskupa Tiedemanna Giesego (1480–1550). Pokłosiem tej wyprawy jest *Relacja pierwsza z ksiąg o obrotach Mikołaja Kopernika*, która została wystylizowana jako list Retyka do własnego mistrza.

W tekście Retyk podkreśla rolę Giesego: „światły biskup wymógł w końcu na Panu Nauczycielu (tj. Koperniku – przyp. MS) obietnicę, że sąd nad swoimi dziełami pozostawi uczonym i potomności. Dlatego słusznie szlachetni mężowie i miłośnicy matematyki będą razem ze mną pełni wdzięczności dla jego ekscelencji biskupa chełmińskiego, że wyświadczył tę przysługę

światu”. Jak pisze Orliński, być może Giese rozumiał, że praca badawcza Kopernika to najważniejsza rzecz, jaka wydarzyła się na Warmii przez ostatnie dekady i że chce być zapamiętany jako osoba, która pomogła tym odkryciom ujrzeć światło dzienne. Być może to Giese dotarł do Retyka i jego mistrza i namówił ich poprzez posłańców lub listownie do zajęcia się tą sprawą. On sam, jako katolicki biskup, nie mógł jawnie opublikować pracy stojącej w sprzeczności z tym, co do tej pory o świecie sądzono (czytaj: co sądzili kolejni Ojcowie Kościoła). Giese mógł się obawiać, że nieopublikowany przez Kopernika rękopis zostanie zniszczony lub zarekwirowany jako heretycki, co nie było bezpodstawną obawą. Nie można było tekstu oddać byle komu, ponieważ stanowił wyzwanie dla drukarzy – pełen rysunków, tabel i greckich liter. W świecie protestanckim te usługi były na wyższym poziomie niż na terenie Rzeczypospolitej. Sam Kopernik ze względu na stan zdrowia i trudne położenie w kapitule nie mógł się tym zająć. Mógł być w każdej chwili oskarżony o herezję.

W ciągu trzech miesięcy Retyk napisał streszczenie *De revolutionibus* i znalazł sponsora, którym był burmistrz Gdańska. Pracę wydrukował gdański drukarz Franciszek Rhode w 1540 roku. Retyk zaczął rozsyłać publikację do czołowych myślicieli tamtego okresu. Nakład był niewielki. Najprawdopodobniej 300 egzemplarzy. Dopiero drugie wydanie z Bazylei stało się znaczące na europejskim rynku księgarskim. Zaistnienie *Relacji* paradoksalnie pomogło Kopernikowi. Od tej pory jakoś tak niezręcznie było aresztować kogoś, czyje myśli czytali i komentowali intelektualiści z całej Europy. Ówczesny biskup warmiński Jan Dantyszek (1485–1548) nie chciał wyjść na mało światłego i ograniczonego. Dlatego Kopernik już się nie obawiał i wziął się za ponowne redagowanie manuskryptu, co robił w latach 1539–1541. Druk *De revolutionibus orbium coelestium (O obrotach ciał niebieskich)* rozpoczął się w 1542 roku.

Tajemnice, które Kopernik zabrał do grobu

Nie ma pewności, czy Kopernik zobaczył swoje dzieło po wydrukowaniu, ponieważ zmarł 24 maja 1543 roku. Data śmierci Kopernika nie jest całkowicie pewna. Być może przyjaciele ją zafałszowali, ponieważ astronom miał życzenie, żeby jego stanowisko przejął krewny, niejaki Jan Loitz. Biskup warmiński zgodził się na koadiutorię (czyli wspólne sprawowanie funkcji w kapitule schorowanego Kopernika z młodszym Loitzem) dnia 16 maja 1543 roku. Ważne było, żeby Kopernik pożegnał się z tym światem po tej dacie, nad czym zapewne czuwali jego przyjaciele, podając do wiadomości publicznej taki, a nie inny dzień. To jednak tylko kolejna z wielu hipotez.

Nie wiadomo też do końca, gdzie został pochowany astronom. W tym czasie było przyjęte, że kanoników grzebie się pod posadzką katedry we Fromborku. Poszczególnych miejsc pochówku jednak nie oznaczano. Zazwyczaj przypisywano ich do konkretnych ołtarzy, którymi opiekowali się za życia. Opierając się na tym założeniu, badacze Jerzy Gąsowski i Jerzy Sikorski dokonali w 2004 roku ekshumacji szczątków, które mogły należeć do astronoma. Na podstawie włosów znalezionych w zrabowanym przez Szwedów księgozbiórze Kopernika ustalono zgodność genetyczną. Ekshumowana czaszka umożliwiła rekonstrukcję twarzy mężczyzny, którą w 2005 roku przedstawiono światu jako fizjonomię dojrzałego Kopernika. Inni uczeni podają jednak w wątpliwość przeprowadzone badania i ich wyniki. Być może nie jest to twarz astronoma, a innego kanonika warmińskiego, który żył w podobnym czasie, co astronom z Torunia. To kolejna zagadka, jakich wiele w życiorysie Kopernika.

By móc wchodzić do archiwów

Wróciłem do pracy w szkole, co było traktowane jako pewien rodzaj dziwactwa. Rzadkością było wtedy, żeby człowiek z doktoratem zatrudniał się jako nauczyciel, ale moim kolegą był inny wygnaniec, dr Paweł Dybel, filozof. Myślę, że w Liceum Dąbrowskiego domyślano się, że jesteś tam na skutek jakichś represji.

Umocnienie prof. Jana Szczepańskiego w roli eksperta kierującego reformą systemu szkolnictwa ułatwiło przekształcenie Międzyuczelnianego Zakładu Badań nad Szkolnictwem Wyższym w resortowy Instytut Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego. Instytut ulokowano naprzeciw Pałacu Staszica w dawnych stajniach Zamojskich. Pracownia Epistemologiczna Zakładu Prakseologii została zlikwidowana, a od 1 grudnia 1973 roku mianowano mnie sekretarzem nowego Instytutu. PAN zachowała formalnie wpływ na Instytut, ale okazało się, że model jego działania będzie „resortowy”. Bezpośrednia podległość Ministerstwu Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki zwiększała możliwości działania Instytutu. Miało to także znaczenie osobiste. Dowiedziałem się, że mam szansę wyjazdu pierwszy raz za granicę – do Sofii, gdzie bułgarskie Centrum Informacji i Naukoznawstwa zorganizowało międzynarodową konferencję. Musiałem uzyskać paszport służbowy w dwa dni, nie mając jeszcze formalnie uruchomionego etatu. Wyjazd był szansą przełamania stereotypu: prowadzący kurs języka francuskiego, gdy dowiedział się, że nie byłem jeszcze za granicą, powiedział, że jestem „prawdziwym patriotą”.

Paszport i rajstopy

Z wnioskiem pojechałem do ministerstwa, ulokowanego w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu. Odnalazłem pokój Wydziału Współpracy z Zagranicą. Pukałem do zamkniętych drzwi, w końcu nacisnąłem na klamkę. Ta była od środka podparta – jak się okazało – dwoma krzesłami, a panie urzędniczki przymierzały rajstopy. Koniec z wyjazdami, pomyślałem, jednak na korytarzu dogoniła mnie urzędniczka. Przyjęła wniosek i następnego dnia otrzymałem – ja, bezpartyjny opozycjonista, obecny na „czarnej liście” UW – paszport „na wszystkie kraje świata”, o co nawet nie wnioskowałem.

Zabierając głos podczas konferencji, mówiłem po rosyjsku o roli partyjnego Wydziału Nauki KC. W Bułgarii uwzględnienie tego szczebla decyzyjnego należało do sfery tabu, tylko młodzi pracownicy wyrazili mi podczas przerwy zainteresowanie.

Dyrektorem Instytutu był Tadeusz Wodzyński, habilitowany z zakresu organizacji pracy. Miał usposobienie starego kawa-

lera, współpraca z nim źle się układała większości pracowników. Wymagał pełnej dyspozycyjności. Do tego zastosował metodę odrzucania kolejnych wersji projektu programu Instytutu, które przygotowywałem. Gdy w końcu zapytałem o wskazania merytoryczne, odpowiedział, że celem wezwań do gabinetu jest ułożenie właściwych form współpracy. Przy kolejnym dyrektorze, Stefanie Kwiatkowskim, ekonomście z habilitacją, nie pełniłem funkcji sekretarza. Nie krępował pracowników w działaniu, wprowadził dzień zebrań czy dzień biblioteczny w miejsce zasady ciągłej obecności. Ta zresztą nawet w instytutach resortowych z zakresu nauk społecznych służyła życiu towarzyskiemu, a nie pracy badawczej. Musiałem skonkretyzować w Instytucie temat habilitacji, wybrałem „Instytuty humanistyczne Polskiej Akademii Nauk: Instytut Badań Literackich, Instytut Filozofii i Socjologii oraz Instytut Historii”.

Problemy pojawiły się, gdy zgłosiłem się do archiwów tych instytutów. Kazimierz Groszyński, dyrektor administracyjny IH PAN, udostępnił tylko oficjalne protokoły. Widać było, że mechanizmy funkcjonowania instytutów PAN mają pozostać tajemnicą. Przyczyniły się do tego rezultaty badań prowadzonych w 1971 roku przez prof. Witolda Kieżuna. Ujawnił on biurokratyczną rolę centrali PAN, decydenci zareagowali oskarżeniami o niegospodarność finansową. Kieżun pozbawiony został funkcji kierownika Zakładu Prakseologii PAN, a raport wstępny utajniono.

Odbieram panu głos

W 1975 roku naraziłem się władzy, idąc na obronę pracy doktorskiej Tadeusza Skoczego na Wydziale Prawa i Administracji UW. Był doktorantem u Zygmunta Rybickiego i jego pupilkiem. Traktowano go, jakby był u progu wielkiej kariery, którą później próbował zresztą zrobić. Praca dotyczyła kierowania uczelnią. Skoczny pisał – pod wpływem Rybickiego – głównie o organach jednoosobowych (rektor, dziekan). Byli zwolennikami metody administracyjnej w kierowaniu uczelnią. Ciekawił mnie ten temat, bo dotyczył czasów po II wojnie światowej, przeczytałem więc rozprawę Skoczego w czytelni bibliotecznej. Jest to – na marginesie powiem – chyba rzadko-

ścią, kiedy słuchacz na obronie jest obeznany w pełni z treścią rozprawy. Zauważyłem tam pewne błędy. Oprócz generalizacji – autor doktrynalnie popierał organy jednoosobowe, niwelując rolę organów kolegialnych – pojawiły się szkolne pomyłki. Praca historyka nauki Genadija M. Dobrowa cytowana była raz w oryginale (w języku rosyjskim), a raz w tłumaczeniu. Na język polski przetłumaczono tę samą pracę, zmieniając jednak jej tytuł na *Wstęp do naukoznawstwa*. W rozprawie pojawiły się dwie pozycje bibliograficzne. Gdy byłem w połowie wypowiedzi, prowadzący dyskusję dziekan Stefan Kurowski powiedział: „Odbieram panu głos”. Na to zachowanie pojawiły się protesty, kontynuowane również podczas zamkniętej narady, ponieważ to było niezgodne z procedurami. Skutek był taki, że mój głos zinterpretowano jako obronę dawnej, wydziałowej profesury. Nie chodziło mi o niszczenie przeciwnika wypowiedzią. Moją intencją nie była też krytyka Rybickiego, który był wschodzącą gwiazdą polityczną po wydarzeniach marcowych. Po jakimś miesiącu wezwał mnie dyrektor mojego Instytutu i przekazał informację, że musi mnie usunąć ze składu pracowników, ale ponieważ ma o mnie dobre zdanie, pozostawia mi jeszcze pół roku na znalezienie jakiegoś zatrudnienia. Nie było w tym działaniu dobrej intencji, chodziło o skrytą realizację decyzji kadrowych podjętych na najwyższym szczeblu.

Zrezygnowałem wtedy z szukania pracy w jakimkolwiek instytucie naukowym, zresztą nie było w tamtym czasie innego o tym profilu. Wiedząc, że muszę przetrwać kilka lat, wybrałem instytucję przyjazną, jaką była szkoła. Otrzymałem tym samym swobodę w pracy nad habilitacją. 31 sierpnia 1975 roku zatrudniłem się „po drugiej stronie ulicy” w Liceum im. Jarośława Dąbrowskiego. Wróciłem więc do pracy w szkole, co było

traktowane jako pewien rodzaj dziwactwa. Rzadkością było wtedy, żeby człowiek z doktoratem zatrudniał się jako nauczyciel, ale moim kolegą był inny wygnaniec, dr Paweł Dybel, filozof. Myślę, że w Liceum Dąbrowskiego domyślano się, że jesteśmy tam na skutek jakichś represji.

Przygotowanie materiałów pomocniczych

Trzeba trafić, że jeszcze przed odejściem z Instytutu Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego dostałem propozycję udziału w temacie resortowym, którym kierowali Andrzej Werblan (wywodzący się z PPS reformista, nastawiony na zmiany w organizacji władzy partyjnej) i Henryk Rechowicz (wtedy rektor Uniwersytetu Śląskiego). Werblan był autorem tekstu, w którym zajmował się statystyczną nadreprezentacją osób pochodzenia żydowskiego w polskim aparacie bezpieczeństwa oraz władzach partii. Artykuł opublikowały partyjne „Nowe Drogi”. Werblan miał status profesora zajmującego się historią Polski, dlatego też tytuł projektu brzmiał „Węzłowe problemy dziejów Polski Ludowej 1947–1959”. W pierwszej chwili nie miałem zamiaru podejmować się tego zajęcia, ale okazało się, że dzięki temu będę mógł nadal wchodzić do archiwów i kontynuować prace nad ewentualnym udoskonaleniem książki o polityce naukowej. Przy pracy nad projektem konsultacje w zakresie kultura-nauka-oświata prowadził Jan Szczepański, który był – mimo że bezpartyjny – traktowany powszechnie jako wielki autorytet.

Tematem najbardziej zainteresował się Antoni Gładysz, zajmujący stanowisko profesora w filii cieszyńskiej Uniwersytetu Śląskiego. Był historykiem oświaty (partyjnym) i współpracownikiem Szczepańskiego. Plan był taki, żeby

na podstawie opracowań szczegółowych przygotować syntezę pod redakcją Gładysza. Ja zajmowałem się nauką, Barbara Fijałkowska kulturą, a o oświacie pisał Jerzy Jakubowski (pracownik aparatu KC). Od dr Fijałkowskiej uzyskałem wiele kserokopii dokumentów partyjnych, które dla mnie nie byłyby dostępne. W gronie wykonawców jedynie ja byłem bezpartyjny. Gładysz nie ingerował w treść i oceny opracowań dziedzinowych. Książka ukazała się jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. Przed tytułem *Oświata, kultura, nauka w latach 1947–1959. Węzłowe problemy polityczne* Antoni Gładysz występował jako wyłączny autor. Na odwrocie okładki wymieniano – pomijając Barbarę Fijałkowską – kilku autorów biorących udział „w przygotowaniu materiałów pomocniczych i pracach redakcyjnych”. Ku zaskoczeniu współwykonawców, Gładysz opublikował tekst jako własne ustalenia, miały stanowić jego książkę „profesorską”. Nie był to plagiat z naszych tekstów (tylko trzy razy odwoływał się imiennie do moich ustaleń), lecz wynaturzona forma syntezy, bliska konstrukcyjnie i językowo raportom z badań. Miała też oprawę „partyjną”. Charakteryzowała rozwój dziedzin kultury w związku z uchwałami organów PZPR. Gładysz uzyskał nawet zgodę na kontynuowanie tego tematu w ten sam sposób, z tymi samymi osobami. Opublikował więc drugą część *Oświata, kultura, nauka w Polsce lat sześćdziesiątych. Wybrane problemy* (1987). Tym samym uzyskałem odpowiedź, jaki kształt i jaką treść mogliby zaakceptować partyjni decydenci wobec mojej habilitacji.



Antoni Gładysz

Sztuka i zło

Jest rok 2023, trwa wojna Rosji przeciw Ukrainie. Włączamy telewizor i pojawiają się obrazy znacznie brutalniejsze, gorsze niż te z trzęsienia ziemi w Turcji i Syrii. Co za koszmar! Jak to fizycznie i technicznie, ale przede wszystkim moralnie jest możliwe – mówimy pod nosem, ale to nie może być ani pocieszenie, ani wykręt od odpowiedzialności. Jakiej? Ano chyba takiej, że za mało sami robimy, żeby tej wojnie jakoś się przeciwstawić. Wszyscy tam nie pojedziemy, to jasne, ale przecież nie jest to jedyny możliwy sposób. Ta wojna nie odbiega brutalnością, lekceważeniem cudu życia (ludzkiego, zwierzęcego, jakiegokolwiek) ani cierpienia od największych kataklizmów, jakie kiedykolwiek nawiedziły Ziemię, nie tylko wojen. Wobec tego, co zwyrodniał morderca Putin robi z ludźmi swoimi i obcymi, problemy ekologiczne są czymś ważnym, ale drobiazgiem.

Przypominają się mikromodele tej sytuacji, tworzone przez artystów ku przestrodze albo po prostu ku zrozumieniu. Było takich doświadczeń w sztuce – literaturze, filmie, muzyce, plastyce – wiele, a kiedy się ukazywały, bywały potępiane (sic!). Przypomina się idiotyczne potępienie Ireneusza Iredyńskiego przez Władysława Gomułkę za napisanie mikropowieści *Dzień oszusta*. Wsadził artystę na całe trzy lata do więzienia za pisanie o złach. A Iredyński stworzył kilka ważnych opisów modeli brutalna. No i są tacy, którzy nigdy nie rozumieją tej funkcji literatury i jej pochodnych, na przykład filmu.

Pamiętam takie oto zdarzenie. Rok był mniej więcej 1993, w kinie Domu Kultury w Grodzisku Mazowieckim puszczały film Quentina Tarantino pod tytułem *Wściekłe psy*, a ponieważ przechodziłem tamtędy po wizycie w pobliskiej redakcji miejscowej gazety „Bogoria”, kupiłem bilet i wszedłem do środka. Sam tytuł był fascynujący, po angielsku brzmiał *Reservoir Dogs*, co mogło znaczyć *Psy z marginesu* (społecznego), a najlepiej *Pieski margines*, no ale ktoś w Polsce nie najchętniej wymyślił: *Wściekłe Psy*. Nie tak wściekłe, jak wredne i ohydne. Tak zresztą chciał to określić i pokazać Tarantino.

Zapowiadało się fajnie, bo Tarantino ma wyobraźnię filmowo-ale-drastycznie-zabawową, jednak kiedy w pewnym momencie bohater, gangster Mr. Blonde (Pan Blond) po serii wymyślnych tortur z zacieklą satysfakcją zaczął bohaterowi Marvinowi obcinać brzytwą ucho, to tego już nie wytrzymałem i wyszedłem na świeże powietrze, żeby odetchnąć i powstrzymać odruchy obronne. Trzeba przyznać, mistrzostwo reżyserii wielkie, bo mimo że aktorstwa (dobrego) tam było trochę za mało i dość tępe mordercy występujących tam postaci nie świadczyły o jakimś ich specjalnym talencie, to robota pana Quentina była plastycznie i emocjonalnie wręcz genialnie dokuczliwa, a to naprawdę zasługuje na brawa.

Ale jak wspominałem, salwowałem się ucieczką z kina, przy czym spojrzałem na zegarek, była, uwaga, szesnasta osiemnaście.

Po dwóch dniach jednak coś zrozumiałem i przełamałem się, w Pruszkowie wypłem dwie pięćdziesiątki pod śledzika, pojechałem kolejką do Grodziska, ponownie kupiłem bilet na film *Wściekłe psy*, odczekałem do szesnastej osiemnaście, na wszelki wypadek dodałem jeszcze liczenie do stu, i w nadziei na uniknięcie obcinania ucha wszedłem na salę. Niestety operator kina zaczął wyświetlanie filmu trzy minuty później niż dwa dni temu, przez co, kiedy usiadłem, na ekranie akurat pojawiła się scena, w której, o zgrozo, Mr. Blonde wyjmuje brzytwę, żeby obciąć ucho Marvinowi. A niech to! Zasłoniłem oczy rękami, po czym, nadal licząc barany w myślach, co każde piętnaście ostrożnie rozwierałem palce i zerkając między nimi, sprawdzałem, czy obraz już wrócił do normy.

Wrażenia estetyczne bywają okrutne i zostają w pamięci, jak widać, na długo. Są pouczające.

Otóż teraz myślę, że Putin i jego otoczenie, tak jak Hitler, Stalin, Bierut, nie mówiąc już o Tamerlanie albo Mao Zedongu – oni wszyscy tworzyli pewne etyki (zbiory norm), którymi fascynowało się i których przestrzegało ich otoczenie (choćby ze strachu). Dla nich obcinanie ucha było i jest czymś normalnym, estetycznie bez znaczenia.

A co miał w duszy i zamiarach autor scenariusza i reżyser? Ostatnio powiedział, że ma już tego dosyć, bo tak dłużej nie potrafi i już się tym do cna zmęczył (psychicznie, nie fizycznie), ale jednak ongiś postawił sobie karkołomne i zarazem ryzykowne zadanie, które co prawda mogło się skończyć totalnym brakiem akceptacji przez odbiór społeczny, państwowy, filozoficzny, Bóg wie jaki jeszcze, jednak (jego młodzieńczym zdaniem) było to zadanie jedyne sensowne i produktywnie. Drać zło, a w nim przemoc. To okazało się wykonalne.

Tak było jak w późniejszych jego filmach, w *Pulp fiction*, *Bękartach wojny*, *Django* i wielu innych. To nie są bajki ani skecze rozrywkowe (mimo wielu elementów myśląco to sugerujących), to są studia, poważne, dogłębne, niezwykle trafne, też sugestywne. Stawiające na bacność. Warto poświęcić parę chwil na wyodrębnienie jakichś spójnych i domkniętych fragmentów choćby ze wspomnianego *Pulp fiction*, najlepszego dzieła Tarantina, które składa się właściwie ze sprytnie powiązanych nowelek. Efekty będą niezapomniane i jakże pouczające. Podejrzewam, że taki był w rzeczywistości zamiar i że nim Tarantino się kierował, kiedy zabierał się do roboty. Studia zła tkwiącego w człowieku. Tego, z którym osoba się rodzi i które albo jest przez rozmaite czynniki wyzwalane, albo szczęśliwie przez całe życie trzymane w uśpieniu, pod ścisłą kontrolą.

e-mail: lpj@lpj.pl

Nie tylko piekło



Próby nowego, aktualnego odczytania klasyki literatury mają janusowe oblicze. Z jednej strony sprawiają, że szacownym arcydziełom nie grozi, że się „jak figa ucukrują, jak tytuł uleżą”, z drugiej – nowe odczytanie może oznaczać gwałt na tekście, który jest zmuszany do (rzekomego najczęściej) wyrażania znaczeń, których nie tylko nie przewidział autor, ale po prostu nie ma ich w danym dziele i być nie może. Zdarzają się interpretatorzy, którzy w licznych dziełach szukają tych samych powierzchownych, aktualnych tropów i każdy

analizowany tekst odnosi do aktualności rozumianej w prosty sposób – jako to, co w danym momencie dzieje się w świecie (czyli w momencie pisania tych słów np. do inwazji Rosji na Ukrainę). Momentami przywodzą na myśl niemieckie przyszłowie, że gdyby złodziej spotkał Jezusa, widziałby tylko jego kieszenie.

Paweł Mościcki już we wstępie do swej obszernej książki wskazuje, że nie chodzi mu po prostu o nowe odczytanie *Boskiej komedii*, ale o to, co w tytule określa jako wyższą aktualność: o pozwolenie, by to poemat Dantego czytał nasze czasy od nowa. Nie chodzi zatem o proste odniesienie tekstu sprzed siedmiuset lat do teraźniejszości, ale o pytanie, czy jest w niej coś, co widzimy lub przynajmniej dostrzegamy wyraźniej dzięki Dantemu. Pomocą w tym jest dla Mościckiego dorobek artystów i myślicieli, którzy nie tyle interpretowali *Boską komedię*, co wplatali nieoczywistą często refleksję o jednej z najważniejszych dla nich lektur we własne dzieła. Są wśród nich amerykański malarz i grafik Robert Rauschenberg, Pier Paolo Pasolini, Peter Weiss, francuski pisarz Philippe Sollers, włoski reżyser teatralny i aktor Carmelo Bene, a także Peter Greenaway i amerykański awangardowy reżyser filmowy Stan Brakhage.

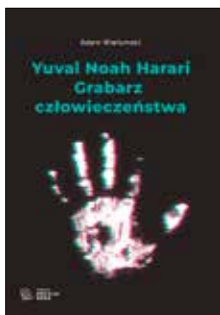
Szczególnie Pasolini i Sollers pozwalają Mościckiemu na zidentyfikowanie najważniejszego ograniczenia fascynacji *Boską komedią* widocznego u licznych jej wielbicieli i pokazanie, że nie jest to ograniczenie, a ważna ścieżka myślenia o tym dziele, tyle że na ogół jedynie płytko eksplorowana. W kinie i innych sztukach wizualnych poemat Dantego to najczęściej nie zwykle sugestywne wizje kolejnych kręgów piekła. I to właśnie istota kar, jakim podlegają tam grzesznicy, jest ważnym spostrzeżeniem o współczesnej przestrzeni informacyjno-medialnej, w której odbiorca obserwuje mnogość efektywnych zdarzeń następujących w szybkiej sekwencji, ale nie następuje w związku z tym (i nie ma nastąpić, nie taki jest cel) żadna istotna zmiana. To dlatego narasta zmęczenie natłokiem informacji, które nie układają się w żadną całość, a także przekonanie o wyczerpaniu i wtórności kultury, zwłaszcza jej głównego, bardziej komercyjnego nurtu – piekło jest wieczną teraźniejszością (kara nie prowadzi ani do przemiany, ani odkupienia). Nie jest zatem problemem skupianie się na pierwszej części dzieła, ale na jego czysto wizyjnym aspekcie, gdyż prowadzi to do przeżyć bliższych czysto estetycznej fascynacji niż rozumieniu.

Dzięki praktyce translatorycznej Mościcki może też podkreślić moralną dwuznaczność niektórych spotkań Dantego-narratora z niektórymi cierpiącymi grzesznikami, a także krytycznie odnieść się do klasycznego przekładu Edwarda Porębowicza (autor preferuje opublikowane w latach 2002–2004 tłumaczenie Agnieszki Kuciak; nie jest to główny temat książki, ale zdecydowanie wart uwagi). Ważne są też etymologiczne rozważania nad pojęciami używanymi przez niemieckojęzycznych myślicieli zainspirowanych przez Dantego; samo bogactwo języka oryginału *Boskiej komedii* udziela się jej tłumaczeniom i interpretacjom. Przede wszystkim zaś książka Mościckiego skłania do ponownej lektury poematu, uświadamia bez wywoływania poczucia winy, jak niewiele czytelnik wyniósł z poprzedniej.

Marek Misiak

Paweł MOŚCICKI, *Wyższa aktualność. Studia o współczesności Dantego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2022, seria: Hermeneia.

Rozwój świata



Złowieszczy tytuł, który nadał swej książce Adam Wielomski, niweczy optymistyczne nadzieje rozwoju świata zawarte w książkach Hararięgo i mrozi myśl o przyszłości. Nie jest to jednak wyraz czarnowidztwa autora, lecz efekt zgłębienia wywodów Yuvala Noaha Hararięgo. Ze świadomością podjęcia konfrontacji z tymi wywodami Wielomski wysuwa na czoło swej pracy wyraźne dwa komplementarne cele. Przede wszystkim chce ostrzec czytelników przed skutkami urzeczywistnienia wizji świata nakreślonej przez Hararięgo. W powiązaniu z tym chce przybliżyć treść trylogii izraelskiego profesora, w której skupia się on na człowieku – jego historii, teraźniejszości oraz wizji przyszłości. Zatem punktem wyjścia i głównym przedmiotem krytycznej refleksji oraz naukowej analizy są idee zawarte w treści trzech cieszących się wielką popularnością książek: *Sapiens. Od zwierząt do bogów* (jest ona interpretacją dziejów ludzkich od początku do współczesności), *Homo deus. Krótka historia jutra* (zawiera wizję przyszłości) i *21 lekcji na XXI wiek* (jest opisem świata współczesnego). Dzięki zręcznemu zrekapitulowaniu treści i przejrzystej strukturze książki otrzymuje czytelnik jasną syntezę ideologii Hararięgo, którą wspólnie z autorem może poddać głębszej egzegezie i wartościowaniu.

W kompozycji treści po autorskim wprowadzeniu następują kluczowe trzy rozdziały poświęcone poszczególnym częściom tryptyku ideologicznego. W ich strukturze uwidocznił się podrozdział, pozwalające dogłębniej poznać dominantny problemowe rozważań. Porządkującym aspektem staje się rekapitulacja i pokazanie specyficznego ujmowania przez Hararięgo filozofii dziejów, z podziałem historii na sześć eronów: przedludzkiego, pracownika, agrarnego, nowożytnego, teraźniejszego (XXI wiek) i transhumanistycznego. Ten ostatni jest oczywiście wizją przyszłości. I tu wydaje się skupiać sedno krytyki wyrażone słowami: „Każdy kto twierdzi, że posiadał wiedzę pewną, jak wygląda przyszłość i ją opisuje w grubych tomach, jest szalbierzem. Jeśli opisuje przyszłość w taki sposób, to nie przewiduje, lecz programuje swoich czytelników. Gdy twierdzi, że jest rzeczą nieuchronną i naukowo dowiedzioną, iż wielkie korporacje z Doliny Krzemowej muszą zapanować nad światem i ludzkością, to jest propagandystą tychże korporacji, głoszącym ideologię uzasadniającą oddanie władzy kilkuset najbogatszym ludziom”.

Newralgiczny problem transhumanizmu – rozumianego jako „pogląd o możliwości i celowości ulepszenia człowieka za pomocą manipulacji genetycznych jeszcze przed narodzinami lub łączenia jego ciała z komputerami lub częściami stworzonymi sztucznie, aby podnieść jego inteligencję, długość życia i poprawić zdrowie, a może nawet dać mu formę nieśmiertelności” – poddany jest głębszej refleksji w podwójnym aneksie, stanowiącym integralną część wywodów autora. Są w nim poruszone żywotne problemy nauki powiązane z egzystencją i przyszłością ludzkości. To czyni książkę stymulatorem odwagi do refleksji nad tym, co wokół nas się dzieje i stosownego działania, by kasandryczna konkluzja zawarta w tytule się nie urzeczywistniła. Autor, podejmując merytoryczną polemikę, demaskuje manipulacje słowne i mity podszywające się pod naukę. Pokazuje własną niezależność myślenia i śmiałość łamania poprawności politycznej. Daje świadectwo tego, że wciąż nie wszyscy myślą jednakowo, zatem nie jesteśmy jeszcze zaprogramowani – i to niech będzie optymistyczną myślą o przyszłości świata i zachętą do zgłębienia treści książki. Świat się rozwija. Ten rozwój roznieca nauka, która nie może być podporządkowana ani ideologii, ani działaniom korporacji dysponujących kapitałem i możliwościami propagowania informacji. Dlatego nauce wciąż potrzebna jest prawda i etyka. Taki apel zdaje się wypływać z kart tej książki.

Jadwiga Michalczyk

Adam WIELOMSKI, *Yuval Noah Harari. Grabarz człowieczeństwa*, Fundacja Pro Vita Bona, Warszawa 2022.

Dydaktyka, głupcze!



W dyskusjach nad punktozą, która ogarnęła uniwersytety, zwraca się uwagę na jej negatywne skutki dla jakości pracy naukowej. Na badania róbione w pośpiechu. Na to, że publikuje się prace, które nic nie wnoszą do nauki, a celem ich powstawania jest tylko zdobywanie punktów. O wiele mniej miejsca poświęca się natomiast kosztom, jakie w takich okolicznościach ponosi dydaktyka. Z jakimi problemami się to wiąże w Polsce XXI wieku?

Na książkę składa się 12 artykułów napisanych przez uczonych-ekspertów reprezentujących różne ośrodki naukowe, a przede wszystkim posiadających wieloletnie doświadczenie pracy akademickiej. Szerokie spektrum podejmowanych przez nich tematów odzwierciedla zakres obszarów i dylematów, jakie wiążą się z kształceniem akademickim. Każdy bowiem z wątków budzi w środowiskach uczelnianych emocje i niekiedy skrajne postawy. Tak jest na przykład w przypadku planowania dydaktycznego w toku kształcenia.

Planowanie to obejmuje – jak pisze Danuta Konieczka-Śliwińska – zarówno decyzje podjęte już na poziomie konstruowania programu studiów i efektów uczenia się, jak i te dokonujące się na etapie projektowania przebiegu konkretnych zajęć. Ale nieodzowną częścią planowania dydaktycznego jest również systematycznie podejmowana refleksja nauczyciela akademickiego, która powinna mu towarzyszyć nie tylko przy sporządzaniu samego planu działania, lecz na bieżąco, podczas jego realizacji, stając się podstawą do ewaluacji prowadzonych zajęć.

Innym kontrowersyjnym zagadnieniem jest rola opinii studentów w procesie kształcenia. Głos studentów jest istotny z kilku względów, przede wszystkim ocenianie przez nich zajęć może pomóc w ich ewentualnej modyfikacji, poprawie, zaferowaniu większej liczby godzin, jeśli są dobre albo też rezygnację z danego kursu. Ale czyniona przez studentów ewaluacja służy również upełnomocnieniu ich w procesie kształcenia, przyczynia się do wzrostu tzw. partycypacyjnego podejścia. Nie wszystkim się to jednak podoba. Istnieją opinie, że studenci nisko oceniani przez wykładowcę wykorzystują ankiety ewaluacyjne do wylania wcale niemerytorycznych żalów. Nie ulega jednak wątpliwości, że opinie studentów należy brać pod uwagę w nie mniejszym stopniu niż ich nauczycieli. Wszyscy bowiem tworzą społeczność akademicką i wzajemnie stymulują się do pracy albo jej unikania.

Trzecim przykładem jest kwestia prac dyplomowych. Czy na pewno studia licencjackie, tak jak magisterskie, powinny się kończyć napisaniem i obroną pracy? Być może te pierwszego stopnia winny być zwieńczone tylko egzaminem z wiedzy? Jakie wymagania stawiać pracom licencjackim w odróżnieniu od magisterskich? Wyzwaniem pozostaje ponadto m.in. określenie specyfiki merytorycznej prac powstających na kierunkach studiów, których efekty uczenia się odnoszą się nie do jednej, a do kilku dyscyplin naukowych. Nie do końca sprecyzowana jest również rola promotora.

Ciekawe są rozdziały dotyczące umiędzynarodawiania kształcenia przez organizację szkół letnich oraz dotyczące inkluzji studentów cudzoziemców jako elementu rozwoju uczelni. Początki pandemii koronawirusa przypominają z kolei tekst o tym, jak błyskawicznie dokonać transformacji z kształcenia tradycyjnego na zdalne. Nie umyka uwadze autorów ewolucja systemu prawnego w zakresie kształcenia i dydaktyki ani rola administracji w akademickiej misji kształcenia. Inspirujący jest artykuł na temat kształcenia przez badania. Być może to właśnie powinna być podstawa konstrukcji programu studiów?

Autorki i autorzy tej książki nie rozstrzygają ostatecznie, jak ma wyglądać kształcenie we współczesnej Polsce. Ich testy stanowią raczej przyczynek do debaty na ten temat. Jest on przygotowany bardzo rzetelnie tak pod względem merytorycznym, jak i edytorskim.

Anna Jawor

Kształcenie akademickie. Współczesne konteksty i wyzwania, red. Beata MIKOŁAJCZYK, Danuta KONIECZKA-ŚLIWIŃSKA, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2022.

Obrazy Warszawy



W przyszłym roku seria wydawnicza „Biblioteka Pana Cogito” będzie obchodzić dwudziestolecie. W 2004 Wydawnictwo UMCS opublikowało *Stróża brata swego. Zasadę odpowiedzialności w liryce Zbigniewa Herberta* Józefa Marii Ruszara. I tak się zaczęło. Zmieniali się wydawcy i, jak to bywa, piętrzyły trudności, ale dzięki wytrwałości Ruszara ta cenna inicjatywa przetrwała. Od 2019 wydawcą jest Instytut Literatury. Jednym z głównych celów serii jest analizowanie i popularyzowanie dorobku Herberta i Różewicza. To pisarze, którzy rzeczywiście zasłużyli na Nagrodę Nobla, a nigdy jej niestety nie dostali.

„Biblioteka Pana Cogito” oczywiście nie ogranicza się do tych dwóch poetów.

Praca *Miasto potencjalne. Warszawa w latach 1945-1980 w wybranych utworach prozy polskiej* Piotra Prachnio ukazała się jako 65 tom serii. Książki wchodzące w jej skład można podzielić na popularyzatorskie i naukowe. Czasem trudno wyznaczyć między nimi granice. Widać to dobrze na przykładzie omawianej pracy. Z jednej strony to rzecz o charakterze badawczym, z drugiej trudno odmówić jej znamion literackości. Publikacja jest zmodernizowaną wersją pracy doktorskiej, której promotorem był prof. Krzysztof Dybciak. Prachnio dał się już wcześniej poznać jako autor książki *Strumień świadomości i monolog wewnętrzny w prozie polskiej w latach 1956-1980*. Poza tym jest bardzo aktywnym uczestnikiem współczesnego życia literackiego jako krytyk (m.in. stale współpracuje z miesięcznikiem „Nowe Książki”).

Praca wpisuje się w nurt badań spacjologicznych czy geopoetycznych. Monografista w rozdziale metodologicznym sporo miejsca poświęcił omówieniu literaturoznawczych badań przestrzeni, ale tu wystarczy ogólne określenie nurtu i wpisanie weń recenzowanej pracy. Warto podkreślić, że od początku XXI wieku te badania rozwijają się w Polsce dynamicznie. Autor *Miasta potencjalnego* przywołuje określenie „zwrot przestrzenny” w literaturoznawstwie. Do najbardziej udanych prób tej tendencji trzeba zaliczyć pracę Aleksandry Wójtowicz *Przestrzeń „Ozimy” Wacława Berenta*. Pisałem o niej w „Forum Akademickim” (4/2020). Były też próby chybiłone. Opisanie przez Prachnio tego, w jaki sposób uobecniła się Warszawa w tekstach prozatorskich, jest przedsięwzięciem bardzo udanym. Chodzi tu o ponad trzy powojenne dekady, a pisarze, których wybrane utwory są rozpoznawane, to: Tyrmand, Kisielewski, Białoszewski, Hertz, Dąbrowska, Konwicki i Niziurski. Tytuły? Przywołajmy niektóre w kolejności wymienionych autorów: *Zły, Przygoda w Warszawie, Chamowo, Szkice warszawskie, Dzienniki, Mała apokalipsa i Niewiarogodne przygody Marka Pięgusa*. Rozrzut gatunkowy duży: eseje, dzienniki, proza artystyczna, beletrystyka kryminalna i młodzieżowa.

Do najciekawszych należy rozdział, w którym skonfrontowano małe prozy warszawskie Białoszewskiego z esejami stołecznymi Hertza. Tutaj znajdujemy też wytłumaczenie określenia Warszawy mianem „miasta potencjalnego”. Oddajmy głos monografście: „W prozach Białoszewskiego i Hertza narratorom towarzyszy świadomość, że wielkim połaciom miasta powojennego odpowiada modalność miasta nieistniejącego, które przynależy w pewien sposób do wyobrażonej «całości». W ich tekstach Warszawa wyraża się zatem w aporii jednoczesnego bycia i nie-bycia, w swoistej pojętej potencjalności. Tak rozumiana przestrzeń – przestrzeń potencjalna – utrudnia jednak zakorzenienie i znalezienie w niej punktu oparcia (gwarantującego poczucie bezpieczeństwa, bycia «u siebie»)). Aby lepiej zrozumieć tę „potencjalność”, wystarczy odwołać się do porównania Warszawy z Rzymem, które odnalazł badacz w książce Marty Zielińskiej *Warszawa – dziwne miasto*. Słusznie Rzym nazywany jest Wiecznym Miastem, bo wciąż trwa, natomiast Warszawa to „miasto na ruchomych piaskach”, niszczone i odbudowywane, zawieszona między byciem i nie-byciem.

Tomasz Klusek

Piotr PRACHNIO, **Miasto potencjalne. Warszawa w latach 1945-1980 w wybranych utworach prozy polskiej**, Instytut Literatury, Kraków 2022, seria: Biblioteka Pana Cogito.

Listy mikrobiologa



Jednym z najwybitniejszych uczonych polskich związanych z uniwersytetami w Rosji: petersburskim, charkowskim, noworosyjskim w Odessie i krótko, w latach 50. XIX wieku, z Liceum Demidowskim w Jarosławiu był Leon Cienkowski, biolog ewolucjonista, pionier badań nad pierwotniakami, którego nieco młodszy Józef Nusbaum-Hilarowicz, zoolog, również nieprzeciętny uczyony, nazwał „badaczem sławy wszechświatowej”. Nie było w tym przesady. Cienkowski, pracując w Charkowie, na podstawie własnych doświadczeń stworzył oryginalny sposób wytwarzania szczepionki przeciw węglikowi, który dziesiątkował liczne fermy owiec. Z dużym powodzeniem stosowano ją nie tylko w stepach Chersonezu, ale i w licznych odczyniach całego imperium. Jego badania nad pasożytami przyczyniły się do rozwoju rosyjskiej bakteriologii. Wyrazem uznania dla dokonań naukowych Cienkowskiego był wybór w 1881 roku na członka korespondenta Rosyjskiej Akademii Nauk w Petersburgu.

Dzięki licznym pracom, zarówno polskim, jak i rosyjskim, wiemy dziś o Cienkowskim dużo więcej niż do niedawna, zwłaszcza jeśli chodzi o przyjaciół uczonego, jego kontakty, rodzinę. Znacznym wydarzeniem edytorskim jest ukazanie się książki profesorów charkowskich Lubowi Żwanko i Dmytra Kibkały poświęconej temu uczonemu. W publikacji na podstawie rzetelnie zebranych źródeł i literatury znalazły się wiadomości na temat życia i awansów naukowych uczonego, jego oceny nie tylko jako badacza i pracownika nauki, ale i człowieka. Cennym uzupełnieniem tych fragmentów jest wykaz jego odkryć i prac naukowych, a także fragmenty opracowania poświęcone znanemu biologowi Jerzemu Aleksandrowiczowi, profesorowi botaniki Szkoły Głównej i Uniwersytetu Warszawskiego. Znaczna część listów Cienkowskiego, od listopada 1846 roku do maja 1887 roku, adresowana była do tego uczonego i humanisty, absolwenta Wydziału Fizyczno-Matematycznego Uniwersytetu Petersburskiego. Podobnie jak w przypadku Cienkowskiego, jego zainteresowania i dociekania związane były z nazwiskiem innego uczonego Polaka, profesora Uniwersytetu Moskiewskiego i Petersburskiego, Jana Szychowskiego.

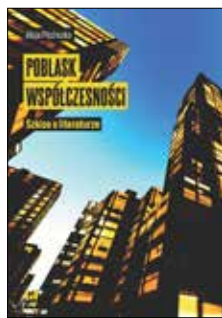
Można powiedzieć, że bez względu na wojnę, którą Władimir Putin wypowiedział Ukrainie, uczeni charkowscy podjęli uwieńczony sukcesem trud przygotowania tej książki. Jej łaciński tytuł, adekwatny do życia Cienkowskiego, wpisuje się dobrze w czas nam współczesne. Żeby powstała prezentowana książka, autorzy pokonać musieli niejedną przeszkodę. Związane to było z formalną stroną opracowania – kaligrafią, identyfikacją osób z kręgu ludzi bliskich Cienkowskiemu, jak również pojedynczych słów właściwych językowi uczonego. Trzeba przyznać, że mimo licznych kłopotów z zadania wywiązali się nieomal perfekcyjnie. Każdy z publikowanych listów zaopatrzony został w przypisy formalne i merytoryczne. Przypisy merytoryczne objaśniają pojawiające się w listach nazwiska związane nie tylko z biologią, ale i z innymi dziedzinami nauki. Niezidentyfikowana przez autorów osoba występująca w liście nr 36 (przypis 153) to Hieronim Krzyżanowski (1819-1875), prawnik, profesor uniwersytetu w Petersburgu, dyrektor Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych Królestwa Polskiego, profesor Szkoły Głównej Warszawskiej. Cienkowski poznał go jeszcze w Petersburgu.

Książka wzbogacona została wizerunkami obiektów, z którymi związany był Cienkowski, fotokopiami pierwszych wydań jego prac, fotografiami ludzi z nim związanych. Jest to budząca podziw dla treści i formy książka naukowa, która w części pierwszej, merytorycznej, przynosi wiele nowych, z opracowywanych listów pozyskanych wiadomości o Cienkowskim, natomiast jej część druga – krytyczna edycja listów – z pewnością może stać się źródłem do badań kilku dyscyplin humanistycznych i społecznych.

Artur Kijas

Lubow ŻWANKO, Dmytra KIBKAŁO, **Per aspera ad astra. Listy Leona Cienkowskiego (1822-1887)**, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2022.

Żyj i daj żyć innym



Na publikację składa się trzydzieści pięć recenzji publikowanych na łamach miesięcznika „Nowe Książki” w latach „2016-2023” (błąd chronologii pojawia się dwukrotnie w krótkim wstępie). Głównie są to teksty poświęcone powieściom i opowiadaniom pisarzy i pisarek anglosaskich i frankofońskich, w przeważającej mierze amerykańskich i francuskich. Post factum owe krótkie szkice podzielone zostały (zapewne gwooli pewnego uporządkowania) na cztery bloki tematyczne: I. *Kobiety, patriarchat, emancypacja*, II. *Mniejszości, marginalizacja, wykluczenie*, III. *Nieprzystosowanie, cierpienie, trauma*, IV. *Zagubienie, zagłada, apokalipsa*.

Jak zaznacza autorka, wybór książek nie był ani przypadkowy, ani narzucony odgórnie, dlatego też możemy mówić o pewnym ideowym monolicie w odniesieniu do tematyki podejmowanej w opisywanych książkach oraz powstających wtedy recenzjach. Na pewnych płaszczyznach recenzowane pozycje zająbiają się i przenikają, tworząc wycinek ówczesnej zarówno literackiej, jak i społecznej rzeczywistości. Co wspólnego może mieć huragan Katrina z „Black Lives Matter”? Otóż daleko posunięte konsekwencje tej pogodowej anomalii bez wątpienia bardziej odczuła społeczność czarnoskórych, słabiej wykształconych i biedniejszych mieszkańców niż ich białych sąsiadów. Ruch „#MeToo” oraz emancypacja kobiet, nieprzystosowanie, szeroko pojęte wykluczenie, cierpienie spowodowane byciem „innym” niż reszta ludzkiego kolektywu, cielesność, seksualność, wszystkie te kwestie zajmują poczesne miejsce w *Poblaskach współczesności*, ale można domniemywać, że są one istotne nie tylko w recenzenckiej twórczości Alicji Piechuckiej. Z wybranych do recenzji książek wyczytamy wiele nie tylko o ich autorach, ale także o samej recenzentce, jej wrażliwości, sympatiach literackich i niezwykle istotnych dla niej kwestiach społecznych. Równość, tolerancja, akceptacja, brak uprzedzeń, szacunek wobec tego, co inne – zdaje mi się, że właśnie te hasła określają nie tylko opisywaną publikację, ale są również zasadami, którymi recenzentka kieruje się na co dzień. Wśród recenzowanych autorów pojawiają się nazwiska klasyków (żywych i martwych), jak i twórców mniej znanych lub debiutantów. Są to m.in.: Michael Houellebecq, Thomas Pynchon, Michael Ondaatje, Francis Scott Fitzgerald, Margaret Atwood, Deborah Eisenberg czy Annie Ernaux. Rzecz jasna nie sposób o wszystkich tych pisarzach usłyszeć, nawet jeżeli w swoim kraju odnieśli literacki i medialny sukces, bowiem mnogość wydawanych książek już chyba od kilku dziesięcioleci zdaje się przekraczać czytelnicze możliwości nawet tabunu krytyków literackich, a co dopiero pojedynczego recenzenta.

Żywość recenzji jest niezwykle krótki. Oczywiście zdarza się, że powołują się czasem na nie badacze, umieszczają później w bibliografiach i przypisach, ale w porównaniu do książek, których dotyczą, należałoby stwierdzić, że nie są nawet gwiazdami jednego sezonu. Świecą nikłym, odbitym światłem, jeżeli pisarz osiągnie sukces, a autor recenzji pozna się na nim wcześniej. Pełnią jednak, chyba zawsze tak było, rolę służebną wobec dzieła literackiego. W obecnych czasach internet nieco wydłużył ich czytelniczą peregrynację, wydawnictwa zamieszczają je na swoich stronach, ale jednak ulotność pozostaje ich cechą główną. Mogą być zapisem, jak zauważa Piechucka, literackiego rozwoju krytyka, jego odbioru literatury w danym momencie życia i historii. *Poblask współczesności* jest doskonałym przykładem egzemplifikującym tę tezę. Teksty rozproszone po czasopiśmie mogą tracić na swej wymowności, zebrane w zbiorczą publikację stanowią konkretny punkt odniesienia dla badaczy, ale i dla samej autorki, która może przedstawić ewolucję swojej literackiej drogi, a czytelnikom fundują porcję wiedzy o wybranych dziełach literatury francuskiej i amerykańskiej.

Jacek Hnidiuk

Alicja PIECHUCKA, **Poblask współczesności. Szkice o literaturze**, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2022.



Leszek Szaruga

Family of man?

Fragment plakatu do filmu 2010: *Odyseja kosmiczna*

Na przełomie roku zagłębiłem się w książce Davida Graebera i Davida Wengerowa *Narodziny wszystkiego. Nowa historia ludzkości*, która jest próbą zrozumienia przyczyn poczucia kryzysu w naszym pojmowaniu świata i miejsca, jakie w nim przypada człowiekowi. Najogólniej rzecz biorąc, autorzy są przekonani, że by owo poczucie kryzysu przezwyciężyć, trzeba historię napisać na nowo, znaleźć jakieś odmiennie od dotychczas przyjmowanych punkty odniesienia, tak jak to się stało – by wskazać analogiczny model przesilenia – po opublikowaniu przez Kopernika dzieła *O obrotach sfer niebieskich*, co spowodowało, po długich zresztą korowodach, przewartościowanie myślenia o rzeczywistości, w jakiej żyjemy. Autorzy *Narodzin wszystkiego* proponują przede wszystkim odrzucenie czy tylko zakwestionowanie prawomocności pozostawiania w strukturach europocentrycznego pojmowania dziejów ludzkości. W wywiadzie udzielonym Agnieszce Wichnerowicz, a opublikowanym na łamach „Gazety Wyborczej”, powiadają: „Współczesne państwo nie ma jednego źródła, jest amalgamatem różnych instytucji, które znalazły się w jednym organizmie przez serię historycznych przypadków, a potem rozlały się po świecie za pośrednictwem imperiów i kolonializmu. Suwerenność, biurokracja i charyzmatyczne przywództwo – wszystkie te koncepty mają różne korzenie. Powinniśmy więc korzystać z wolności, by wyobrazić sobie łączenie ich w jakiś inny sposób, a nawet rozdzielenie. W obliczu kryzysu klimatycznego i erozji demokracji kluczowe wydaje się znalezienie sposobu na uwolnienie decyzji dotyczących odleglejszej przyszłości społeczeństw od krótkookresowych interesów politycznych i logiki wyborów”.

Być może dobrym punktem wyjścia do takich prób jest upowszechnienie nie tylko planetarnego, ale kosmicznego odczuwania tożsamości człowieka, czemu zdają się sprzyjać odkrycia w sferze zarówno archeologii, jak kosmologii – w obu wypadkach coraz bardziej dokładnie ukazujące nam naszą przeszłość i dowodzące zarazem antropocentrycznego wyregulowania stałych fizyki przez prędkość światła, stałą grawitacji i stałą Plancka oraz, po pojawieniu się człowieka (i być może także innych istot we wszechświecie), wielorakości rozwiązań organizacji społeczeństw. Wszystkie te odkrycia wciąż pozostają w rozproszeniu i w najmniejszej mierze nie stanowią przedmiotu dającego podstawy edukacji. W poście na Facebooku pisze Krzysztof Łoziński: „Jeszcze, gdy chodziłem do szkoły, w latach 60. dwudziestego wieku, wiedza astronomiczna była nader uboga. Wpraw-

dzie latały już pierwsze sputniki i nawet Gagarin, ale głoszono teorię, że na Księżycu nie da się wylądować, bo pokryty jest grubą warstwą »księżycowego pyłu«. Pierwsze lądowanie na Księżycu nastąpiło w 1969 roku. Rok wcześniej wylądował tam pierwszy kosmiczny łazik, sowiecki Łunochod. Ale jego sukces kończył się na tym, że wylądował. W tym czasie zaczynałem studiować astrofizykę. (...) Warto sobie wyobrazić dwie rzeczy: Jak strasznie jeszcze mało o naszym świecie wiemy, gdyż co chwilę odkrywamy coś, co niemal wywraca do góry nogami sporą część wcześniejszej wiedzy. I jak strasznie małym, niemal niewidocznym pyłkiem jest nasza Ziemia i jak zupełnie nieważny w tym gigantycznym świecie jest człowiek. Zwłaszcza człowiek, któremu wydaje się, że zjadł wszystkie rozumy. I jest panem wszelkiego istnienia. To gorzej niż wyobrażenie jednej bakterii w oceanie, że to ona rządzi wszystkim na Ziemi”.

I niby to wszystko jest oczywiste, ale jednak nie jest, przynajmniej w kontekście programów edukacyjnych, które zdają się w uczniach utwierdzać owe „wyobrażenie jednej bakterii w oceanie”. Można przy tym założyć, że nasza wiedza o nas samych, straszliwie rozczłonkowana, jest równie uboga jak o kosmosie – takie wrażenie pozostawia lektura *Narodzin wszystkiego*. O kryzysie edukacji wiedzą wszyscy, lecz nikt nie ma pomysłu na to, w jakim kierunku powinno nastąpić przesilenie, o którym wiadomo, że jest koniecznością. Rozpoznanie miejsca człowieka we wszechświecie pozornie tylko może się wydawać sprawą marginalną, w istocie ma znaczenie fundamentalne i dotyczy zarówno przeszłości jak przyszłości. Wiedza dotycząca tego problemu jest stosunkowo niewielka i warto, zamiast sumować to, co już wiemy, pytać o obszary naszej niewiedzy, gdyż tylko tak możliwe będzie przekroczenie typowego dla myślenia o przyszłości horyzontu katastroficznego. Można co prawda przyjąć, że katastrofa jest nieunikniona i że w dodatku sami ją sobie szykujemy, lecz jest to postawa pozbawiająca życie sensu. Problemem zaś zasadniczym wydaje się kwestia takiego reorganizowania życia społecznego, które pozwoli na ocalenie family of man i odpowiedź na pytanie: czy rzeczywiście tworzymy rodzinę? Jeśli tak, wówczas warto poszukać takiej syntezy wiedzy, łączącej archeologię z kosmologią i poezję z inżynierią, by w efekcie w przyszłości – w perspektywie kosmicznej dramatycznie niedalekiej – móc wykryć sposób wydostania się z rodzimej planety w regiony dające szansę dalszego trwania. Jedno nie ulega wątpliwości: pytanie o historię ludzkości musi skutkować pytaniem o jej przyszłość.

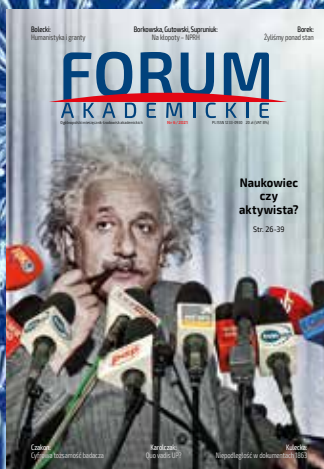
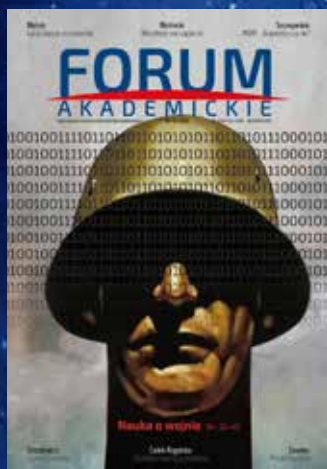
FORUM AKADEMICKIE

Czasopismo towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objawiamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.

Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;

prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,

w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok

i 86 zł za pół roku.

Redakcja



NICOLAI COPERNICI

net, in quo terram cum orbe lunari tanquam epicyclo contineri diximus. Quinto loco Venus nono mense reducitur. Sextum denique locum Mercurius tenet, octuaginta dierum spacio circumcurrens, in medio uero omnium residet Sol. Quis enim in hoc

i. Stellarum fixarum sphaera immobilis.

2023 - Rok Kopernika



Toruń - miasto Kopernika

Fot. Andrzej Romański, Muzeum Dom Mikołaja Kopernika – Kinga Nemere-Czachowska

550-lecie urodzin
Mikołaja Kopernika
1473–2023



ŚWIATOWY
KONGRES
KOPERNIKAŃSKI



Uniwersytet Mikołaja Kopernika